

Lucyna Olejniczak

**OPIEKUNKA
CZYLI AMERYKA WIDZIANA Z FOTEŁA**

To nie mógł być zwykły przypadek. Spośród wszystkich pasażerów samolotu lecącego do Montrealu, obok mnie musiał usiąść akurat właśnie ten!

Prostacki i hałaśliwy, typ rubasznego wesołka przekonanego o swoim niebywałym poczuciu humoru. Miałam już okazję widzieć go, a raczej słyszeć na lotnisku, gdy żegnał się ze swoją rodziną. Żywiłam cichutką nadzieję, że usiądzie gdzieś daleko ode mnie...

Widać nie było mi jednak dane cieszyć się względnym spokojem i samotnością przed podróżą. W ciągu ostatnich kilku dni ani na moment nie byłam sama. Wizyty, pożegnania, ostatnie dobre rady; nawet nie miałam czasu zacząć się bać.

Kiedy wczoraj zostawiłam już swoją rodzinę na dworcu, mimo smutku, tak naprawdę odetchnęłam z ulgą. Miałam w perspektywie parę godzin przed sobą na zastanowienie się nad sytuacją; to wszystko stało się tak szybko.

Niestety, złośliwy los w postaci podpitego jegomościa o smutnej twarzy już czekał na mnie w przedziale. Przez całą drogę zmuszona byłam wysłuchiwać opowieści o, jedynej chyba, radosnej chwili w całym życiu mojego współtowarzysza podróży. Było to podczas wieczorku zapoznawczego w sanatorium, kiedy to zabłysnął na parkiecie śpiewając arie Kiepurę.

– Wiara szalała – zapewniał mnie uroczyście, raz po raz, z pijackim rozrzewnieniem.

Wierzyłam mu, ja też miałam ochotę oszaleć po paru godzinach takiego słuchania.

A teraz jeszcze ten... Właśnie, ogromnie z siebie zadowolony, zaczął się zastanawiać na głos, kiedy nasz samolot się rozbije. Czy to będzie podczas startu, czy może nad Atlantykiem, albo już przy lądowaniu? Bo do tego, że się rozbijemy, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Zacisnęłam w dłoni srebrną półdolarówkę, daną mi „na szczęście” przed wyjazdem i zamknęłam oczy. Starłam się nie słuchać żalonych popisów mojego sąsiada. Wiedziałam, że jeszcze tylko parę godzin i uwolnię się od jego towarzystwa. Byle do Montrealu, potem Chicago i... żegnajcie czubki i nieudacznicy.

Będę w Ameryce!

CZĘŚĆ PIERWSZA
LINDA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– So... anyway... – Powiedziała babcia gubiąc nagle wątek swojego opowiadania.

Wyrwana gwałtownie z zamyślenia spojrzałam na nią spokojnie i czekałam. Chwilę mierzyła mnie podejrzliwie wzrokiem, wypatrując najmniejszych oznak rozbawienia czy zniecierpliwienia. Wreszcie oczy zaczęły jej się zamykać, uniesiony w górę palec powoli wylądował na podołku a głowa opadła bezwładnie na piersi. Jeszcze raz czy dwa usiłowała ją podnieść, w końcu jednak zrezygnowała i zapadła w drzemkę.

Podkuliłam kolana pod brodę, objęłam je ramionami i w zamyśleniu patrzyłam na pochyloną, siwą głowę Lindy, na cieniutką, srebrzystą niteczkę śliny zwisającą z jej dolnej wargi i miałam ochotę wyc.

Siedziałam w tym fotelu już czwarty dzień z rzędu, już po raz czwarty wysłuchiwałam jej opowiadania i nic z tego nie rozumiałam.

Moja znajomość angielskiego przed przyjazdem do Stanów ograniczała się jedynie do paru słów dotyczących powitania, podziękowania i przeprosin, oraz do jednego pełnego zdania, które brzmiało następująco;

„– Przykro mi, ale amerykański angielski różni się tak bardzo od europejskiego, że na razie nic nie rozumiem”.

Tylko tyle zdążyłam się nauczyć przed wyjazdem z Polski na kilku lekcjach u koleżanki, lektorki języka angielskiego. „Lekcje”, to może za dużo powiedziane – były to raczej spotkania, podczas których najmniej czasu poświęcałyśmy, niestety, nauce języka.

Zemściło się to na mnie natychmiast, już na lotnisku w Montrealu, skąd mieliśmy przesiadkę do Chicago.

Oszczędzę tu opisu moich występów przed pracownikami Biura Imigracyjnego; dość powiedzieć, że zdanie o różnicy między europejskim i amerykańskim angielskim wzbudziło życzliwe zrozumienie. I to było na tyle, jeśli szło o całą naszą konwersację w tych językach.

Próbowałam przejść na francuski, którego to znajomość miałam potwierdzoną na piśmie przez klub MPiK. Szybko okazało się jednak, że przydało mi się z tego kursu tylko parę grzecznościowych zwrotów. Stan posiadania czytankowych państwa Lefevre, zarówno w ich domu, jak i w ogrodzie, chyba nikogo na tym lotnisku by nie zainteresował. Nawet nie próbowałam... Podobnie bezużyteczna była moja umiejętność wyrecytowania na pamięć obszernych fragmentów z „Kwiatów Zła” Baudelaire’a, w oryginale.

Dobrze, że odstawiłam na chwilę bagaże i miałam wolne ręce...

Ameryka zachwyciła mnie od pierwszego spojrzenia. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeniosłam się z szarej, socjalistycznej rzeczywistości Polski lat osiemdziesiątych, z jej pustymi sklepami, ciemnymi wieczorem ulicami i zmęczonymi, zdenerwowanymi ludźmi do kolorowej i bajkowej krainy marzeń.

Przez parę dni zajmowałam się tylko zwiedzaniem i chłonięciem tych wszystkich wspaniałości, odkładając na bok myśli o czekającej mnie pracy. Byłam przekonana, że wszystko pójdzie jak po maśle i poradzę sobie z łatwością.

To były piękne, krótkie wakacje.

W niedzielę wieczorem Ewa podwoziła mnie swoim samochodem pod nieduży, dwupiętrowy dom w willowej dzielnicy na północy Chicago. Białe ściany otoczone zielenią, szerokie schody wejściowe, w oknach delikatne ozdobne białe kraty – w sumie dom sprawiał całkiem przyjemne wrażenie.

Drzwi otworzyła nam wysoka, postawna kobieta w nieokreślonym wieku. Zmierzyła mnie uważnym, surowym spojrzeniem i wtedy po raz pierwszy poczułam się niepewnie. Znikło nagle moje dobre samopoczucie, pojawił się strach przed nieznanym.

Jean, bo tak nam się przedstawiła, była przyjaciółką i prawną opiekunką mojej podopiecznej. Zaprowadziła nas do pokoju, gdzie w fotelu, w sukni w duże kolorowe kwiaty siedziała siwowłosa, szczupła staruszka z haczykowatym nosem i karminowo uszmkowanymi ustami.

Uśmiechnęła się niepewnie na powitanie i nagle odkryłam, że babcia jest równie przestraszona, jak ja.

Koleżanka przedstawiła mnie obu kobietom, wychwalając prawdopodobnie moje rozliczne zalety i pożegnała się życząc mi powodzenia.

– Nie przynieś mi wstydu – szepnęła na odchodne – Musisz sprawiać wrażenie osoby, która wszystko rozumie, więc na wszelki wypadek rób mądre miny. Powinnaś się domyślić z gestów i intonacji o ci im chodzi.

Ewa poszła, a ja zostałam nagle sama, zdana na własne siły.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza, którą wreszcie przerwała Jean, zadając mi pierwsze z serii niekończących się pytań, na które nie znałam odpowiedzi. Domyślanie się sensu pytania z gestów nie wchodziło w rachubę; Jean siedziała nieruchomo a zdania wypowiadała sucho i beznamiętnie. Moje „przepraszam, ale amerykański angielski...” brzmiało coraz ciszej i coraz żałośniej.

Miałam ochotę zapaść się pod ziemię, byle tylko nie widzieć jej rosnącego zniecierpliwienia.

W końcu z westchnieniem zaprowadziła mnie do kuchni, gdzie raczej zgadłam, niż zrozumiałam, że pyta mnie o umiejętność gotowania. Na wszelki wypadek pokiwałam z przekonaniem głową, wykrzywiając twarz w imitacji uśmiechu.

Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak podle. Nie dalej jak rano byłam taka pełna entuzjazmu i wiary we własne siły, teraz moja pewność siebie spadła zupełnie do zera.

Wróciłyśmy do babci, która zaczęła nagle pochlipywać. Jean pogłaskała ją uspokajająco po twarzy, ścierając przy okazji całą masę różowego pudru z jej policzka. Byłam załamana, odniosłam jednak wrażenie, że babcia bardziej udaje, niż naprawdę płacze.

Mimo efektownego wstrząsania ramionami i coraz głośniejszych szlochów wydobywających się z jej piersi, nie uroniła ani jednej łzy. Od czasu do czasu rzucała mi niechętnie spojrzenia, usiłując bezskutecznie osuszyć choćby jedną łezkę dużą, kraciastą chustką do nosa.

Nie musiałam znać dobrze angielskiego, żeby domyślić się, co mówi do Jean między jednym bolesnym spazmem a drugim.

Miałam już serdecznie dość tej komedii ze mną w roli głównej, ale i tak nie wiedziałam, jak im to powiedzieć.

Dość długo jeszcze dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że je oszukałam starając się o tę pracę bez znajomości języka. Dużo później dowiedziałam się jednak, że doskonale zdawały sobie z tego sprawę. I w tym konkretnym przypadku nie było to żadną przeszkodą.

Znalezienie odpowiedniej opiekunki dla Lindy było znacznie trudniejsze, niż mogłoby się to wydawać na pierwszy rzut oka. Rozkapryszona, zaborcza i przyzwyczajona do rządzenia babcia wykańczała kolejne dziewczyny. Najbardziej wytrwała z nich wytrzymała podobno dwa tygodnie, najmniej odporna uciekła po trzech dniach nie żądając nawet zapłaty.

Inna sprawa, że przez te trzy dni wykonała tyle telefonów do Polski na koszt Lindy, że i tak była na plusie...

W tej chwili jednak nie wiedziałam tego wszystkiego i stałam w pokoju, czekając na rozwój wydarzeń.

Tymczasem Jean uspokoiła trochę babcię i zaprowadziła mnie do sypialni obok, gdzie stały dwa łóżka nakryte białymi, wełnianymi narzutami.

– Linda – powiedziała głośno, przykładając złożone jak do modlitwy ręce do policzka i wskazując na puste łóżko. Widząc błysk zrozumienia w moich oczach pokazała mi drugie

łóżko, tłumacząc coś przy tym z ożywieniem. Byłam przekonana, że ma być ono dla mnie i że cała ta przemowa tego właśnie dotyczy. Poczekalam uprzejmie aż skończy i ruszyłam po swoją walizkę. Z trudem wtaszczyłam ją do sypialni i już miałam postawić przy łóżku, gdy nagle zobaczyłam zdumione spojrzenie Jean.

– Nie! – wykrzyknęła zgorszona, gestem każąc mi wynieść bagaż z pokoju.

Zupełnie nie wiedziałam, o co jej chodzi.

– „To co ja mam do diabła zrobić z tą walizką, skoro mam tu mieszkać przez jakiś czas?” – pomyślałam zdziwiona.

Jean tymczasem znów coś mi tłumaczyła, tym razem powoli i bardzo starannie wymawiając każde słowo, jakby to o wymowę, a nie o nieznaną języka chodziło.

– Herb spać – powiedziała w końcu i znów pokazała na puste łóżko.

– Spać? – upewniłam się nieśmiało.

– Tak – ucieszyła się najwyraźniej Jean, zadowolona z moich postępów.

Wprawdzie nie wiedziałam co znaczy „Herb”, ale postanowiłam sprawdzić to w słowniku zaraz po jej wyjściu. Najważniejsze, że dogadałyśmy się wreszcie co do tego spania, resztą postanowiłam zająć się później.

Wróciłyśmy do babci, która w tym czasie zdążyła się zdrzemnąć w fotelu. Kiedy otworzyła oczy i dotarło do niej, że to nie jest niestety koszmarny sen, znów zaczęła szlochać. Jean bezradnie gładziła ją po plecach, a ja usiadłam na brzegu stojącego tam tapczanu i usiłowałam opanować nerwowe szczękanie zębami.

– Niech ona już idzie do domu, niech ona już idzie do domu – powtarzałam w myślach jak mantrę wpatrując się z bolesnym napięciem w ekran stojącego w kącie telewizora.

W końcu Jean musiała już naprawdę iść. I myślę, że tylko to właśnie mnie wtedy uratowało. Gdyby całe zdarzenie miało miejsce rano, być może próbowałyby szukać kogoś innego, w innej agencji.

Ale była już dziesiąta wieczór, a ona szła rano do pracy.

– Spać – powiedziała i pomogła Lindzie wstać z fotela. Babcia ruszyła powoli i z wysiłkiem, podpierając się balkonikiem. Drewniana laska wisząca na jego oparciu stuknęła o aluminiowe rurki przy każdym kroku. Szłam za nimi jak za konduktem pogrzebowym.

– Lucy spać – powiedziała zbolalym głosem babcia.

Nie bardzo uśmiechało mi się spanie z babcią w jednym pokoju, ale nie miałam wyboru. Poszłam więc po swoją walizkę. Już w chwili gdy z nią wchodziłam do sypialni, odniosłam wrażenie, że znów robię coś nie tak. Kiedy zaś stanęłam przy łóżku i podniosłam rękę, żeby delikatnie odsunąć narzutę Linda otrząsnęła się z odrętwienia i zaczęła wykrzykiwać coś w moim kierunku. Zrozumiałam tylko powtarzane stale „Herb, Herb!”.

– Kurcze – pomyślałam – to właśnie to słówko, które miałam sprawdzić w słowniku!

Jean wybiegła gdzieś i po chwili wróciła trzymając w ręce fotografię. Zobaczyłam na niej Lindę, młodszą o jakieś czterdzieści lat, w towarzystwie łysiejącego, sympatycznie wyglądającego mężczyzny, który zapewne był jej mężem.

– Linda, Herbert – powiedziała pokazując na nich – Herbert, Herb – poprawiła, stukając palcem w fotografię. Chwilę jeszcze wahała się, szukając odpowiedniego gestu, w końcu jednak zrezygnowała. Może chciała mi pokazać, że mąż Lindy już nie żyje, ale najwyraźniej zabrakło jej koncepcji. Całe szczęście, bo i bez tego czułam się jak ostatnia idiotka.

Łóżko, na które tak bezceremonialnie usiłowałam się wpackować, należało kiedyś do Herberta, męża Lindy i było, jak się miałam o tym w przyszłości przekonać, jedną z wielu świętości w tym domu.

Ja miałam spać w pokoju obok, w którym siedziałyśmy podczas tego, co w zamierzeniu miało być rozmową kwalifikacyjną, a okazało się niezrozumiałym dla mnie monologiem Jean. Kiedy ta wreszcie wyszła, odprowadzana rozpaczliwymi szlochami babci, marzyłam już tylko o gorącej kąpiel i o łóżku. Wiedziałam, że rano wszystko wyda mi się łatwiejsze i jakoś

sobie z tym poradzę. Jeśli nie wyleciałam od razu, to może uda mi się zostać tu parę dni, zanim agentka nie znajdzie mi czegoś innego.

W łazience jednak czekało mnie rozczarowanie. Wyglądało na to, że Jean wychodząc zamknęła wodę. Kręciłam pięknymi, błyszczącymi gałkami na wszystkie strony z coraz większą desperacją. Nadaremnie – woda nie chciała popłynąć.

Spocona i kompletnie już zdruzgotana przemknęłam się po cichu do kuchni, gdzie stał aparat telefoniczny. Wydawało mi się, że melodyjne tony wystukiwanego numeru do Ewy rozbrzmiewają w całym apartamencie babci. Ze strachem wpatrywałam się w ciemność salonu za drzwiami małej kuchenki.

– Ewa? – rozplakałam się do słuchawki słysząc głos koleżanki. – To było straszne, zupełnie inaczej to sobie wyobrażałam. Babcia jest koszmarna, jej przyjaciółka jeszcze gorsza, a ja zupełnie nie rozumiem o co im chodzi! Na domiar złego nie mogę się umyć, bo nie da się odkręcić tych cholernych kurków w łazience; chyba zamknęły na noc wodę!

Jeśli liczyłam na słowa pociechy, to byłam w błędzie. Ewa, osoba trzeźwa i opanowana wysłuchała spokojnie mojej histerycznej relacji i przywołała mnie do porządku.

– Płakać możesz sobie w nocy, w łóżku – powiedziała – teraz marsz do łazienki! Masz całą noc na to, żeby uruchomić prysznic. I nie wolno o nic pytać, bo pomyślą, że przyjechał tuman z Polski. Ty masz wszystko wiedzieć!

Na szczęście nie potrzebowałam do tego całej nocy. Swoją złość na los i na Bogu ducha winną koleżankę wyładowałam na tych nieszczęsnych kurkach. W końcu, za którymś tam razem, upragniona woda popłynęła. Okazało się, że wystarczyło pociągnąć kurek do siebie, a następnie przekręcić w prawo albo w lewo na ciepłą lub zimną wodę.

Gorący prysznic przyjemnie rozluźniał moje napięte mięśnie. Miałam wrażenie, że całe zdenerwowanie spływało z mojego ciała ciepłymi strugami i ginęło w czeluściach kratki odpływowej lub unosiło się z kłębamii pary wodnej.

Niechętnie zakręciłam wodę i przetałam ręką zaparowane lustro.

– Jakoś to będzie – uśmiechnęłam się z nowym optymizmem do swojego odbicia.

Ubrałam bez pośpiechu koszulę nocną i zauważyłam, że nie zabrałam ze sobą szlafroka. Otworzyłam cichutko drzwi i, żeby nie budzić babci, zaczęłam skradać się na palcach do stojącej w przedpokoju walizki.

Nagły, przeraźliwy dźwięk zmroził mi krew w żyłach.

Stałam w pół kroku, jak sparalizowana, nie mogąc zlokalizować źródła tego przekłętego hałasu. Domyślałam się, że to jakiś alarm, ale zupełnie nie miałam pojęcia, czego mógłby dotyczyć. Pomyślałam, że to może włamywacze z którymi nie będę umiała się porozumieć. Nie wiedziałabym też, jak się dzwoni na policję.

Tymczasem w przedpokoju rozpętało się prawdziwe pandemonium. Alarm wył i pisał opętanczo, babcia, która zdążyła wyjść z łóżka i przydreptać ze swoim balkonikiem, krzyczała histerycznie i szturchając mnie laską pokazywała coś na suficie.

W górze tkwiła mała biała puszka z migającym na czerwono punktem. Zrozumiałam, że powinnam jakoś dostać się tam, wcisnąć guzik i w ten sposób wyłączyć całe urządzenie. Pobiegłam po krzesło, aby przy jego pomocy wspiąć się na górę, ale odstawiłam je czym prędzej widząc jak babcia z furią stuka się w czoło.

Ruszyła w stronę drzwi wyjściowych, a ja za nią. Najwyraźniej miała zamiar prosić sąsiadów o pomoc i była po temu najwyższa pora. Czulałam się już za nią odpowiedzialna, więc nie odstępowałam jej ani na krok.

Wyszłyśmy na ciemną klatkę schodową. Cisza, jaka nagle zapanowała była niemal namacalna.

– Cisza?!!

Odwrociłam się przez ramię i z przerażeniem zauważyłam, że nie przytrzymywane przez nikogo drzwi zatrzęsły się bezszelestnie w tych warunkach.

Mokre włosy stanęły mi dęba. Fantastycznie! Ciemna klatka schodowa, dwie przestraszone i nie mogące się dogadać kobiety w nocnych koszulach i klucze zatrzaśnięte w mieszkaniu, w którym wyje alarm. Lepszego rozpoczęcia pracy nie mogłam sobie nawet wymarzyć...

Drżącą ręką zapukałam do drzwi sąsiadki.

Kochana, mądra i wyrozumiała Lori miała na szczęście zapasowe klucze od apartamentu Lindy. Ta przemiła starsza pani jeszcze nie raz ratowała mnie z opresji.

Wprowadziła nas do środka, otworzyła szeroko okna i alarm ucichł prawie natychmiast. Wy tłumaczyła mi spokojnie, gestykulując przy tym obrazowo, że włączył się alarm przeciwpożarowy. Czujnik ciepła umieszczony na suficie przy drzwiach od łazienki zareagował na gorącą parę wodą, która buchnęła po otwarciu drzwi.

A wystarczyło tylko włączyć wywietrznik... Tylko skąd ja to mogłam wtedy wiedzieć?

Teraz nie miałam już żadnych wątpliwości, że wylecę z wielkim hukiem następnego dnia. Nie wzięłam jednak pod uwagę sklerozy Lindy.

Mimo tych wszystkich dramatycznych przeżyć – prawie całą noc siedziałam przy jej łóżku i głaskałam ją po ręce – rano nic nie pamiętała. Wstała z uśmiechem na twarzy i zjadła z apetytem śniadanie, które stało się nieprzemijającym przebojem całego mojego pobytu. A kiedy zasiadłyśmy już w fotelach naprzeciwko siebie zaczęła opowiadać historię swojego życia. Minęło jeszcze wiele czasu zanim zrozumiałam z tego cokolwiek, ale właśnie wtedy po raz pierwszy i nie ostatni usłyszałam: – So... anyway...

ROZDZIAŁ DRUGI

Ptaszka poznałam przez Ewę, która czuła się w pewnym sensie odpowiedzialna za mnie i bardzo serio traktowała swoje obowiązki. Nie poprzestała tylko na wysłaniu mi zaproszenia; pożyczyła pieniądze na wyjazd, odebrała mnie z lotniska, załatwiła pracę a teraz szukała dla mnie znajomych, żebym nie została tu sama kiedy ona w końcu wróci do Polski. Byłam jej bardzo za to wszystko wdzięczna.

– Odwdzięczysz mi się pomagając kiedyś komuś innemu – odpowiadała, kiedy poruszałam ten temat.

Starałam się później, jak mogłam, niestety nie udało mi się to tak jak Ewie. Jediną osobą z tych, którym wysłałam zaproszenie a które dostały wizę była Władzia, moja koleżanka. Teraz to ja pełniłam rolę opiekunki i sprawiało mi to ogromną satysfakcję. Ta historia nie zakończyła się jednak tak szczęśliwie, jak moja; Władzia zachorowała ciężko i po paru miesiącach musiała wracać do domu. Zastanawiałam się kiedyś, co by było gdyby nie wyjeżdżała do Ameryki i nie narażała się w związku z tym na stresy. Czy ukryta choroba tarczycy ujawniłaby się kiedykolwiek?

Teraz jednak zajęta byłam tylko swoimi sprawami i kuszącą perspektywą pierwszej wolnej niedzieli. Trochę martwił mnie fakt, że to nie z Ewą ją spędzę ale ta szybko rozwiała moje obawy.

– Nie będziesz sama – wyjaśniła szybko – Zajmie się tobą lekarz, który mieszka z żoną w tej samej, co ty dzielnicy. Obiecali się tobą zająć, zaprosić na obiad a potem pokazać Chicago. Ta znajomość bardzo ci się przyda, bo przecież nie możesz zostać później sama, musisz mieć jakichś przyjaciół.

W sobotę wieczorem pan doktor zadzwonił osobiście.

– Lucy? – usłyszałam chrapliwy, lekko zduszony głos. – To ja mam cię zabrać jutro na obiad. Przyjadę tam jako twój kuzyn, tu wszyscy Polacy są kuzynami – zaśmiał się nagle.

Nie bardzo rozumiałam, po co ten cały kamuflaż, przecież chyba mogę mieć tutaj swoich znajomych?

– Będę cię pewnie odwiedzał częściej w domu babki – wyjaśniał nie kryjąc zniecierpliwienia – Po co ma wiedzieć, że obcy chłop do ciebie przychodzi? Kuzyn to kuzyn, sama rozumiesz, więzy krwi.

Dalej nie bardzo rozumiałam ale bałam się, że po mnie w końcu nie przyjedzie, więc dałam spokój. Niech będzie co chce, bylebym tylko wyrwała się z tego domu na parę godzin.

Miałam za sobą wyjątkowo ciężki tydzień. Szybko okazało się, że nie miałam prawa do żadnych spacerów, ba nawet w domu nie mogłam robić tego co chciałam. Każda chwila mojego czasu należała do babci. Poza wyjątkami, kiedy to przygotowywałam posiłki lub sprzątałam niewielki apartament, musiałam być nieustannie w zasięgu wzroku Lindy. I chociaż ta większość czasu przesypiała w fotelu pod oknem, musiała mieć pewność, że jestem w pobliżu. Otwierała zniecka jedno oko i sprawdzała gdzie jestem. Jeśli byłam w pobliżu, zasypiała ponownie. Dramat zaczynał się w chwili, gdy mnie nie widziała.

– Lucy, gdzie jesteś?! – wołała wtedy rozpaczliwie, usiłując gorączkowo wstać z fotela i ruszyć na poszukiwania. Robiła przy tym mnóstwo hałasu; szarpała oporny balkonik zrzucając przy okazji, z łoskotem, laskę na podłogę. W takich chwilach zostawiałam wszystko i pędziłam szybko do salonu. Gorzej gdy te rozpaczliwe krzyki wywoływały mnie z ubikacji...

Starałam się więc jak najradziej opuszczać fotel stojący naprzeciwko babci. Siedziałam tam ucząc się angielskiego z samouczków lub pisząc listy. Linda spała spokojnie, rzadko tylko sprawdzając, czy jestem. W przerwach między jedną drzemką a drugą raczyła mnie opowieściami, z których i tak nic nie rozumiałam.

Był to najdłuższy i chyba najbardziej stresujący tydzień w moim życiu. Sześć prawie nieprzespanych i przeplakanych nocy i tyle samo dni bezczynnego siedzenia w fotelu. Dochodził

do tego codzienny strach, że babcia straci cierpliwość i wyrzuci mnie w końcu po kolejnym, z wielu popełnionych błędów, wynikających z nieznamości języka.

Nadeszła upragniona niedziela. Jean przyjechała zająć się babcią podczas mojej nieobecności a ja, ubrana już do wyjścia, czekałam na „kuzyna”. Kiedy przyjaciółka Lindy otworzyła drzwi, do salonu wkroczył mały, korpulentny mężczyzna o mocno kręconych włosach i grubych wilgotnych ustach.

– Witaj kuzyneczko! – rzucił się w moim kierunku i zawisł mi na szyi, obcałowując przy tym z zapalem.

Uśmiechnięte babcie przyglądały się tej „rodzinnej” scenie z wyraźnym wzruszeniem. Ptaszek z galanterią przywitał się i z nimi. Z troską w oku wysłuchał narzekań Lindy na cierpiące nogi i jako lekarz zaordynował jej gimnastykę polegającą na wymachiwanie nimi w fotelu. Babcia zaczęła ćwiczyć natychmiast.

Wyszliśmy z domu odprowadzani życzeniami miłej niedzieli i zapewnieniami, że „pan doktor będzie tu zawsze mile widziany”.

W samochodzie Ptaszek uśmiechnął się protekcyjnie.

– Widzisz, jakie to łatwe? Wystarczy udać zainteresowanie ich zdrowiem, pogadać chwilę i już są twoje. Teraz będę cię mógł odwiedzać bez przeszkód.

To mówiąc mierzył mnie uważnym spojrzeniem swoich lekko wylupiastych oczu. Poczulałam się niepewnie, coraz mnie podobał mi się ten „kuzyn”. Ruszyliśmy sprzed domu Lindy. Usiłowałam zachować powagę na widok jego zmagania z pedałem gazu. Ptaszek był niewielkiego wzrostu, więc aby dosięgnąć któregoś z pedałów, musiał się zsunąć lekko w dół. Momentami więc samochód wyglądał z pewnością tak, jakby w nim jechał sam pasażer.

– Zjemy gdzieś na mieście – poinformował mnie tymczasem „kuzyn” zjeżdżając pod deskę rozdzielczą w kierunku hamulca; zbliżaliśmy się właśnie do skrzyżowania.

– Żona dzisiaj pracuje i nie możemy cię zaprosić do domu – dodał nurkując tym razem do pedału gazu, jako że światła zdążyły się już zmienić.

– Zdaję się całkowicie na ciebie – wyrwało mi się nieopatrznie, czym sprawiłam mu widoczną przyjemność. Wynurzył się spod kierownicy i położył rękę na moim kolanie.

– Coraz bardziej mi się podobaasz – uśmiechnął się zadowolony – Czuję, że to jest początek pięknej znajomości.

Ja czułam coś wręcz przeciwnego, ale na razie nie dzieliłam się z nim moimi odczuciami. Postanowiłam nie kontynuować tej znajomości po dzisiejszym obiedzie.

Tymczasem wjechaliśmy w jakąś brudną, zaniedbaną dzielnicę z odrapanymi brzydkimi kamienicami.

– Zaczekaj tu na mnie – poprosił Ptaszek gramoląc się niezdarnie z samochodu – Mam tu pacjenta, któremu muszę zrobić zastrzyk. To zajmie tylko parę minut.

Rzeczywiście, wrócił po chwili, niosąc w ręku szarą papierową torbę. Wydawał mi się coraz bardziej spięty. Chwilę kluczyliśmy po wąskich uliczkach, w końcu zatrzymał się z tyłu jakiegoś długiego, niskiego budynku.

– Wstąpimy tu na chwilę na drinka a potem pojedziemy na obiad – wyjaśnił, zatrzymując samochód na parkingu.

Dziwna to była knajpa, żadnych neonów przed wejściem, żadnych reklam. Ale, jak zdążyłam już zauważyć, w Ameryce prawie wszystko wyglądało inaczej niż w Polsce. Z lekkim ociąganiem wysiadłam z samochodu, ponaglana przez niecierpliwego Ptaszka.

Coraz bardziej nie podobało mi się to miejsce. Brak klientów wydawał mi się co najmniej podejrzany.

– Nie mam ochoty na drinka – zatrzymałam się nagle przed drzwiami knajpy.

– Zawracasz głowę! – Ptaszek przekręcił klucz w zamku i wepchnął mnie lekko do środka. Jeśli miałam jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości to rozwiął je widok szerokiego łóżka na cen-

tralnym miejscu w pokoju, do którego weszliśmy. Byłam w motelu, prawdopodobnie w pokoju „na godziny”.

Stałam nie wiedząc, co mam dalej robić. Krzyżeć? I kto mi uwierzy, że weszłam tam nieświadomie? Aż na taką idiotkę nie wyglądałam. Uciekać? Nawet nie wiem, gdzie jestem i jak wrócić do domu. Zresztą nie umiałabym nawet spytać o drogę, nie znając przecież angielskiego. A paszport zostawiłam u Lindy, zgodnie z zaleceniem Ewy.

Zdana więc byłam na łaskę i niełaskę Ptaszka, który tymczasem, najspokojniej w świecie wyjął z szarej torby butelkę whisky i dwa plastikowe kubki. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie mam innego wyjścia, jak zostać z nim w tym motelu. Rozlał więc alkohol do kubeczków i zaczął się powoli rozbierać. Po chwili, zupełnie nagi, ułożył się w malowniczej pozie na łóżku i poklepał miejsce obok siebie.

– No chodź, przecież widzę, że masz ochotę. Nie udawaj takiej świętoszki.

Mimo całej grozy tej sytuacji, z trudem opanowywałam nerwowy chichot. Jeden rzut oka upewnił mnie, że „kuzyn” nie ma specjalnie czym zrobić mi krzywdy. Mógł mnie tylko nieszkodliwie przestraszyć i ewentualnie rozśmieszyć.

Tymczasem Ptaszek stracił cierpliwość i pociągnął mnie na łóżko. Chwilę walczyliśmy ze sobą.

– Dlaczego chcesz to robić na siłę? – przestałam się na moment wrywać. – Napijmy się najpierw, to pomoże mi się rozluźnić. Przecież chyba po to kupiłeś ten alkohol.

– Nareszcie zachowujesz się rozsądnie – odetchnął z wyraźną ulgą i sięgnął po kubki z whisky. Skorzystałam z okazji, zerwałam się na równe nogi i uciekłam do łazienki. Zamknęłam zasuwkę w chwili, gdy dobiegał do drzwi.

– Wyłaź stamtąd idiotko! – zawołał przytłumionym głosem – Nie rób sensacji, bo zaraz wszyscy się tu zbiegną!

– Wyjdę, jak mnie odwieziesz natychmiast do Ewy – rozplakałam się, trzymając na wszelki wypadek klamkę.

– Przecież nie zrobię ci krzywdy – przekonywał mnie cicho – Sama tego chciałaś.

– Ja tego chciałam?! – z oburzenia przestałam płakać i z urazą wpatrywałam się w zamknięte drzwi. – Co też ci przyszło do głowy!

– A kto... – krzyknął Ptaszek, zapominając o zachowaniu dyskrecji; zaraz się jednak zreфлекtował i już cichym głosem mówił dalej: – A kto powiedział, że zdaje się całkowicie na mnie?!

Nie wyszłam, dopóki nie miałam pewności, że emocje mu opadły. Przestał mnie w końcu namawiać do wyjścia i za drzwiami zapanowała cisza. Przyłożyłam ucho do gładkiej powierzchni i chwilę nasłuchiwałam. Odezwał się nagle, tak głośno, aż podskoczyłam ze strachu.

– Możesz już stamtąd wyjść, zawiozę cię do Ewy. Nie chcę mieć nic wspólnego z taką głupią gęsią.

Przez całą drogę nie odezwał się do mnie ani słowem, a potem wysadził mnie na rogu ulicy, kilkanaście metrów przed domem Ewy.

– Ten twój przesympatyczny doktorzek wzrostu siedzącego psa dobierał się do mnie w motelu! – rozplakałam się na nowo, kiedy otworzyła mi drzwi.

– W motelu?! A co ty, na Boga, robiłaś z nim w motelu? – spojrzała na mnie zbulwersowana.

Byłam na siebie wściekła. W końcu miałam już swoje lata i doskonale wiedziałam, czego może oczekiwać od kobiety mężczyzna o takim spojrzeniu. Ale, jak ostatnia idiotka, poszłam za nim, mimo że widziałam go pierwszy raz w życiu.

Ptaszek miał trochę racji, może niekoniecznie sama tego chciałam, jak twierdził, ale na pewno sama się o to prosiłam.

Kiedy opowiedziałam Ewie całą historię, przyznała, że nie знаła go osobiście. Był to znajomy znajomych, który dowiedział się przypadkiem o moim przyjeździe i zaoferował z pomocą.

W poniedziałek po tym zdarzeniu „kuzyn” zadzwonił z przeprosinami. Tłumaczył swoje zachowanie tym, że stracił głowę na mój widok i nie wiedział, co robi. Podobno zdarzyło mu się to po raz pierwszy, zwykle jest bardzo opanowany. Akurat! Jestem przekonana, że tak właśnie „witał” niejedną, świeżo przybyłą do Ameryki, naiwną Polkę.

Dzwonił codziennie, a ponieważ nie chciałam z nim rozmawiać, zjawił się pewnego dnia schowany za dużym bukietem kwiatów, czym do łez rozczulił Lindę.

Znalazł sposób na to, żeby bez przeszkód odwiedzać mnie w domu babci – za każdym razem mierzył jej ciśnienie. Była nim oczarowana; nie dość, że robił to za darmo – rzecz w Ameryce niespotykana – to jeszcze wysłuchiwał cierpliwie jej rozlicznych problemów zdrowotnych.

Nawet i ja przyzwyczyłam się do tych wizyt, miałam z kim zamienić parę słów po polsku. Z Ewą, z wiadomych względów, nie rozmawiałam zbyt długo przez telefon. A Ptaszek starał się być pomocny i taki, rzeczywiście był. Przynosił mi polską prasę i książki, wysyłał moje paczki do domu i zaopatrywał w leki.

Może faktycznie nieświadomie zachęciłam go do takiego zachowania, ale to nie zmienia faktu, że zawiódł moje zaufanie. Oszukał mnie z całą premedytacją, jego żona nic o mnie nie wiedziała i nie zapraszała na żaden obiad, a więc z góry wiedział, co chce zrobić. Zawiózł mnie podstępnie do motelu i usiłował nastraszyć tym swoim ptaszkiem.

Nie polubiłam go nigdy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po tej przykrej przygodzie z Ptaszkciem, Ewa już do końca swojego pobytu zabierała mnie do siebie na każdy weekend. Ona też opiekowała się babcią, ale miała dużo więcej swobody, niż ja. Mogła wychodzić między posiłkami, a ponieważ miała samochód, jeździliśmy po całym Chicago. Dużo dzięki niej zwiedziłam.

Tak było w niedziele, w tygodniu zaś siedziałam godzinami w fotelu na wprost babci. Przygotowywanie posiłków zajmowało mi niewiele czasu. Podobnie rzecz się miała ze sprzątaniami tego małego apartamentu.

Z początku było mi bardzo trudno się przestawić. Z natury jestem osobą energiczną, która musi być w ciągłym ruchu. Tutaj, do moich obowiązków należało przede wszystkim siedzenie w fotelu i słuchanie opowieści mojej podopiecznej. Już rozumiałam, dlaczego poprzednie opiekunki nie mogły tam wytrzymać.

Nie jest łatwo całymi dniami tylko siedzieć i słuchać jednej i tej samej historii. Zwłaszcza, jeśli się nie zna angielskiego a i sam temat nie jest zbyt pasjonujący. Cóż mogło mnie obchodzić cudze życie, miałam dość problemów ze swoim własnym.

Wiedziałam jednak, że muszę przynajmniej spróbować się przystosować do nowych warunków. Zależało mi na pracy, w końcu nie przyjechałam tam na wakacje.

Początkowo nawet nie starałam się udawać, że słucham tych opowieści. Myślni byłam daleko, monotony głos Lindy usypiał mnie i uspokajał. Tęskniłam za domem i za dziećmi. Najchętniej uciekłabym stamtąd, gdybym tylko miała taką możliwość.

Ale, ponieważ takiej możliwości nie było, nie zostawało mi nic innego, jak pogodzić się z losem i znaleźć dobrą stronę tej sytuacji. Miałam jedyną i niepowtarzalną okazję, aby za darmo nauczyć się języka.

Zacząłam więc z uwagą przysłuchiwać się opowiadaniom babci. Wylawiałam powtarzające się codziennie słówka i sprawdzałam je w słowniku. W stosunkowo niedługim czasie wiedziałam już mniej więcej, o czym była mowa.

Mogę więc śmiało powiedzieć, że Linda była moją pierwszą nauczycielką angielskiego.

Uzbrojona dodatkowo w samouczek Szkutnika i w słowniki, czułam się coraz pewniej i coraz lepiej dogadywałam się z babcią.

Już rozumiałam, oczywiście w ogólnym zarysie, czego dotyczyły te opowieści.

Była to historia jej rodziny. Niekończące się wspomnienia o ukochanych siostrach, Elmie i Selmie, o bracie Tedzie, który wyszedł pewnego wieczora z domu i już nigdy nie powrócił, co stało się przyczyną przedwczesnej śmierci ich matki.

Opowiadała też o Herbie, mężu, z którym spędziła wiele szczęśliwych lat. Jego popiersie, wykonane w gipsie przez Lindę, spoglądało na nas życzliwie ze stolika przy jej fotelu.

Nie mieli dzieci. Podobno Linda była wątłego zdrowia i lekarz zabronił jej zachodzenia w ciążę. Herbert za nic nie chciał narażać ukochanej żony.

Cóż za ironia losu! Zdrowy, silny Herbert nie żył już od wielu lat, podczas gdy słabowita Linda trwała i trwała nie mając już nikogo bliskiego na tym świecie.

Oczywiście, nie od razu zrozumiałam to wszystko. Z początku wiedziałam tylko, że chodzi o siostry, braci, czy męża, bo te słówka i imiona powtarzały się najczęściej. Cała reszta opowiadania była jeszcze dość długo dla mnie niezrozumiałym bełkotem. Robiłam jednak odpowiednie miny, dostosowując się do tonu głosu Lindy. Jeśli opowiadała coś z rozbawieniem, ja zaśmiewałam się do łez. Smutniałam, kiedy ona smutniała i kiwałam głową z niedowierzaniem powtarzając: „to niesłychane!”, kiedy mówiła coś z filuternym błyskiem w oku.

Nie wynikało to wcale z lekceważenia babci. Wtedy dawało mi to czas na spokojne oswojenie się z językiem, a ona była szczęśliwa, że ktoś ją z taką uwagą wysłuchuje. Moje gamoniowate miny z pewnością nie wprawiłyby jej w dobry nastrój.

Powoli z tych opowiadań wyłaniał mi się obraz zupełnie innej Lindy. Widziałam w myślach żywiolową, pełną radości życia i humoru piękną kobietę, otoczoną mnóstwem przyjaciół. Rozkapryszona, kokieteryjna artystka była duszą towarzystwa, dzisiaj te cechy charakteru już dawno przestały być jej zaletami.

Linda piękniała podczas tych opowiadań, żyła znów tamtymi dniami. Kiedy usypiała nagle w środku opowiadania ze swoim nieśmiertelnym „So... anyway...”, na jej twarzy malował się błogi uśmiech.

Obie byłyśmy zadowolone z takiego układu. Ona, bo znalazła wreszcie wdzięcznego słuchacza, ja bo dzięki temu mogłam uczyć się angielskiego, którego to nieznajomość coraz bardziej mi doskwierała.

Musiałam się nauczyć mówić, choćby tylko po to, żeby wywalczyć sobie prawo do krótkich spacerów w ciągu dnia. Na moje nieporadne próby rozmowy na ten temat, Jean odpowiadała krótko:

– Nie, jesteś potrzebna Lindzie przez cały czas.

Nie umiałam jej wytłumaczyć, że nie mogę tak siedzieć, w zasadzie beczynnie, w tym ładnym, ale smutnym saloniku wypełnionym duchami z przeszłości. Nie mam dziewięćdziesięciu lat, jak Linda i potrzebuję trochę ruchu i świeżego powietrza.

Zwłaszcza, że za oknem kończył się właśnie marzec, wyjątkowo ciepły tego roku. Drzewa zaczynały się zielenić, a wśród gałęzi uwijały się karmazyny, nieznane u nas ptaszki z czerwonymi brzuskami. Po trawnikach biegały wiewiórki, różne od naszych, bo szare, a nie rude.

Wszystko to mogłam podziwiać, niestety tylko przez jedno z sześciu okien naszego saloniku. Każde z nich ozdobione było ukośnie zbiegającymi się kratami z białych, cieniutkich drewnianych listewek, co potęgowało tylko wrażenie zamknięcia w klatce.

Apartament babci był niewielki, ale bardzo ładny. Dwie sypialnie, mała ślepa kuchnia, łazienka i uroczy salonik, w którym przesiadywałyśmy całymi dniami. Tym salonikiem byłam oczarowana już pierwszego dnia.

Stały tam białe, stylowe mebelki, krzesła ze złoceniami na oparciach, duży okrągły stół z zielonym błyszczącym blatem i dwa głębokie fotele ustawione pod oknami, po obu stronach stolika z lampą z białym abażurem. Taka lampa, jak później zauważyłam była w oknie każdego amerykańskiego saloniku. Zapalało się ją obowiązkowo każdego wieczora.

Cały apartament zawieszony był obrazami i licznymi zdjęciami rodzinnymi Lindy, oprawionymi w owalne ramki. Nad wygodną, kremowo-złotą kanapą z mnóstwem haftowanych poduszek wisi w szklanej gablocie stare skrzypce; prawdopodobnie pamiątka rodzinna.

Na ścianie przy wejściu do sypialni widniały liczne szkice i rysunki autorstwa babci. Przeważały portrety psów.

Jak prawie każda kobieta nie posiadająca własnych dzieci, całą miłość przelała na zwierzęta. Rysunki były bardzo ładne – Linda naprawdę miała talent.

W salonie stało też mnóstwo kwiatów, niestety sztucznych. Były jednak tak ładne i podobne do prawdziwych, że dałam się na to nabrać bez trudu. Pamiętam, jak z ogromnym zaangażowaniem podlewałam codziennie kwitnącą, nieznaną mi roślinę w dużej donicy, stojącą w kącie salonu, zanim babcia ze śmiechem mnie na tym nie przyłapała.

Jedynym, żywym elementem zdobiącym ten salonik była klatka z najprawdziwszym, ruchliwym i bardzo hałaśliwym ptaszkiem. Mała papużka, samczyk imieniem Boy umiała powtarzać niektóre wyrazy.

– That’s a boy! Pretty, pretty boy! – przemawiała do niego pieszczotliwie Linda każdego ranka po zdjęciu dużej chusty z klatki papużki.

– Pretty, pretty boy – zanosił się radosnym ćwierkaniem ptaszek.

Wieczorami osobiście przykrywała klatkę chustą, życząc przedtem dobrej nocy i kolorowych snów swojemu ulubieńcowi.

Któregoś dnia przyszła do nas z niezapowiedziana wizytą Lori ze swoją kuzynką Emily.

Emily słabo słyszała i prawie nic nie widziała, jak sędzę z powodu starczej katarakty. Niewidomi ludzie kierują się w głównej mierze słuchem, jednak nasz gość źle słyszał i nie potrafił od razu zlokalizować rozmówcy.

Poczułam się trochę dziwnie, kiedy starsza pani z uprzejmym uśmiechem dziękowała fotelowi za pyszne ciasteczka i ziołową herbatę, którymi je poczęstowałam.

Wizyta sąsiadek zbiegła się w czasie z odwiedzinami pastora. Wszystkie trzy kobiety należały do kościoła luterańskiego, więc pastor zamiast jednej, miał przy okazji trzy duszyczki do nawracania. Poczęstowałam i jego ziołową herbatką i wycofałam się do kuchni, skąd miałam doskonały widok na salonik.

Wielebny był chudym, piegowatym starszym mężczyzną, z wianuszkami rudych włosów wokół pokrytej plamami łysiny na głowie. W wyblakłych, niebieskich oczach czaił się jakiś nieprzyjemny, fanatyczny blask, kiedy z uniesionym ostrzegawczo palcem w górę grzmiał przytłumionym głosem na trzy struchlałe ze strachu babcie.

Nadstawiłam ucha i starałam się wyłowić jakieś pojedyncze słowa – przezornie miałam zawsze pod ręką słowniczek.

„Grzech nieczystości! Cudzołóstwo!” – usłyszałam, a raczej odszukałam w słowniku, ku swojemu rozbawieniu. Lori miała niedowierzającą minę, Emily była najwyraźniej zagubiona, a Linda zaczynała pochlipywać żałośnie. Pastor, zachwycony tak żywą reakcją na swoje kazanie, zapalał się coraz bardziej. Koścista ręka wygrażała ewentualnym grzesznikom, za chwilę obłudny uśmiech rozjaśniał surowe oblicze; pewnie jeszcze nie wszystko było stracone dla tych nieszczęsnych kobiet.

Lori wstała i poszła do łazienki po chusteczki higieniczne. Przez chwilę w salonie zapanała kłępiąca cisza, przerywana tylko chlipaniem Lindy i głośnym siorbaniem herbaty przez pastora.

– Cudzołóstwo! – przypomniał znów sobie wielebny gromkim głosem.

– Już nie mam nikogo na tym świecie... – moja babcia płakała już wniebogłoso.

– Jak ci się tu mieszka, Lucy? – spytała drżącym głosem Emily, zwracając się w stronę miejsca, w którym stałam wcześniej podając herbatę.

Uznałam, że najwyższy już czas zakończyć to przedstawienie. Ten człowiek może i był dobrym pastorem, ale zupełnie nie miał podejścia do starszych ludzi. Co to za pomysł, żeby straszyć mękami piekielnymi staruszki, które już pewnie nawet zapomniały, czego dotyczył grzech nieczystości i cudzołóstwa! Linda tak się cieszyła na tę wizytę, tak liczyła na pociechę duchową...

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale Linda jest już zmęczona i musi się położyć spać – weszłam do salonu i zaczęłam zbierać filiżanki i talerzyki.

Pastor zmówił szybką modlitwę, pożegnał się i wyszedł. Przy drzwiach zatrzymał się na chwilę, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale widząc moje nieprzyjazne spojrzenie, wzruszył tylko ramionami i zamknął za sobą drzwi.

Postanowiłam już więcej nie wpuszczać go do mieszkania – w końcu to ja odbierałam telefony i uzgadniałam ewentualne wizyty. Wróciłam do salonu, gdzie w milczeniu siedziały staruszki.

– Gdzie jest ten sympatyczny młody człowiek, który tu przed chwilą siedział? – pierwsza ocknęła się Linda. Wymieniłyśmy z Lori rozbawione uśmiechy. – „To dobrze” – pomyślałam – „pewnie nie będzie pamiętała tej wizyty, może uzna, że to był tylko zły sen”.

Emily potarła ramiona, jakby chciał się rozgrzać i po chwili wstała z trudem z fotela. Znała rozkład mieszkania babci, ponieważ odwiedzały się od lat, podeszła więc ostrożnie do ściany, gdzie zwykle stała klatka z papuzką.

- Pretty boy, pretty boy – zaszczębiotała nachylona na wysokość klatki.
- Nie chce dziś ze mną rozmawiać – poskarżyła się po chwili z wysiłkiem prostując plecy.
- Odpowiada, tylko cichutko – bąknęłam niepewnym głosem, rzucając zakłopotane spojrzenie w kierunku Lori.

Nie mogłam przecież powiedzieć naszemu miłemu gościowi, że przez długą chwilę szczębiotała pieszczotliwie do pustej ściany. Tego właśnie ranka odkurzałam miękką, miodową wykładzinę pokrywającą cały apartament i odstawiłam klatkę z papuzką w drugi kąt salonu. Ponieważ zaś ich wizyta była niespodziewana, nie zdążyłam odstawić ptaszka z powrotem na miejsce.

Po wyjściu sąsiadek Linda zawołała mnie z porozumiewawczym uśmiechem.

- Wiem, dlaczego Pretty Boy nie chciał dziś rozmawiać z Emily – powiedziała rozbawiona.
- No cóż, nietrudno to było zauważyć – odparłam.
- Właśnie – ucieszyła się babcia – wiedziałam, że ty też na to wpadniesz! Emily miała na sobie brzydką, szarą sukienkę, a on lubi tylko kolorowe!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dni miały, jeden za drugim, a ja byłam coraz spokojniejsza i pewna, że wyrzucenie na bruk raczej mi już nie grozi. W końcu radziłam sobie nieźle, babcia mnie zaakceptowała i co najważniejsze, coraz lepiej się dogadywałyśmy.

Wprawdzie nadal wolałam słuchać niż mówić, ponieważ układanie dłuższych zdań przychodziło mi jeszcze z trudnością. Wydawało mi się jednak, że Linda niczym nie jest mnie już w stanie zaskoczyć. Popadłam w związku z tym w błogi stan samozadowolenia, a nawet pewien rodzaj zachwyty nad własnymi zdolnościami.

Zamiast więc uczyć się angielskiego, czytałam tego dnia polską książkę siedząc w fotelu przy oknie. Linda kręciła się przez chwilę po salonie, w końcu z wielkim trudem odstawiła balkonik na bok i z rozmachem usiadła. Nagle podskoczyła gwałtownie z głośnym jękiem.

– Zęby !– wymamrotała niewyraźnie, wykrzywiając twarz.

Spojrzałam na nią niezbyt przytomnie.

– Bolał cię zęby ?– zaniepokoiłam się nagle, odkładając książkę.

To była zupełnie nowa dla mnie sytuacja i skutecznie zburzyła mój spokój. Po pierwsze, nie wiedziałam, jak jej pomóc, a po drugie wiązało się to z koniecznością wykonania telefonu do Jean i wytłumaczenia jej naszego problemu. A tu już moja umiejętność t y l k o słuchania mogłaby się okazać niewystarczająca.

Babcia zaczęła kręcić głową we wszystkie strony, co równie dobrze mogło oznaczać „tak” jak i „nie”. Żeby jeszcze bardziej utrudnić mi zrozumienie, włożyła palec do ust i z tym palcem bełkotała coś, z czego mogłam tylko od czasu do czasu wyłowić słowo „zęby”.

Wstałam więc z fotela i starając się sprawiać wrażenie osoby, która całkowicie panuje nad sytuacją, kazałam jej otworzyć szeroko usta i pokazać, który to ząb ją boli. Wykonała polecenie z dziwnym wyrazem twarzy, a ja zdębiałam – babcia nie miała ani jednego zęba!

Dziwne, mogłabym przysiąc, że jeszcze wczoraj wieczorem pokazywała mi w uśmiechu co najmniej dwa przednie zęby z resztkami czerwonej szminki...

Stałam tak w osłupieniu i zastanawiałam się gorączkowo nad tym fenomenem.

– W jaki sposób straciła wszystkie zęby tej nocy i ja o niczym nie wiem?

– Może zadzwonimy do doktora? – zaproponowałam nieśmiało.

Twarz Lindy wykrzywił dziwny grymas, który wzięłam za grymas bólu. Po chwili jednak nie wytrzymała i parsknęła śmiechem ukazując przy tym bezzębne dziąsła. Podniosła się ciężko z fotela i kazała mi iść za sobą do łazienki.

Tam z umywalki uśmiechała się do mnie szyderczo kompletna szczeka babci. Linda włożyła ją z głośnym kłapnięciem i już wyraźnie, krztusząc się nadal ze śmiechu, powiedziała:

– Chciałam tylko, żebyś mi ją przyniosła...

Jeszcze długo po tym przypominała mi, jak to miałam zamiar dzwonić po doktora, bo zapomniała włożyć szczekę. Ponieważ jednak nie robiła tego złośliwie, śmiałyśmy się obie serdecznie.

Szczeka babci była najruchliwszym przedmiotem w tym domu. Linda często zapomniała ją włożyć, lub, co gorsza, wyjmowała ją w ciągu dnia i kładła gdzie popadło. Potem obie przetrząsałyśmy całe mieszkanie w poszukiwaniu złośliwego uzębienia.

Najgorzej jednak było podczas posiłków. Staralam się zawsze zjeść pierwsza i zająć się szybko zmywaniem, aby uniknąć obrzydliwej ceremonii. Po każdym jedzeniu wyjmowała „garnitur” i oblizywała go dokładnie z resztek. Potem odkładała zęby na brzeg talerza i przykrywała je papierową serwetką. Kiedy wypila już kawę, a piła ją po każdym posiłku, oglądała jeszcze raz szczekę pod światło i kiedy oględziny wypadły pomyślnie, wkładała ją z powrotem, z nieprzyjemnym kłapnięciem.

Czasami zapominała jednak o niej, więc przed wyrzuceniem resztek do kubła na śmieci, musiałam zawsze sprawdzić, czy nic nie zostało pod serwetką.

Kiedys jednak nie sprawdziłam. Skończyło się to tak, że uzbrojona w latarkę zmuszona byłam szukać szczęki w kontenerze na śmieci przed domem, bo zdążyłam już opróżnić kubek po kolacji.

Ta historia uświadomiła mi z całą wyrazistością, że muszę nauczyć się mówić pełnymi zdaniami a nie jak do tej pory, posługiwać się całą gamą pomrukiwań, rzucając tylko od czasu do czasu jakieś pojedyncze słowo. W sytuacjach kryzysowych takie umiejętności zdawały się psu na buty. Przyłożyłam się więc bardziej do nauki.

Zdania, których nauczyłam się niemalże już od pierwszego dnia brzmiały następująco: „jaki dziś mamy dzień?”, „która godzina?” i „czy śniadanie jest już gotowe?”.

Te dwa pierwsze słyszałam codziennie przy śniadaniu, ostatnie, dotyczące właśnie śniadania, zadawała mi przez cały okrągły dzień, kiedy tylko obudziła się z krótkiej drzemki w fotelu. Sama, nieświadomie sprowokowałam całą tę sytuację.

Otóż w pierwszy dzień mojego pobytu u babci przygotowałam jej polskie śniadanie, to znaczy kanapkę z wędliną i serem, ponieważ zupełnie nie miałam pojęcia, co Amerykanie jadają rano. No i trafiłam w dziesiątkę! Linda stwierdziła, że jeszcze nigdy w życiu nie jadła tak pysznego śniadania i odtąd cały niemalże dzień schodził jej na czekaniu na ten ulubiony posiłek. Ponieważ wiedziała dobrze, że śniadanie jada się po przebudzeniu, żądała go po każdej, najkrótszej choćby, drzemce.

– Breakfast is ready? – rozlegało się kilka razy dziennie z różną intonacją, zależnie od nastroju babci. Kiedy była w złej formie psychicznej, dochodziło do konfliktów. Odmawiała jedzenia obiadu lub kolacji, bo „nie jadła jeszcze śniadania”. Nie pomagały tłumaczenia, że owszem, jadła – ona wiedziała swoje. Dzwoniła wtedy do wszystkich znajomych ze skargą, że ją głodzę i nie chcę dać śniadania. Zaniepokojona Jean przyjeżdżała wtedy aby sprawdzić, co się dzieje.

Później nie reagowała już tak histerycznie, z czasem nabrała do mnie zaufania i radziła, żebym dawała Lindzie śniadanie, kiedy tylko o nie poprosi.

Łatwo mówić, ale wykonać znacznie trudniej. Jean robiąc zakupy na cały tydzień starała się wydać jak najmniej. Miała w tym swój własny interes, jako jedyna spadkobierczyni babci.

Kupowała więc na przykład tylko cztery duże plastry szynki na nas dwie. Musiałam je tak dzielić, aby nam wystarczyły na cały tydzień. To samo dotyczyło mięsa na obiad, owoców i jarzyn. Wszystko było wyliczone po sztuce na osobę, bez możliwości dokładki.

Najgorsze jednak, że przy takim beczynnym siedzeniu nawet z nudów chciało mi się jeść. Nie miałam żadnych pieniędzy, nigdzie nie wychodziłam więc też niczego nie mogłam sobie dokupić. Schudłam wtedy parę kilogramów.

Wprawdzie Jean prosiła, żebym robiła listę zakupów pod koniec tygodnia, ale i tak kupowała tylko to, co sama uznała za stosowne. Jadałyśmy więc całymi tygodniami filety z kurczaka albo z indyka, bo akurat były na promocji. Wszelkie moje sugestie dotyczące zmiany jadłospisu, lub zwiększenia naszych racji żywnościowych pomijała milczeniem, udając, że albo nie słyszy, albo nie rozumie.

Musiałam więc radzić sobie sama. Smażyłam naleśniki albo racuchy i tym najadałyśmy się obie między chudymi, głównymi posiłkami.

Pewnej nocy obudziło mnie stuknięcie drzwi wyjściowych. Spojrzałam na zegarek, była czwarta rano, za oknem ciemno. Zapaliłam lampkę i chwilę nasłuchiwałam, przekonana, że coś mi się przyśniło.

Nagle usłyszałam, że drzwi otwierane są kluczem i ktoś wchodzi do salonu. Zerwałam się na równe nogi i zobaczyłam Lindę w koszuli nocnej, wspierającą się z oskarżycielską miną na balkoniku, a za nią naszą sąsiadkę.

– Linda przyszła poskarżyć się, że nie zrobiłaś jej śniadania – uśmiechnęła się zaspana Lori.

Byłam wściekła. Przeszła obok mojego pokoju nic nie mówiąc! Jakby mnie nie było w domu!

– Dlaczego nie poprosiłaś mnie o to cholerne śniadanie, tylko poszłaś do Lori i to o czwartej rano! – nie wytrzymałam, kiedy sąsiadka wyszła poklepując mnie pocieszająco po ramieniu.

– Nie mogłam ciebie poprosić – odparła Linda z obrażoną miną i postukując głuchobaltonikiem ruszyła w stronę swojej sypialni. Po chwili odwróciła się i dodała:

– Nie mogłam prosić ciebie, bo... bo... – przez chwilę szukała odpowiedniego słowa, aż w końcu wypaliła triumfująco

– Bo nie zostawiłaś mi swojego numeru telefonu!

Proste pytanie o dzień tygodnia zburzyło już na zawsze spokój Lindy.

Zaczął się całkiem niewinnie pewnego spokojnego marcowego poranka, a więc w pierwszych tygodniach mojego pobytu w Ameryce. Siedziałyśmy w małej kuchence przy śniadaniu i właśnie dopijałyśmy kawę wymieniając zwyczajowo uwagi na temat minionej nocy, tego, jak nam się spało i wyrażając nadzieję, że nadchodzący dzień będzie udany. Tych zwrotów musiałam nauczyć się w pierwszej kolejności.

W pewnej chwili babcia spytała jaki dziś mamy dzień. Pytanie zaskoczyło mnie trochę, bo po pierwsze było inne niż dotychczas, a po drugie nie nauczyłam się jeszcze dni tygodnia po angielsku. Zrobiłam niezbyt mądrą minę usiłując przypomnieć sobie odpowiednie słówko, w końcu zrezygnowałam i pobiegłam sprawdzić je w słowniku.

Tego samego dnia nauczyłam się wszystkich dni na pamięć. Niestety, jeszcze długo mi się myliły, albo przynajmniej musiałam się chwilę zastanowić zanim dopasowałam odpowiedni dzień do angielskiej nazwy. Bywało, że gdy już wypowiedziałam go na głos, nagle orientowałam się, że popełniłam błąd, więc wykrzykiwałam szybko:

– Nie, to nie jest wtorek! To piątek!

Po paru takich moich występach babcia nabrała straszliwych podejrzeń, że coś złego dzieje się z dniami tygodnia. Kiedy więc pewnego poranka odpowiedziałam bez wykrętów, że mamy czwartek, cierpliwość Lindy się wyczerpała.

– Tak? – wycedziła jadownicę, celując we mnie oskarżycielsko łyżeczką do kawy.

– Wczoraj był wtorek, a dzisiaj jest czwartek? Możesz mi łaskawie wytłumaczyć, co się stało ze środą?!

– Ależ, wczoraj b y ł a środa – zaprotestowałam zaskoczona.

– Nie było! – wrzasnęła babcia uderzając dłonią w szklany blat stolika, aż podskoczyły filiżanki i łyżeczki.

– Wczoraj był wtorek! Lepiej, żebyś sobie przypomniwała, co się stało ze środą!

Wyszła z kuchni szarpiąc z furią balkonikiem, który co i rusz zawadzał o jakiś sprzęt, a w końcu nie chciał się zmieścić w drzwiach.

Zostałam sama i nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać. Doszłam do wniosku, że wszelkie próby wyprowadzenia babci z błędu, z góry skazane są na niepowodzenie i że nie zostaje mi nic innego, jak dostosować się do jej reguł gry. Tym sposobem zapewnię sobie spokój, a ona będzie zadowolona i unikniemy niepotrzebnych konfliktów.

Tak więc, gdy wróciła po chwili i z zawziętą miną spytała, co z tą środą, odparłam rozkładając bezradnie ręce, że nie wiem.

– Chyba masz rację Linda – zaczęłam ostrożnie – nie było wczoraj środy.

Czułam się głupio i tylko czekałam, aż mnie zwymyśla, ale babcia rozpromieniła się w okamgnieniu.

– Widzisz sama! – wykrzyknęła radośnie – od razu wydało mi się to podejrzane, kiedy powiedziałaś o tym czwartku. Przecież po wtorku nie może być czwartek! Coś złego tu się dzieje, dobrze, że jesteśmy czujne...

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji – kontynuowała ożywiona – czy wiesz, co oznacza dla ludzi brak jednego dnia tygodnia. A co z dniówką za ten czas?

Chwilę się zamyśliła, w końcu klasnęła w dłonie, aż podskoczyłam przestraszona na krzesło.

– Wiem co zrobię, zadzwonię do Białego Domu, niech prezydent się tym martwi!

– Zaczekaj – poprosiłam, odbierając jej słuchawkę telefonu z ręki – jesteś zbyt podekscytowana, może ja to zrobię.

Wystukałam numer do naszego mieszkania i słuchając pulsującego sygnału oznaczającego „zajęty”, rozpoczęłam wymaginowaną rozmowę z Panem Prezydentem w swojej łamanej angielszczyźnie.

Najpierw, oczywiście, musiałam przebrnąć przez jego Biuro, gdzie z początku „nie chciało” mnie połączyć. W końcu dotarłam jednak do najważniejszej osoby w Ameryce i naświetliłam całą sytuację.

Odegrałam tę scenę znakomicie, wykorzystując zdolności aktorskie odziedziczone prawdopodobnie po babci, która jak wieść rodzinna niesie, występowała w jakimś teatryku amatorskim w Wiedniu.

Kiedy wreszcie, po wysłuchaniu wylewnych podziękowań Pana Prezydenta, odłożyłam słuchawkę, babcia wpatrywała się we mnie jak w święty obraz.

– Prezydent oczywiście o niczym nie wiedział – wyjaśniłam Lindzie spijającej słowa z moich ust – bardzo nam dziękował za czujność i prosił, żeby go zawsze zawiadamiać w takiej sytuacji.

Od tej pory żyło się nam w miarę spokojnie. W każdym stwierdzonym przypadku zaginięcia środy reagowaliśmy natychmiast.

– Dzwonimy? – pytałam kładąc rękę na słuchawce.

– Dzwonimy! – odpowiadała stanowczo babcia.

Czasami tylko, gdy była bardziej niż zwykle „splątana”, miała wątpliwości, czy aby ta środa na pewno zaginęła. Podejrzewała wtedy, że to może być jednak środa, która udaje inny dzień tygodnia.

Orientacja w czasie i w przestrzeni stanowiła czasami dla Lindy przeszkodę nie do pokonania. Doskonale pamiętała szczegóły ze swojego dzieciństwa i młodości, a zupełnie nie wiedziała, jaki jest dzień tygodnia, czy która godzina. O godzinę pytała co chwilę, jakby to miało jakieś większe znaczenie.

Najgorsze było to, że w Ameryce godziny podaje się jednakowo rano i wieczorem z zaznaczeniem tylko, czy jest to przed południem tzn. AM, czy po południu czyli PM. Te dwie niepozorne literki, niewidoczne na zwykłym zegarze, wprowadziły sporo zamętu w naszym domu.

Raz w miesiącu Jean zabierała babcie do lekarza na badania kontrolne. Wizyta była umówiona zawsze o szóstą po południu, więc umawiały się na piątą w domu. Linda miała już czekać ubrana i gotowa do wyjścia. Kłopot w tym, że trudno było jej wytłumaczyć, o której piątej ma być gotowa. Skoro na zegarku była piąta, nie miało to dla niej większego znaczenia, czy to rano, czy popołudnie.

Tak więc, niejednokrotnie wczesnym rankiem budziło mnie postukiwanie balkonika i wiśnięcej na nim laski, oraz koszmarny zapach perfum „Wind’s song” zatykający mi dech w piersiach.

To Linda w „pełnym umundurowaniu” szła do salonu, żeby tam czekać na Jean. W chłodne poranki siedziała po ciemku w fotelu, okutana po uszy w grubą płaszcz, szalik i wełnianą czapkę, pocąc się obficie. Rękę trzymała wspartą na lasce, prawą nogę wysuwała w pozycji „cała naprzód”. Czekala na Jean.

Z początku usiłowałam jej tłumaczyć, że jest piąta rano, Jean jeszcze śpi i przyjedzie po nią dopiero po południu więc nie ma sensu czekać tak długo. Wtedy wyjmowała z kieszeni płaszczka budzik, podtykała mi go pod nos ze złością i pytała:

– Mam nadzieję, że znasz się na zegarku, co?! Widzisz, która jest teraz godzina? Piąta – a o piątej ma po mnie przyjechać Jean!

Czasami machałam zrezygnowana ręką i kładłam się z powrotem do łóżka, jednak po chwili wracałam nękana wyrzutami sumienia. Bałam się, że uparta staruszka zasłabnie z gorąca na tym fotelu.

Ona czuła już, że coś jest nie tak, ale była zbyt dumna, żeby się przyznać do błędu. Nie mogłam jej tak po prostu odesłać spać, upierałaby się dla samej zasady. Wymyśliłyśmy więc grę na tę okoliczność.

Babcia uwielbiała tematy „damsko-męskie”. Często opowiadała mi o swoim ogromnym powodzeniu u w młodości. Nie tak trudno było w to uwierzyć. Sądząc po zdjęciach z tego okresu, była bardzo ładną kobietą. Jeszcze teraz zachowywała się kokieteryjnie, gdy tylko w pobliżu pojawił się jakiś mężczyzna.

Wchodziłam więc do salonu i podpierając się pod boki pytałam z groźną miną:

– Co ty tu robisz tak rano, Linda? Umówiłaś się z kimś na schadzkę? Nic z tego moja droga! Póki ja tu jestem, żaden mężczyzna nie wejdzie ukradkiem do tego domu. Wracamy do łóżka!

Babcia chichotała, zadowolona z moich podejrzeń i potulnie wracała do swojej sypialni.

Kiedy mijała już magiczna piąta, alarm można było odwołać. Kolejna pełna mobilizacja następowała o piątej po południu, ale była to już ta właściwa pora.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pierwszy, poważny kryzys nastąpił u mnie po trzech takich miesiącach.

Czułam, że dłużej już nie wytrzymam tej atmosfery, tych nieustannych poszukiwań babci-nej szczęki i dni tygodnia, nie kończących się opowiadań, przeplatanych płaczem nad utraconą młodością i euforią, gdy wydawało jej się, że znów jest młoda. Tych wybuchów złości i nagłych przyływów dobrego humoru. A przede wszystkim dokuczała mi samotność i tęsknota za bliskimi, zwłaszcza za dziećmi.

W tej sytuacji czekanie na listy stało się prawdziwą obsesją. Zawsze między dziesiątą a jedenastą rano starałam się być w pobliżu okna, żeby w porę zauważyć biały, kwadratowy samochodzik z napisem „US Mail” wjeżdżający na naszą uliczkę.

Śledziłam każdy jego ruch. Najpierw stawał bezszelestnie przy krawężniku pierwszego domu z lewej, po chwili wychodził z niego listonosz i z przewieszoną przez ramię torbą zaczynał kolejno roznosić pocztę. Nasz dom był trzeci w kolejności, więc długo nie musiałam czekać.

Nasłuchiwałam z zaciśniętymi kciukami, jak otwiera drzwi od klatki schodowej i wchodzi podzwaniając kluczami. Głuchy stuk w gipsową ścianę oznaczał, że zamykana już jest skrzynka na listy. Chwilę jeszcze czekałam, aż listonosz wyjdzie i skieruje się w stronę następnego domu.

Moment zejścia na dół i sprawdzenia poczty odwlekałam tak długo, jak tylko to było możliwe. Z jednej strony miałam nadzieję na list, z drugiej zaś bałam się rozczarowania, że znów nic do mnie nie przyszło. Niestety, to drugie zdarzało się znacznie częściej.

Mówiono mi, że najbardziej się tęskni w pierwszych miesiącach pobytu – i była to najprawdziwsza ze wszystkich prawd. Tęskniłam jak szalona.

Pamiętam, gdy dostałam wreszcie pierwszy, upragniony list z domu. Wyjęłam go ze skrzynki i przeskakując po parę stopni naraz, wbiegłam do salonu wymachując nim dziko nad głową.

– Dostałam list! Dostałam list! – krzyczałam podskakując w miejscu.

Linda uśmiechnęła się uprzejmie obserwując mój taniec radości. Rzuciłam się na fotel i z niecierpliwością zaczęłam rozrywać kopertę. Nagle usłyszałam rozpaczliwe chlipanie:

– A ja już nigdy nie dostanę listu od mamy – rozżalona Linda płakała rozmazując sobie gruby makijaż na twarzy.

Zrobiło mi się przykro, odłożyłam na wpół rozerwaną kopertę i poprosiłam, żeby opowiedziała mi o swojej rodzinie. Znałam już tę historię na pamięć, ale tylko w taki sposób mogłam ją uspokoić. Zresztą i tak po chwili usnęła ze swoim sakramentalnym „so, anyway” i z uśmiechem na twarzy. A ja mogłam ukradkiem przeczytać korespondencję z domu.

Od tej pory pocztę odbierałam tak, aby babcia tego nie zauważyła, ale miałam już tego wszystkiego dosyć. Czułam, że jeszcze trochę, a sama zwariuję w tym domu.

Wprawdzie wywalczyłam już sobie prawo do wychodzenia na krótkie spacerunki po lunchu, ale to tylko pobudziło mój apetyt. Mogłam wychodzić tylko na pół godziny dziennie. Pół godziny to trzy razy po dziesięć minut.

W pierwsze dziesięć dochodziłam do centrum handlowego, gdzie na obejrzenie wystaw zostawało mi następnych dziesięć minut, żeby w końcu ostatecznie dziesięć stracić na drogę powrotną.

GORZEJ było, gdy wybierałam się w przeciwną stronę, alejkami wzdłuż małych, zadbanej domków. Przyglądałam się kwitnącym kwiatom i drzewom (a była właśnie pełnia wiosny) roześmianym ludziom i dzieciom bawiącym się w ogródkach i czułam się preraźliwie samotna. Czas na tych spacerach uciekał mi znacznie szybciej.

Kiedy zdyszana wracałam do Lindy, już od progu przytłaczała mnie ciężka atmosfera starości, smutku i zapomnienia, jaka panowała w całym tym mieszkaniu. Ale musiałam się uśmiechać i udawać, że wszystko w porządku. Męczyło mnie to coraz bardziej.

Zadzwoiłam do agentki z prośbą, aby znalazła mi jakąś inną pracę. Taką w której będę mogła wychodzić na spacerów dłuższe niż te pół godziny u Lindy. Najchętniej gdzieś w pobliżu Ewy, żeby mogła od czasu do czasu porozmawiać po polsku z kimś normalnym.

Nie trwało to długo i agentka dała mi znać, że potrzebna jest opiekunka do starszej pani. Babcia, sprawna fizycznie i umysłowo, wymaga niewielkiej pomocy w pracach domowych i przede wszystkim towarzystwa. Zdecydowałam się od razu. Jedyńm problemem było znalezienie kogoś na moje miejsce, ale tym Anette, agentka szwedzkiego pochodzenia, obiecała zając się osobiście. Starła się jak mogła, nic w tym jednak dziwnego, skoro za każdą nową „duszę” brała pierwszą tygodniówkę.

Linda i Jean poczuły się obrażone, ale mnie było to już obojętne. Chciałam się stamtąd wyrwać jak najprędzej.

Agentka przyjechała z jakąś grubą, niechlujnie wyglądającą kobietą.

– Krystyna jeźdem – przedstawiła mi się wyciągając spocone łapsko. Obrzuciła szybkim spojrzeniem apartament babci i z aprobatą pokiwała głową.

– Mało sprzątań, to dobrze – mruknęła pod nosem, a głośno zapytała:

– Co tu jeszcze trza robić, oprócz sprzątań?

Zupełnie nie zwracała uwagi na Lindę, która wymalowana jak Siuks wstępujący na wojenną ścieżkę siedziała sztywno w fotelu.

– Trzeba opiekować się babcią – zaczęłam spokojnie, chociaż już byłam pewna, że nic z tego nie będzie.

– Rozmawiać z nią, gotować posiłki i pilnować, żeby brała regularnie wszystkie lekarstwa trzy razy dziennie po posiłkach.

Tu z całą premedytacją wyciągnęłam wszystkie fiolki z lekarstwami babci. A było co pokazywać! Jedne leki przed jedzeniem, inne po, żółte tabletki rano, a różowe tylko na noc.

– Rozmawiać?! – przestraszyło się babsko, które i tak już wykazywało objawy paniki na widok lekarstw.

– A po jakimu ja mam z tą mumią rozmawiać?

Poczułam się dotknięta do żywego w imieniu babci. Wredny babsztyl, który z pewnością nie znał ani słowa po angielsku, chciał wepchnąć swoje tłuste dupsko „na domek”, żeby mieć mieszkanie i utrzymanie za darmo.

Byłam przekonana, że traktowałyby Lindę, jak jeszcze jeden mebel do odkurzenia. To prawda: ja też nie znałam angielskiego przychodząc tutaj, ale przynajmniej się starałam.

A swoją drogą pewnie by się zdziwiła, gdyby wiedziała, jakie tu jest wyżywienie... Przy jej tuszy z pewnością lubiła zjeść dobrze i tłusto.

– Chyba rzeczywiście nie pogadałybyście z babcią, bo ona nie zna polskiego – nie mogłam sobie darować złośliwości.

– Poza tym myślę, że Lindzie potrzebny jest ktoś zupełnie inny.

Na szczęście ona też zdała sobie z tego sprawę. Kiedy jeszcze dowiedziała się, że nie można wychodzić, stwierdziła:

– Pani, chyba bym tu zwariowała!

Wyglądało na to, że tak zakończył się mój sen o zmianie pracy. Za tydzień jednak Anette zadzwoniła znowu.

Propozycja była interesująca: dziadek i babcia, przemiłe starsze małżeństwo w tej samej dzielnicy, w której pracowała Ewa.. Wprawdzie dziadek jest „little crazy”, czyli lekko zwariowany, ale tylko tak troszeczkę. Poza tym to przesympatyczny, kulturalny starszy pan.

Do moich obowiązków miałyby należeć niewielka pomoc dziadkom, drobne sprzątanie i zakupy. Weekendy mam mieć wolne, no i co najważniejsze, większe pieniądze.

Nie mogłam się doczekać piątku, kiedy to miałam zacząć nową pracę. Tym razem na moje miejsce agentka znalazła całkiem sympatyczną, młodą dziewczynę, która dopiero co przyjechała z Polski, więc nie zdążyła się zmanierować. Wprawdzie słabo mówiła po angielsku, ale w końcu ja też orłem w tej dziedzinie nie byłam.

Zamianę zrobiliśmy w piątek po południu. Dziewczyna przyjechała do Lindy, ja pojechałam do dziadków. Pożegnanie nie było zbyt miłe, Jean wręczyła mi ostatni czek z lodowatą miną, a Linda nie odezwała się nawet jednym słowem. Słyszałam tylko, jak mruczy pod nosem:

– Dobrze, że ta głupia Lucy się stąd wynosi.

Było mi trochę przykro z tego powodu, ale trudno też wymagać od babci, żeby się cieszyła ze zmian, skoro zdążyła się już do mnie przyzwyczać.

Moi nowi podopieczni okazali się dość niezwykłą parą staruszków.

Henry był bardzo wysokim, kiedyś niewątpliwie przystojnym mężczyzną o dużym mięsistym nosie i najgrubszym głosie jaki kiedykolwiek słyszałam.

Kiedy zagrział na powitanie: – „Witaj Lucy!” – skuliłam się cała i miałam wrażenie, że fala uderzeniowa rzuci mnie zaraz o przeciwną ścianę.

Helen zaś była drobną, szczupłą staruszką o ptasiej twarzy i rozbieganym, zalęknionym spojrzeniu. Na głowie miała przedziwną fryzurę, która jako żywo przypominała kask motocyklowy. Ani jeden włos nie odstawał od tej misternej konstrukcji sklezionej lakierem do włosów. Całość sprawiała wrażenie, jakby była wykuta z jednego kawałka szarego kamienia.

Po krótkiej prezentacji przekazali mnie dziewczynie, która do tej pory się nimi zajmowała, a która swoją nową pracę zaczynała dopiero nazajutrz.

Dziadkowa dziewczyna okazała się bardzo sympatyczną, młodą osobą.

– Nie będziesz tu miała źle – powiedziała, kiedy zostałyśmy wieczorem same. – Dziadkowie są niekłopotliwi i całkowicie zajęci sobą, nie uprzykrzają więc życia opiekunkom.

– To dlaczego odchodzisz? – zdziwiłam się.

– Niedługo wracam do Polski i chciałabym jeszcze przed wyjazdem więcej zarobić. Właśnie dostałam propozycję ciężkiej, ale bardzo dobrze płatnej pracy. Myślę, że warto pomęczyć się jeszcze przez parę miesięcy dla takiej forsy. Babcia wychodzi jutro ze szpitala, wymaga specjalistycznej opieki, a ja przecież jestem pielęgniarką – w końcu będę miała okazję popracować w swoim zawodzie.

– To w takim razie opowiedz mi wszystko o dziadkach – poprosiłam, układając się wygodnie w fotelu.

I tak dowiedziałam się co następuje: babcia wychodzi co sobotę do fryzjera, wraca z identyczną fryzurą, ale trzeba się nią za każdym razem zachwycać. Dziadek po jej wyjściu natychmiast łapie za telefon i dzwoni do swojej byłej kochanki, która przebywa teraz w jakimś domu starców. Babcia żyje w cieniu dziadka i wątpliwe jest, aby podjęła jakąkolwiek decyzję bez jego zgody.

Na jedno tylko trzeba uważać – przed wyjściem w niedzielę należy przygotować dziadkowi lekarstwa. Gdyby zapomniał je wziąć „umiera” i dzwoni do zakładu pogrzebowego, żeby przyjechali zabrać jego ciało.

Pracy jest raczej niewiele. Raz w tygodniu trzeba gruntownie sprzątać domek i oczywiście przygotowywać posiłki. Kolacji dziadkowie nie jadają, a śniadaniem, to znaczy zalaniem płatków kukurydzianych zimnym mlekiem i wkrojeniem do nich banana, jak również zaparzeniem kawy, zajmowała się sama babcia. Można też wychodzić na godzinny spacer po lunchu.

Pełna optymizmu położyłam się spać. Przed snem jeszcze zadzwoniłam do mieszkania Lindy, żeby zapytać, jak minął dzień. Dziewczyna powiedziała, że wprawdzie babcia nie chciała zjeść kolacji, ale grzecznie położyła się spać i wszystko powinno być dobrze.

Rano moja poprzedniczka pożegnała się z dziadkami i pojechała na nowe miejsce, a ja zostałam sama „na gospodarstwie”. Zrobiłam sobie śniadanie i pijąc kawę czekałam w kuchni, aż dziadkowie skończą i będę mogła zabrać naczynia do mycia. Nagle dziadek wezwał mnie do salonu.

– Usiądź Lucy – wskazał mi władcym gestem krzesło stojące w rogu pokoju. Babcia siedziała obok zaciskając dłonie na podolku.

– Musimy omówić twoje obowiązki – zadudnił tubalnym głosem Henry i powtórzył mi niemalże wszystko to, co już wiedziałam. Nie wspomniał tylko ani słowa o spacerach, co mnie trochę zaniepokoiło, więc sama poruszyłam tę kwestię.

Dziadkowie wymienili zakłopotane spojrzenia, aż wreszcie dziadek oznajmił mi z ubolewaniem w głosie, że niestety nie będzie spacerów, ponieważ on potrzebuje coraz więcej opieki w ciągu dnia. Za to, dodał łaskawie, będę miała wolne niedziele.

Faktycznie, niebываła łaskawość, zwłaszcza, że niedziele do tej pory i tak miałam wolne!

Ale trudno, może jakoś to się ułoży i nie będzie tak źle. Najważniejsze, że będę miała spokój, z resztą sobie poradzę.

Po tej przemowie dziadek poczuł nagle parcie na pęcherz. Poprosił wstydliwie, abym go zaprowadziła do ubikacji. Trochę zdziwiła mnie ta prośba, ponieważ zdążyłam się już zapoznać z rozkładem domu i wiedziałam, że oprócz łazienek na piętrze jest jeszcze jedna na dole, ta przy której Henry niemalże siedział.

Nie dowiedziałam się nigdy komu służyła ta łazienka, jedno było pewne – nie dziadkowi, który korzystał tylko ze swojej na piętrze.

Staruszek pęcherz miał słaby, więc ściany tego domku kilkanaście razy dziennie były świadkami osobliwej procesji.

Pod górę, trzymając się poręczy wspinał się dziadek pohukując coś pouczająco. Z tyłu, dwa stopnie za nim wchodziłam ja, na wypadek, gdyby miał nagle zwalić się na dół. Pochód zamykała babcia, idąca za mną i wychylająca się z przejściem raz w prawo, raz w lewo, bacząca pilnie, czy aby dobrze asekuruję jej skarb.

– Uważaj na niego Lucy – gdała, wyłamując sobie nerwowo palce – uważaj, bo on jest jedyny!

Na górę czekałyśmy pod drzwiami łazienki, aż ucichnie pluskanie i rozlegnie się pełne ulgi „Już!”.

Kolejność schodzenia była odwrotna. Najpierw, tyłem jak rak schodziła stopień po stopniu babcia, potem ja, na końcu z jedną ręką na poręczu, a drugą oparta na moim ramieniu dziadek. Nie wiem, ile było stopni, ale na każdym z nich słyszałam napomnienia babki, żebym uważała, bo „on jest jedyny”.

Na dole Henry rozsiadał się wygodnie w fotelu i oglądał program o zwierzętach w telewizji.

Wszystko zaczynało się na nowo od nagłego:

– Oj, chyba chce mi się siusiu...

Mimo, że byłam znacznie młodsza od dziadków, czułam, że drżą mi mięśnie nóg od tych wspinaczek. Po którejś tam turze z kolei z ulgą poszłam do kuchni przygotowywać lunch.

Posiłek był zupełnie niewyszukany: po dwa ziemniaki na osobę, plasterek fileta z indyka i brokuły z wody. Tak zresztą jadało co dzień, zmieniało się tylko mięso i jarzyna. Wszystko gotowane było bez tłuszczu i bez soli. Dla mnie miało to obrzydliwy smak.

Nakryłam do stołu i poprosiłam dziadków do kuchni, gdzie zwykle jadało się posiłki.

Dziadek włożył ziemniaka do ust, chwilę pomlaskał i kiwając z uznaniem głową powiedział:

- Mmm, dobre ziemniaczki!
 - Dobrze, dobrze! – przytaknęła szybko babcia i nabiła na widelec kawałek mięsa.
 - Mięsko... – zastanowił się głośno dziadek.
- Ręka babci uzbrojona w widelec zawisa nagle w powietrzu.
- Mmm, dobre mięsko – zgodził się w końcu.

Babcia odetchnęła z ulgą i włożyła do ust podejrzone przez chwilę mięso.

Patrzyłam na nich z niedowierzaniem, łudząc się, że za chwilę się roześmieją i wszystko stanie się normalne. Niestety, to wcale nie były żarty i zaczynałam powoli zastanawiać się nad tym, co ja najlepszego zrobiłam.

Po lunchu babcia poszła do fryzjera, a dziadek kazał się zaprowadzić na górę do swojego pokoju.

Ledwie jednak babcia znikła za rogiem ulicy, na telefonie zapaliła się czerwona lampka oznaczająca, że ktoś korzysta z aparatu na górze.

- Witaj kochanie – dobiegł mnie po chwili głos dziadka.

Siedziałam zrezygnowana w salonie i usiłowałam zebrać myśli. W tle buczał dziadek, jak syrena przeciwmgielna na statku.

Prawdę mówiąc, byłam lekko załamana. Miejsce wcale nie wyglądało tak wspaniale, jak mi to przedstawiała agentka. Najbardziej zależało mi przecież na spacerach, a tu się okazało, że nawet nie ma mowy o tej półgodzinie „więziennego spacerku”, którą już sobie wywalczyłam z takim trudem u Lindy. To prawda, że agentka mogła o tym nie wiedzieć, bo dziadkowie wymyślili to w ostatniej chwili, ale niepokoił mnie trochę oni sami.

Anette wspominała tylko o dziadku, który był „lekkomyślny”, a tu wyglądało na to, że i babce niczego nie brakowało.

Nie wspominając już o tym, że po paru dniach takiego siusiania z przeszkodami, przy jednoczesnym gdakaniu babki, to ja będę wymagała pomocy i to specjalistycznej.

Postanowiłam jeszcze raz to przemyśleć.

Po godzinie wróciła Helen, która najprawdopodobniej zrezygnowała jednak z wizyty u fryzjera. Już miałam ją o to zapytać, gdy usłyszałam ze szczytu schodów pełne uznania:

- Ho, ho! Co za piękna fryzura!

Uszczęśliwiona babcia obróciła się parę razy dookoła własnej osi tanecznym krokiem, demonstrowując identyczne uczesanie, jak to, które miała przed wyjściem.

– Rzeczywiście, ładna – potwierdziłam, starając się wykrzesać z mojego głosu jak najwięcej entuzjazmu. Na szczęście zadzwonił telefon i mogłam zniknąć ze sceny nie ryzykując, że jednak nie wytrzymam i zacznę się śmiać jak wariatka.

Dzwoniła dziewczyna od Lindy, twierdząc, że nie chce tam zostać za żadne pieniądze. Nie może sobie poradzić z babcią, która nic nie je, płacze i woła bez ustanku Lucy. Co gorsza, obrywa ilekroć zbliży się tylko do fotela na odległość laski. Najchętniej więc zrezygnowałaby, gdybym tylko chciała wrócić.

Nie mogła znaleźć lepszego momentu, ten telefon spadł mi dosłownie z nieba. Zdecydowałam natychmiast, że wrócę, muszę tylko poprosić agentkę, żeby znalazła teraz kogoś dla dziadków. Byłam przekonana, że Anette mnie w końcu powiesi ale, o dziwo, bardzo się ucieszyła.

– To dobrze się składa – powiedziała – bo właśnie przed chwilą dzwoniła twoja poprzedniczka z prośbą o przywrócenie jej na dawne miejsce. Babka, u której teraz pracuje jest umierająca i to tylko kwestia dni, o ile nie godzin, kiedy umrze. Możecie więc wracać na swoje „domki”.

Dziewczyna zadzwoniła i do mnie, przepaszając za kłopot, ale została oszukana. Nic nie mówiono o tym, że babcia jest faktycznie umierająca. Ma raka płuc, ostatnie stadium. Ledwie można ją znaleźć między drenami, kroplówkami i rurkami doprowadzającymi tlen. Ponieważ umiera zbyt długo, nie chciano jej już trzymać w szpitalu i wypisano do domu. To nie jest

Polska, gdzie rodzina opiekuje się umierającą matką do końca. Wynajęto więc opiekunkę, obiecując duże pieniądze, nie wspominając tylko o tym, że jest to praca na parę dni.

– Możesz wracać bez przeszkód – uspokoiłam ją natychmiast – Nie mam już siły przyzwyczajając się do twoich „zakreconych” dziadków, wolę znane mi dziwactwa Lindy, przynajmniej wiem czego się można po niej spodziewać.

Nie byłam tylko pewna, czy będzie mnie chciała z powrotem przyjąć. W końcu rozstałyśmy się w dość chłodnej atmosferze.

Moje obawy okazały się jednak bezpodstawne. Linda nie chciała wierzyć dziewczynie, gdy ta przekazała jej wiadomość. Wyrwała jej słuchawkę z ręki w połowie zdania.

– Lucy? – usłyszałam gruby, splakany głos – czy to prawda, że wracasz?

Kiedy potwierdziłam, w słuchawce zapanowała cisza. Przez chwilę nie byłam pewna, czy babcia jednak nie powie, że teraz to ona już nie chce, ale Linda płakała. Z trudem panując nad głosem powiedziała:

– To dobrze. Pan Bóg mnie wysłuchał, taka jestem szczęśliwa!

Czułam się podle wiedząc, że naraziłam biedaczkę na stres. Już nawet zapomniałam jak, parę dni przed moją decyzją o odejściu, wyrzucała mnie z domu. Wiedziałam, że tak wcale nie myślała, chciała mnie tylko rozzłościć, ale w końcu jej się to udało. Być może nawet ten incydent utwierdził mnie w słuszności podjętej później decyzji.

Poszło o głupstwo, jak zwykle. Nawet nie pamiętam, o co.

Linda miewała złe dni i wtedy uwielbiała się kłócić o nic, byle tylko coś się działo. W ten dzień oświadczyła, że mnie wyrzuca i do rana mam być spakowana i wynosić się z jej domu. W każdy inny dzień nie zwróciłabym na to uwagi, wiedząc, że za chwilę zapomni o całej sprawie, ale wtedy miałam już chyba dość. Powiedziałam, że w porządku, idę się pakować a do niej jutro przyjdzie Krystyna, która z całą pewnością lepiej się nią zaopiekuje niż ja.

Babcia, która trzymała właśnie do góry nogami sporządzoną przeze mnie listę zakupów i kiwała z ubolewaniem głową, jakie to głupoty tam powypisywałam, zgodziła się z godnością:

– Może być Krystyna, każda inna tylko nie ty.

Nagle odłożyła szybko kartkę.

– Zaraz... Krystyna? Jaka Krystyna, czy to może ta gruba co nie mówi po angielsku?

– Tak, to ta sama. Ale za to jest bardzo sympatyczna – odparłam i teraz ja ruszyłam z godnością do swojego pokoju.

Tak jak się spodziewałam, za chwile przydreptała za mną, wielce zaaferowana.

– Lucy, ja tak tylko żartowałam z tym wyrzucaniem – powiedziała z niepewnym uśmiechem – ja cię wcale nie mam zamiaru wyrzucać.

Podobne sceny rozgrywały się dość często, ale teraz już nie chciałam o nich pamiętać. Naprawdę cieszyłam się, że do niej wracam.

Poinformowałam dziadków, że odchodzę, a do nich wraca ich poprzednia opiekunka. Sprawiali wrażenie, jakby ich to zupełnie nie obeszło. Nawet nie spytali, dlaczego odchodzę. Kiedy wreszcie skończyłam pracę wieczorem, z ulgą rzuciłam się na łóżko w swoim pokoju. Nazajutrz była niedziela, a więc mój wolny dzień u Lindy. Obiecałam jej, że wrócę jak zwykle o dziewiątej wieczorem. Dziadkowie pozwolili mi zostawić swoje rzeczy u nich na tak długo, jak to będzie potrzebne. Rano, po śniadaniu umówiłam się z Ewą na zwiedzanie Chicago.

Nagle usłyszałam ciche pukanie do drzwi. Zdażyłam zerwać się na równe nogi, kiedy Helen wsunęła głowę do pokoju.

– Lucy – wyszeptała – Henry cię prosi do siebie.

Zdziwiona poszłam za babcią. Przyznam szczerze, że byłam trochę zaniepokojona. Tyle się nasłuchiwałam o lubieżnych starcach, więc bałam się teraz, czy aby na takiego właśnie nie trafiłam. Na szczęście dziadek szybko rozwiał moje obawy.

– Chciałbym – powiedział – żebyś zeszła na dół do salonu i obejrzała w telewizji program o zwierzętach. To naprawdę bardzo ciekawy program.

– Dziękuję, ale jest już późno, a ja chciałabym się jeszcze spakować – zaprotestowałam nieśmiało.

– Lucy – głos dziadka podniósł się ostrzegawczo – nalegam abyś zeszła na dół i obejrzała ten program. W tym domu oglądamy tylko programy o zwierzętach.

Babcia, przerażona, że ośmieliłam się sprzeciwić dziadkowi, stała jak kamienny posąg przedstawiający święte oburzenie.

Zeszłam więc na dół i oglądałam program o żyrafach. Słyszałam skrzypiącą od czasu do czasu podłogę u wylotu schodów i głos babci przekazujący dziadkowi konspiracyjnym szeptem:

– Ogląda!...

Niedziela minęła bardzo szybko, jak każdy wolny dzień. Przez te parę godzin śmiałam się i cieszyłam życiem, zapominając zupełnie, że gdzieś tam jest starość, samotność i smutek. Towarzystwo młodych, normalnych ludzi poprawiło mi nastrój. Ewa, jej brat Staszek, kuzynka Hanka i koleżanka Iwona byli wtedy ludźmi, na spotkanie z którymi czekałam cały tydzień. Byli moim „wentylem bezpieczeństwa”, dzięki nim zwiedziłam Chicago, jadałam w najdziwniejszych knajpkach, poznałam ciekawych ludzi.

Niestety, nadszedł wieczór i trzeba było wracać. Ewa podwiozła mnie pod dom dziadków, żebym mogła zabrać swoje rzeczy.

Drzwi otworzyła mi zapłakana Helen.

– Lucy – powiedziała przyciskając mokrą chusteczkę do oczu – stało się nieszczęście. Henry umarł.

– Mój Boże! – pomyślałam – akurat dzisiaj?!

Nie chciałam się z tym zetknąć osobiście, bałam się takiego spotkania. Łudziłam się, że uda mi się przebrnąć przez ten pobyt bez konieczności przeżywania śmierci któregoś z moich podopiecznych. Niestety!

Kiedy tak stałam nie wiedząc co powiedzieć, babka poprosiła:

– Idź tam na górę i porozmawiaj z nim.

Pomyślałam, że biedna Helen zwariowała z rozpacz, ale poszłam potulnie do pokoju dziadka. Henry siedział w fotelu z wyciągniętymi przed siebie nogami, z rękami zwisającymi wzdłuż oparcia i ze zwieszoną na piersi głową. Wypisz wymaluj Stańczyk z obrazu Matejki.

– No i sama zobacz Lucy co mi się przytrafiło – rozległo się nagle z głębi fotela – Umarłem!

Po chwili osłupienia dotarło do mnie, że dziadek najwyraźniej nie wziął swoich leków psychotropowych, które mu przygotowałam. Zażył tylko poranną dawkę, tę przy śniadaniu.

– Ależ Henry – zaczęłam go pocieszać – wcale nie umarłeś! Zaraz dam ci lekarstwo i od razu lepiej się poczujesz.

Dziadek wznosił ręce do góry gestem wołającym o pomstę do nieba i zakrzyknął gromko, aż zadrżały cienkie gipsowe ściany domu.

– Ta głupia Polka nie rozumie, co się do niej mówi po angielsku! Umarłem! Słyszysz kobietę?! Umarłem!!!

– Zadzwoń do mojego syna – dodał po chwili, gdy tylko trochę ochłonął – żeby przyjechał ubrać moje zwłoki, bo za chwilę będą tu z zakładu pogrzebowego. Już ich wezwałem, ale nie zdążyłem się przebrać, bo śmierć zaskoczyła mnie nagle.

Ziemska powłoka dziadka opadła z powrotem na fotel wyczerpana tym, jak najbardziej żywym wybuchem oburzenia. Tymczasem babka, która stała obok, zaczęła mnie delikatnie szarpać za rękaw.

– Lucy, nie kłóć się z nim – prosiła cicho – może on rzeczywiście umarł?

Zadzwoiłam czym prędzej do syna dziadków i przekazałam mu tę dziwną prośbę.

– Tatuś znowu umarł? – spytał pogodnym głosem – O.K. Zaraz tam będę, nie denerwuj go tylko, proszę.

Rzeczywiście, zjawił się niemal natychmiast z wypisanym dla mnie czekiem za dwa dni pracy u jego rodziców.

Chwyciłam szybko swoje walizki, pożegnałam nieboszczyka dziadka i jego owdowiałą żonę i przeskakując po kilka stopni naraz wybiegłam co tchu z tego domu.

Jakie to szczęście, że mogłam wrócić do Lindy!. Nagle babcia wydała mi się najmiłszą osobą na świecie a jej dom bezpiecznym azylem.

Po drodze zastanawiałam się, jak to będzie kiedyś, kiedy dziadek naprawdę umrze. Czy w domu pogrzebowym ktoś potraktuje poważnie wezwanie pod ten adres?

– Witaj w domu Lucy – zmęczony uśmiech Jean mówił, że znów nie miała łatwego dnia za sobą.

– Proszę, idź szybko do Lindy, bo stała w oknie od dziewiątej rano. Podobno obiecałaś jej wrócić o dziewiątej? Byłam w domu...

Widok czerwono uszmkowanych zębów w szczęśliwym uśmiechu babki był najmiłszym widokiem tego wieczora. Odprawiła szybko Jean do domu, twierdząc, że rodzina jest już w komplecie i ona sama niczego już nie potrzebuje. Trochę miała tylko do mnie żal, że nie wróciłam o dziewiątej, jak obiecałam, ale szybko się rozchmurzyła, gdy na budziku pokazałam jej godzinę.

– Rzeczywiście! Parę minut po dziewiątej! – zdumiała się ogromnie – no, to te parę minut mogę ci darować...

– Chodź babciu – powiedziałam ciepło, gdy zatrzasnęły się drzwi za jej przyjaciółką – zrobię ci pyszne śniadanko.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Siedzący tryb życia coraz bardziej dawał się Lindzie we znaki. Do kłopotów z krążeniem, objawiających się spuchniętymi jak banie nogami doszły inne, mniej widoczne.

Obrzmiałe kostki u nóg widać było gołym okiem, natomiast kłopoty z wypróżnianiem babci uszły mojej uwadze. Zaniepokoiła mnie dopiero częstotliwość jej wizyt w ubikacji, a kiedy, przełamując swoją nieśmiałość, poskarżyła się na silny ból i pieczenie, postanowiłam wkroczyć do akcji. Byłam przekonana, że się odparzyła i poszłam za nią do łazienki, aby ją umyć i posmarować specjalną maścią.

To, co zobaczyłam, zbiło mnie niemal z nóg. W miejscu, gdzie spodziewałam się zobaczyć zaczerwienioną skórę, widniał ogromny, stwardniały na kamień korek.

Nie było rady – ubrana w lateksowe rękawiczki musiałam ją, nie bez trudu, natychmiast „odkorkować”.

Uszczęśliwiona Linda niemal do wieczora nie wychodziła z ubikacji. Miała do odrobienia zaległości z całego chyba tygodnia.

Na drugi dzień zadzwoniłam do Jean, żeby jej zdać sprawozdanie z akcji, po czym postanowiłyśmy pojechać z babcią do lekarza, tak na wszelki wypadek. Ten wysłuchał naszych relacji, zbadał Lindę i spytał, czy jestem lekarzem. Kiedy usłyszał, że nie, zdziwił się, skąd wiedziałam, co robić w takim przypadku.

Popatrzyłam na niego rozbawiona; nie wiedziałam, że tego typu „zabiegi” mogą wykonywać tylko lekarze.

– To nie żarty – powiedział całkiem serio – Mogło dojść do zatrucia i umarłaby bez twojej pomocy.

No i stało się. Mały świątek Lindy obiegła sensacyjna wiadomość, że „uratowałam jej życie”. Zadzwoniła nawet do Jean z tą rewelacją.

To wielka rzecz, uratować komuś życie, ale żeby w taki sposób? Krępowало mnie wysłuchiwanie tych opowiadań, według których wykonywałam coraz to bardziej skomplikowane czynności na prawie już umierającej babci. W miarę upływu czasu i powtarzania tych opowieści przez telefon znajomym, moja rola w „ratowaniu jej życia” była coraz znaczniejsza i bardziej dramatyczna.

Na szczęście grono znajomych babci okazało się niezbyt liczne i w końcu nie było osoby, której by nie opowiedziała tej historii po raz drugi. Trzeci raz już nikt nie chciał tego słuchać.

Gorzej, że lekarz nakazał Lindzie notować od tego czasu każde wypróżnienie, z uwzględnieniem wielkości, kształtu i koloru. Sądzę, że bardziej chodziło mu o zajęcie jej czymś, niż o co innego, ale babcia potraktowała to polecenie z niezwykłą skrupulatnością.

Odtąd, zanim spuściła wodę, wołała mnie na oględziny, jako świadka i eksperta od tych spraw. Wieczorem siadała w fotelu z długopisem i notesem w rękę i podczas, gdy ja oglądałam telewizję, ona zapisywała wyniki. Gryzła koniec długopisu w zamyśleniu spoglądając w sufit, następnie łączyła palce wskazujący i kciuk w kółko, podnosiła je na wysokość zmrużonego oka, chwilę oceniała, w końcu zadowolona z siebie, wpisywała odpowiednie parametry do zeszytka.

– Lucy – wołała mnie nieraz – Nie mogę się zdecydować, czy „to” dzisiaj było wielkości śliwki, czy pomidora?

– Pomidora – odpowiadałam nie przerywając sobie oglądania filmu.

– Masz rację! – ucieszona pochylała się nad kartką i nagle zastygała z długopisem w powietrzu:

– Ale pomidor jest przecież czerwony!

Byłam już coraz bardziej zmęczona, a po całej tej historii nie mogłam się doczekać wolnej niedzieli. Chciałam trochę odpocząć od świata Lindy, zwłaszcza, że do Chicago przyleciała siostra koleżanki i zapowiadało się ciekawe polskie spotkanie.

Umówiliśmy się na stacji kolejowej w Des Plaines, stamtąd miałyśmy pojechać do Downtown pozwiedzać muzea i zjeść obiad w jakiejś niedrogiej knajpce.

Odliczałam niemal godziny do niedzieli, a kiedy wreszcie nadeszła, byłam gotowa do wyjścia w parę minut. Linda wyglądała na niezadowoloną.

– A co będzie, jak zrobię kupkę – martwiła się – Kto to oglądnie?

– Może Jean? – zaproponowałam nieśmiało, udając, że nie widzę grymasu obrzydzenia na twarzy dystygowanej przyjaciółki babci.

– Ona się na tym nie zna – staruszka machnęła lekceważąco ręką w odpowiedzi.

– No, to obejrzy ją po powrocie – byłam już przy drzwiach.

Aldonka czekała już na stacji. Przywitałam ją serdecznie i szybko wsiadłyśmy do wagonu; przez dyskusje z Lindą byłam trochę spóźniona.

Każda z nas była ciekawa, co słyhać u tej drugiej, jak sobie radzi w Ameryce, jakie ma plany i kiedy zamierza wrócić do Polski.

Pociąg jechał w kierunku Downtown, zatrzymując się po drodze na poszczególnych stacjach. Rzucaliśmy szybko okiem, upewniając się, że „to jeszcze nie tu” i wracaliśmy do swoich ploteczek. Po wiadomościach z Krakowa przyszła pora na obgadywanie wspólnych znajomych; okazało się, że był to „temat rzeka”. Śmiałyśmy się przy tym jak nastolatki, nie mogąc się nacieszyć spotkaniem i możliwością swobodnego rozmawiania w „normalnym” języku.

Pociąg zatrzymał się i wszyscy pasażerowie wysiedli. Ledwie zwróciliśmy na to uwagę, bez reszty pochłonięte rozmową. Nagle usłyszałyśmy głos konduktora stojącego nad nami:

– Nie wysiadacie? – patrzył na nas z dziwnym wyrazem twarzy.

Zerwałyśmy się z ławki i łapiąc w pośpiechu torebki wybiegłyśmy na peron.

Wyglądał dziwnie znajomo i wcale nie widać było drapaczy chmur, które zapamiętałam z poprzednich wizyt. Konduktor stał w otwartych drzwiach wagonu i z rozbawioną miną wskazał tablicę z nazwą stacji. Byłyśmy z powrotem w Des Plaines! Przejechałyśmy Downtown i wróciły do stacji początkowej.

Nie było innego wyjścia, jak zrobić tę trasę jeszcze raz, ku uciesze konduktora, i tym razem wysiąść na właściwej stacji.

Niestety Aldona nie miała już zbyt wiele czasu, jako że pracowała od niedawna i ledwo wyprosiła te parę godzin w niedzielę. Po krótkim spacerze po mieście pożegnała się i pojechała z powrotem, a ja zostałam sama z miłą perspektywą jeszcze kilku wolnych godzin tylko dla siebie. Poszłam na plażę, gdzie zdjęłam buty i z przyjemnością chodziłam po mokrym piasku, obmywanym przez fale. Jezioro Michigan tylko z nazwy przypomina jezioro, tak naprawdę jest wielkie jak morze i nawet fale ma „morskie”. Wyobrażałam sobie, że jestem na wakacjach i mogę robić co tylko mi się spodoba, jestem panią własnej woli i niczego nie „muszę”. To były bardzo przyjemne marzenia.

W końcu głód zmusił mnie do poszukania jakiejś niedrogiej knajpki. Chodziłam po ulicach tego ogromnego miasta, przytłoczona wielkością otaczających mnie wieżowców. Eleganckie sklepy i restauracje zachęcały kolorowymi szyldami i wystawami, ale dla mnie było to wszystko zdecydowanie za drogie.

Skręciłam w jakąś boczną uliczkę i weszłam wprost na małą knajpkę, w sam raz dla mnie. Od razu było widać, że nie jest tam zbyt drogo.

W środku, za barem stał czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku, przepasany białym fartuchem. Zamówiłam jakiegoś „gotowca” z gabloty i z tacą w rękę ruszyłam w głąb sali w poszukiwaniu wolnego miejsca.

Nagle zdałam sobie sprawę, że rozmowy przy stolikach umilkły; ludzie zaczęli się obracać w moim kierunku i patrzeć na mnie z wyraźnym zdziwieniem. Z początku nie wiedziałam o co im chodzi, ale po chwili dotarło do mnie, że jestem jedyną białą w tym lokalu. Najwidoczniej znalazłam się w murzyńskiej dzielnicy i weszłam do ich lokalu.

Mimo że niektóre spojrzenia nie były zbyt przyjazne, postanowiłam udawać, że nic takiego się nie stało. Nie miałam zamiaru rezygnować z jedzenia tylko dlatego, że nie pasowałam tam kolorem skóry. Z pozornie obojętną miną przysiadłam się do stolika młodego małżeństwa z dwójką małych dzieci. Dziewczynka, może dwuletnia, miała włosy splecione w kilka śmiesznych warkoczyków z kolorowymi kokardkami. Zaintrygowały ją moje srebrne kolczyki w kształcie zwiniętej kobry i próbowała je dotykać paluszkami, ogromnie zafascynowana.

Po chwili sąsiedzi przestali zwracać na mnie uwagę, a ja szybko zjadłam i z ulgą wyszłam na ulicę. Zwiedziłam jeszcze Muzeum Historii Naturalnej i mój czas, niestety się skończył. Musiałam wracać do Lindy.

Drzwi otworzyła mi zdenerwowana Jean.

– Dobrze, że już jesteś – powitała mnie z ulgą.

– Czy to Lucy wróciła? – usłyszałam starczy głos dobiegający z głębi mieszkania. Chwilę później dobiegł mnie stukot laski zawieszony na balkoniku i zaaferowana babcia wkroczyła do salonu.

– Chodź, specjalnie zostawiłam, tak jak kazałaś – ruszyła teraz w stronę łazienki.

„Kazałam?” – popatrzyłam zdziwiona na Jean i wzruszyłam ramionami.

– Linda zrobiła kupkę niemal zaraz po twoim wyjściu – wyjaśniła z urazą w głosie – i nie pozwoliła jej splukiwać, aż do twojego powrotu.

Całą siłą woli starałam się powstrzymać narastający we mnie śmiech, ale chyba niezbyt mi się to udało. Rozsierdzona przyjaciółka babci rzuciła mi niechętne spojrzenie.

– Nie ma się z czego śmiać. Przez twoje dziwaczne pomysły musiałam chodzić z Lindą do Lori i korzystać z jej ubikacji.

Miałam zbyt dobry nastrój, żeby wdawać się z nią w dyskusje. Wcale nie było mi jej żal. Chociaż raz przekonała się, jak to jest przyjemnie „siedzieć i nic nie robić”, na czym według niej polegała moja praca u babci.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nawet nie przypuszczałam, że potrafię tak szybko przystosować się do nowych warunków życia. Pobyt w Ameryce nauczył mnie wiele, przede wszystkim o mnie samej. Ze zdumieniem odkrywałam w sobie cechy, o które nigdy wcześniej bym siebie nie podejrzewała.

Często, już po powrocie do domu, opowiadałam rodzinie i znajomym, jak to całymi dniami siedziałam w fotelu wysłuchując w kółko tych samych opowieści, lub czytając książki.

Słyszałam wtedy pełne zdumienia i niedowierzania:

– To niemożliwe, przecież tak można zwariować! Tego normalny człowiek nie wytrzyma przez tyle miesięcy!

I mnie się tak z początku wydawało. Z natury żywa, energiczna i będąca w ciągłym ruchu nagle zostałam skazana na bezczynność. Zupełnie nie mogłam się odnaleźć w tej nowej rzeczywistości. Czułam się nieszczęśliwa i zagubiona, a brak wieści z domu pogłębiał jeszcze ten stan. Gdyby nie poczucie odpowiedzialności, już dawno rzuciłabym wszystko w diabły i wróciła do domu. Cierpliwość też nie jest wiodącą cechą mojego charakteru, a jednak musiałam ją sobie przyswoić.

Babcia większość dnia spędzała drzemiąc w fotelu i wstając z niego tylko po to, aby przejść do łazienki lub do kuchni. Nie miała w takich warunkach możliwości robienia bałaganu, więc jedyne moje sprzątanie polegało na odkurzeniu apartamentu raz w tygodniu i na umyciu łazienki. Kuchnię sprzątałam po każdym posiłku.

Z nudów mogłabym odkurzać codziennie, miałam jednak wyraźny zakaz – tylko raz w tygodniu, ponieważ „od odkurzacza wyciera się wykładzina”.

Nie mogłam również zamknąć się w swoim pokoju, bo wtedy znikłabym z pola widzenia Lindy.

Pozostawał mi tylko fotel który, chcąc nie chcąc, musiałam polubić.

Na szczęście był wygodny i stał blisko okna, więc mogłam z niego obserwować, co dzieje się na ulicy. Teraz rozumiem potrzebę wysiadania w oknie niektórych, zwłaszcza starszych ludzi. Czasami jest to jedyna rozrywka i sposób na samotność.

Mogłam też w tym fotelu czytać książki, uczyć się angielskiego, pisać długie listy do domu lub robić swetry na drutach. Jeden nawet zrobiłam Lindzie. Bardzo się z niego cieszyła, schowała go na „specjalną okazję”, która nigdy nie nadeszła.

Wypełniałam też czas rysowaniem. Już jako dziecko lubiłam to zajęcie, potem zarzuciłam je z braku czasu. Teraz miałam go pod dostatkiem, kupiłam więc ołówki, kredki, pastele i papier i z zapalem oddawałam się dawno już zapomnianej pasji. Babcia była zachwycona.

– Lucy, masz talent! – cmokała z uznaniem, dodając zaraz: – Ale to nic dziwnego, w naszej rodzinie wszyscy go mieli.

Od mojego powrotu była święcie przekonana, że należę do rodziny. Z początku myślałam, iż mówiąc tak chce mi po prostu zrobić przyjemność, ale ona naprawdę tak myślała.

Pytała czasami o jakieś szczegóły z „naszego” dzieciństwa, czy pamiętam na przykład co powiedział George, gdy mama przyniosła do domu pasztet?

Jakże miałabym tego nie pamiętać? Słyszałam tę opowieść tysiące razy: George nie lubił pasztetu, oświadczył, że nie będzie jadł „byle czego” na kolację i na znak protestu zamknął się w swoim pokoju.

Czasami klóciłyśmy się o jakieś szczegóły, babci myliły się fakty, ale zaraz potem przyznawała z uśmiechem:

– Masz rację, to chyba ty brałaś udział w tej zabawie, dlatego lepiej pamiętasz niż ja.

Uśmiechnięta wracała do swojej „krajiny szczęśliwości”, czyli zapadała w kolejną drzemkę, a ja do moich zajęć fotelowych.

Z czasem naprawdę polubiłam ten mebel. Głęboki, wygodny, można się było w nim zapaść i odizolować od świata. Jasna, w delikatny złoty wzorek tapicerka była miejscami przybr-

dzona i postrzępiona. Z bocznych oparć snuły się wytarte nitki, które często w zamyśleniu nawijałam sobie na palec.

Obłożona książkami i zeszytami, stworzyłam tam swój mały świat z którego wychodziłam tylko po to, żeby przygotować posiłek czy wysłuchać jakiejś opowieści.

Jedynie do telefonu zrywałam się chętnie, bo przeważnie były to telefony do mnie.

Do Lindy rzadko ktoś dzwonił; rozmowa z nią była czasami trudna, ponieważ źle słyszała i krzyczała do słuchawki ogłuszając skutecznie rozmówcę, lub gdy miała zły dzień, nie poznała osoby dzwoniącej i „wypraszała sobie rozmowy z nieznanymi”.

Z czasem kupiłam sobie małe radio, które ustawiłam na stoliku pod lampą i cichutko, żeby nie przeszkadzać babci, słuchałam muzyki. Tam po raz pierwszy usłyszałam piosenkę „Don't worry be happy”. Była jakby specjalnie adresowana do mnie i dziwnym trafem pojawiała się zawsze w chwilach moich załamania, podnosząc mnie na duchu.

A swoją drogą, chyba dość często wpadałam w dołki psychiczne, bo przecież piosenka, jako nowość, musiała się ukazywać na antenie przynajmniej raz dziennie...

Mimo wszystko spokój panujący w domu pozwalał mi się wyciszyć wewnątrz. Starłam się myśleć tylko o przyjemnych sprawach, o tym, jak to będzie po powrocie do domu. Tysiące razy wyobrażałam sobie scenę powitania na lotnisku, radość, uściski. Na samą myśl o tym łzy stawały mi w oczach.

W marzeniach przenosiłam się do Krakowa, spacerowałam starymi uliczkami, zaglądałam do bram, odwiedzałam ulubione miejsca na Wawelu. Gdybym lepiej znała język, to pewnie ja zanudzałabym Lindę swoimi opowieściami, wyidealizowanymi przez tęsknotę.

Słuchając opowieści babci też można by nabrać przekonania, że jej rodzina była idealna, zaś życie wspaniałe. A przecież na pewno i tam zdarzały się zgrzyty i nieporozumienia. Może i Herbert nie był takim ideałem, jak by się z jej opowiadań wydawało?

Ale co to ma w końcu za znaczenie, ważne, że ona takim go właśnie zapamiętała.

Nie zawsze jednak udawało mi się myśleć pozytywnie, czasami dopadała mnie chandra – gigant.

Najgorzej było latem, kiedy za oknem widziałam uśmiechniętych ludzi spacerujących w blasku słońca, podczas gdy ja siedziałam zamknięta w domu w towarzystwie śpiącej babci.

Widok uśmiechniętego przechodnia na ulicy w Ameryce jest czymś zupełnie naturalnym, wprost przeciwnie niż u nas. W Polsce, jeśli już ktoś się do nas uśmiecha a nie jest to znajomy, to musi być albo ktoś niespełna rozumu, albo jakieś mocno podejrzanе indywiduum, które chce nas zaczepić w niecnym celu, albo w dwóch przypadkach na trzy, Świadek Jehowy.

Dlatego też ja, jako typowa Polka, odnosiłam się początkowo z dużą rezerwą do pozdrawiających mnie z uśmiechem nieznanymi ludźmi. W przypadku mężczyzn mogłam mieć chociaż nadzieję, że to podrywacze, ale często były to kobiety, na dodatek starsze.

Szybko jednak się przyzwyczaiłam i nawet spodobał mi się ten miły zwyczaj. Wprawiał człowieka w dobry humor i życzliwiej nastawiał do otaczającego go świata.

Gorzej, że po powrocie do domu musiałam się znów przestawić, żeby nikt na ulicy nie wziął mnie za głupka.

Tymczasem smutno mi było gdy patrzyłam na tych pogodnych ludzi przez okno naszego apartamentu. Monotonny szum klimatyzatora pogłębiał jeszcze mój ponury nastrój.

Wyplakiwałam się najczęściej w nocy do poduszki tak, żeby babcia niczego nie zauważyła. Nie chciałam jej niepotrzebnie denerwować, wystarczyło, że ona sama płakała co chwila.

Ale kiedyś nie wytrzymałam i zaczęłam pochlipywać w fotelu, przekonana, że Linda śpi.

Babcia jednak nie spała. Obserwowała mnie przez chwilę w milczeniu, w końcu wstała z fotela i ruszyła w kierunku swojej sypialni. Byłam przekonana, że poszła się położyć. Często tak robiła życząc mi dobrej nocy po kilka razy dziennie, aby po paru minutach wstać znowu i pytać o śniadanie.

Tym razem jednak wróciła ciągnąc niezdarnie balkonik jedną ręką, w drugiej trzymała coś w zaciśniętej dłoni. Stała obok mojego fotela z niewyraźną miną.

– Nie chcę żebyś była smutna – powiedziała w końcu żalonym głosem – jesteś młoda, powinnaś być szczęśliwa.

Przez chwilę patrzyła na swoją dłoń, wreszcie wyciągnęła ją przed siebie otwierając palce.

Moim oczom ukazał się pierścionek i klipsy pięknej starej roboty z ogromnych, kwadratowych ametystów oprawionych w srebro. Klipsy miały dziwne zapięcie z gwintem jak śrubki, pierścionek szeroką, płaską obrączkę. Kamienie otaczały misterne wzorki ze stylizowanych kwiatów ze srebra pociemniałego od nie używania.

– Weź, przyniosą ci szczęście – uśmiechnęła się zachęcająco.

Dopiero teraz rozbeczałam się na dobre. Nie mogłam przyjąć takiego prezentu, ale swoją odmową sprawiłam Lindzie przykrość.

– Ja już tego nie będę nosić – wymownym gestem pokazała na swoje powykęcane palce i wyciągnięte nienaturalnie płatki uszu. Był to zapewne efekt długoletniego noszenia zbyt ciężkich klipsów.

Przyjęłam prezent wzruszona tym gestem. Biedna Linda ofiarowała mi swoją drogą pamiątkę, Herbert kupił jej tę biżuterię w Meksyku.

A wszystko po to, żebym poczuła się odrobinę szczęśliwsza. I chociaż to nie pierścionków potrzebowałam do szczęścia, ten gest bardzo mi zapadł w serce. Był taki szczerzy i spontaniczny.

Na wszelki wypadek jednak opowiedziałam o tym Jean, chcąc uniknąć ewentualnego osądzenia o kradzież, gdyby babcia zapomniała kiedyś o tym fakcie.

Linda miała sporo biżuterii, którą przechowywała w szkatułce na toaletce w swojej sypialni. Na początku Jean przyjeżdżała co wieczór i wspólnie przeliczały wszystkie skarby, o czym informował mnie grzechot dobiegający z pokoju i podekscytowane szepty, gdy czegoś nie mogły się doszukać. Było to naprawdę bardzo upokarzające doświadczenie, zaciskałam zęby i udawałam, że nic mnie to nie obchodzi. Później Jean przeprosiła mnie za tę podejrzliwość, ale jak się okazało, zostały już kiedyś okradzione przez jedną z opiekunek.

Pierścionek i klipsy mam do dzisiaj. Nie noszę ich, ponieważ są za duże i niemodne, zwłaszcza pierścionek. Jeden z klipsów ma zepsute zapięcie i odłamany kawałek kamienia – pewnie kiedyś spadł właśnie z tego powodu i się obtłukł. Ale kto wie, może kiedyś go naprawię i założę biżuterię babci – w końcu miała mi przynieść szczęście...

Póki co, z przyjemnością wyjmuję ją od czasu do czasu ze swojej szkatułki i wspominam te miłsze momenty z pobytu u Lindy.

Nie dostałam tam nigdy ani centa podwyżki, nie poprawiło się też zaopatrzenie, ani nie mogłam wychodzić na dłuższe spacerunki, a spędziłam tam długie dziewięć miesięcy. Wiedziałam jednak, że zależało to od Jean a nie od babci.

Tylko ten jeden gest, prosto z serca, był jej własny i dlatego tak wiele dla mnie znaczył.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Dobranoc kochanie! – Linda wstała z krzesła, chwilę łapała równowagę trzymając się brzegu stołu, aż w końcu przestała się chwiać i chwyciwszy mocno balkonik skierowała go w stronę łazienki.

Wszelkimi siłami starałam się stłumić westchnienie ulgi i z uprzejmym uśmiechem wysłuchałam niekończących się życzeń miłych i kolorowych snów, dobrego wypoczynku i zadnych, broń Boże, koszmarów.

Ten rytuał powtarzał się co wieczór, bez tego nie mogłybyśmy iść spać.

To znaczy, ja bym pewnie mogła, ale babcia absolutnie nie! Zawsze upewniała się wiele razy, budząc mnie niejednokrotnie w środku nocy, lub wywołując spod prysznica, czy aby życzyła mi dobrej nocy.

Było to dość męczące i dla mnie i pewnie dla niej, więc pewnego dnia wpadłam na genialny, moim zdaniem, pomysł i zawiesiłam swoją sukienkę na drzwiach od sypialni. Miało to oznaczać, że już byłam w jej sypialni i że żegnałyśmy się na dobranoc.

– Lucy, jesteś nadzwyczajna! – ucieszyła się babcia – w ten sposób na pewno będę pamiętała!

Nie byłam tak do końca o tym przekonana, ale zawsze warto spróbować. Życzyłam więc babci jeszcze raz miłych snów i poszłam pod prysznic.

Szczęśliwa, że dzień mam już za sobą, rozebrałam się powoli i odkręciłam kurek z ciepłą wodą. Nagle, poprzez szum rozpryskujących się kropel dobiegło mnie wołanie Lindy.

– To niemożliwe! – pomyślałam zdziwiona – przecież dopiero co wyszłam z jej pokoju! Pewnie chodzi o coś zupełnie innego.

Wytarłam się szybko i narzuciwszy tylko szlafrok, pobiegłam do niej zaniepokojona.

– Kolorowych snów i miłego wypoczynku! – bezzębny uśmiech Lindy był rozbijający.

Policzyłam w myślach do dziesięciu, zanim mogłam się spokojnie odezwać i odpowiedzieć na uśmiech.

– Ja też ci życzę miłych snów, Linda. I nie zapominaj o tym – znacząco wskazałam na wiszącą na drzwiach sukienkę.

Babcia z miną spiskowca pokiwała energicznie głową i zgasiła lampkę w swoim pokoju.

Wróciłam pod prysznic. Gorąca woda, jak zwykle, odprężyła mnie i uspakajała. Od pamiętnej „sceny prysznicowej” z wyjącem alarmem przeciwpożarowym, już pamiętałam o włączeniu wyciągu, mogłam więc do woli korzystać z przyjemności kąpieli.

Nagle zdałam sobie sprawę, że od dłuższego już czasu słyszę jakieś dziwne dźwięki dobiegające zza drzwi. Jako żywo przypominały natarczywe wołanie Lindy.

– Tym razem ją chyba zabiję! – pomyślałam wściekła – lepiej żeby to było coś naprawdę ważnego!

Zakręciłam gwałtownie wodę, narzuciłam szlafrok na mokre ciało i jak furia wypadłam z łazienki, ponaglana coraz głośniejszymi krzykami babci.

– Koloro... – przywitała mnie z wyraźną ulgą opadając na poduszkę, gdy stanęłam w drzwiach.

– Oj... – dodała znacznie już ciszej, widząc moją minę – chyba już ci życzyłam dobrej nocy?

Starałam się opanować, chociaż przychodziło mi to z coraz większym trudem.

– Pamiętaj po co wisi ta sukienka – przypominałam jej wychodząc z pokoju i życząc, po raz nie wiem już który, dobrej nocy.

Bez kłopotów dokończyłam wieczorną toaletę, ale gdy nakładałam krem na twarz, znów usłyszałam wołanie, tym razem jednak wyraźnie płaczliwe i nieśmiałe. To już naprawdę było ponad moje siły. Usiadłam zrezygnowana na brzegu wanny wpatrując się tępo w drzwi, za którymi coraz żałośniej wołała mnie babcia.

Dość długo trwało, zanim znów poszłam do jej sypialni.

– Zapomniałam po co to zawiesiłaś na drzwiach... – jęknęła rozkładając bezradnie ręce na mój widok.

Zabrałam sukienkę i zmęczona Linda mogła wreszcie usnąć.

Tego dnia wyjątkowo dała mi się we znaki. Zaczęło się przy kolacji, kiedy to zaproponowała żebym dokończyła jej porcję, bo ona już nie może. Wzdrygnęłam się wewnętrznie na samą myśl o zjedaniu czyichkolwiek resztek, ale uprzejmie odmówiłam, mówiąc że nie jestem głodna. Kiedy jednak odwróciłam się, żeby przygotować wieczorną porcję leków, nagłym ruchem zsunęła zawartość swojego talerza, wraz ze szczęką, na mój.

Kolację miałam już z głowy. Byłam zła, bo nie było już z czego zrobić dokładki – zapasy, jak to zwykle w piątek, właśnie się kończyły. Zostały już tylko resztki na sobotę, a następne zaopatrzenie miało być dopiero w niedzielę.

Linda nieświadoma faktu, że właśnie pozbawiła mnie i tak już skromnej kolacji, włożyła odzyskaną z mojego talerza szczękę i poszła włączyć telewizor. To też był rytuał – zawsze po kolacji „oglądałyśmy” do dziesiątej wieczór telewizję w moim pokoju.

W praktyce wyglądało to tak, że babcia drzemała w fotelu budząc się tylko od czasu do czasu, żeby sprawdzić godzinę. Nie było jej jednak obojętne przy jakim programie drzemie, musiałam się więc dostosowywać, w końcu to był jej telewizor, co często w chwilach złości podkreślała. Najchętniej kładłabym się wcześniej spać, albo czytała książki, niestety nie miałam tam nic do powiedzenia. Wspólne oglądanie telewizji było, jak się okazało, zaleceniem lekarza. Ponieważ babcia już „nie bywała” i nie przyjmowała gości, musiała pobudzać umysł rozmowami z opiekunką i oglądaniem telewizji.

Staruszka nie była jednak w stanie skupić swojej uwagi na niczym dłużej niż przez parę minut. Sprawdzała więc co chwila godzinę, żeby wreszcie o dziesiątej obudzić się ostatecznie i stwierdzić z wyraźną ulgą:

– No, czas już spać! Dobranoc Lucy, kolorowych snów i do zobaczenia rano!

Najgorsze jednak było to, że wybierała programy, które miałyśmy oglądać. Tak więc, zamiast filmów, które mnie interesowały, zmuszona byłam oglądać miotających się po scenie kaznodziejów zbierających datki na szczytne cele. Odnosiłam jednak wrażenie, że najważniejsze w tym całym przedstawieniu było napchanie ich własnej kieszeni.

Niestety, każda moja próba zmiany kanału na inny kończyła się obudzeniem Lindy, do której nagle przestawały docierać historyczne wrzaski z telewizora. Zdarzało się, że pozwalała mi oglądać film, ale i wtedy nie miałam spokoju. Budząc się co jakiś czas zadawała niewygodne pytania.

– Kim jest ta kobieta? – rzucała nagle, lub – Kto to jest ten starszy mężczyzna?

Z początku starałam się bardzo rzetelnie odpowiadać na takie pytania, w związku z czym szybko traciłam wątek oglądanego właśnie filmu. Mój angielski był jeszcze na tyle słaby, że zanim coś powiedziałam, musiałam to sobie najpierw przetłumaczyć w myślach, mozolnie szukając odpowiednich słówek. Później, widząc że Lindzie i tak nic nie mówi, kto jest kim w filmie, przygotowałam sobie „gotowce” w rodzaju:

– To jest córka tego, co właśnie wyszedł.

Albo:

– To ojciec tej, co tam stoi.

– Aha... – kiwała uspokojona głową i ponownie zapadała w drzemkę.

Kiedyś uparła się oglądać „Ben Hura”, film z którym pewnie łączyły jej się jakieś przyjemne wspomnienia z przeszłości. Kłopot w tym, że ja widziałam go już wiele razy i wcale nie miałam ochoty tego oglądać, po raz nie wiadomo który.

Skorzystałam więc z drzemki babci i szybkoitko przełączyłam na inny kanał, gdzie szedł właśnie film, którego akcja rozgrywała się w Ameryce Południowej, a dotyczył spisku na życie prezydenta.

Niestety, Linda natychmiast zorientowała się, że to nie „Ben Hur” i ze złością kazała mi wrócić do poprzedniego kanału. Przez dłuższą chwilę oglądałam posłusznie, zerkając uważnie na babcie. Kiedy uznałam, że już śpi, znów przełączyłam kanał. Bohaterowie zastanawiali się właśnie na głos, jak przechrzyć zamachowca, kiedy Linda otworzyła jedno oko i łypnęła podejrzliwie w kierunku telewizora. Już miałam wstać i zmienić program (telewizor był starego typu, bez pilota), gdy wymamrotała coś niewyraźnie pod nosem i usnęła ponownie.

Nagły huk wystrzału rozbudził ją ostatecznie. Ktoś jednak zabił w końcu prezydenta i zrobił to z dużym hałasem. Linda patrzyła przez chwilę niezbyt przytomnym wzrokiem, po czym zapytała z najwyższym zdumieniem:

– Dlaczego Ben Hur zabił prezydenta?!

– Bo taki dostał rozkaz – odparłam bez chwili zastanowienia.

– Zmień to natychmiast! – zażądała stanowczo – możesz oglądać „swój” film, ja na coś takiego patrzeć nie będę! Taki niby pozytywny bohater, a prezydenta zabił! Nigdy dotychczas tego nie zrobił! – nie mogła opanować oburzenia.

Nie dowiedziałam się kto i dlaczego popełnił to przestępstwo, bo musiałam zmienić kanał. Babcia była rozdrażniona i nic jej się nie podobało. Wszystkie programy były „głupie”, a kandydacja zdążył już nabić kabzę wcześniej.

Wreszcie znalazłam ciekawy reportaż o piramidach w Egipcie. Jest to temat, który zawsze mnie interesował, więc bardzo się ucieszyłam. Niestety i to okazało się „głupie”. Nie pomogły żadne moje argumenty – babcia nie miała zamiaru tego oglądać.

– A co – spytała zjadliwym tonem – to wy tam w Polsce nawet piramid nie macie?

– Nie mamy – odparłam spokojnie, usiłując nie dać się wyprowadzić z równowagi – a może wy macie?

– Oczywiście, że mamy – machnęła lekceważąco ręką – i to znacznie większe niż te tutaj...

Na szczęście zbliżała się magiczna dziesiąta i Linda wstała z fotela.

– Idę się myć – powiedziała kierując balkonik w stronę łazienki – gdyby Elma i Selma przyszły wcześniej, poprosz żeby poczekały na mnie w pokoju.

Wprawdzie nauczyłam się już niczemu nie dziwić, ale znów mnie zaskoczyła.

– To one mają dzisiaj przyjść? – wybąkałam z niezbyt mądrą miną.

– A niby dlaczego właśnie dzisiaj miałyby nie przychodzić? – zdziwiła się z kolei babcia – przecież tu sypiają!

Okazało się, że zmarłe czterdzieści lat temu siostry Lindy „sypiały” co noc w jej pokoju. Elma spała na skrzyni z bielizną, a Selma na nawilżacz powietrza. Gdy spytałam, dlaczego nie śpią na łóżku Herberta, wygodnym i wolnym w tej chwili, spojrzała na mnie z takim samym niemym oburzeniem, jak w dniu, gdy wydawało mi się, że to ja mam tam sypiać.

Ten mebel miał stać nietknięty, tak jakby właściciel mógł wrócić lada chwila. Nawet pościeli tam nie zmieniałam przez całe dziewięć miesięcy.

Linda poszła się myć, to znaczy wycierać najważniejsze części ciała zmoczoną i namydloną szmatką.

Zawsze mnie dziwiło to „mycie się” starszych Amerykanów. Wilgotna ściereczka wielkości dużej chustki do nosa, załatwiała całe mycie. Miałam nadzieję, że Linda zaczynała chociaż swoje „ablucje” od twarzy...

Siedziałam sama w pokoju i trochę niepewnie spoglądałam w ciemny prostokąt drzwi od sypialni babci. Mimo że zdawałam sobie sprawę z niedorzeczności tej sytuacji, to jednak czułam się niewyraźnie. A jeśli naprawdę pojawią się tu w nocy jakieś duchy?

Każde stuknięcie powodowało przyspieszoną akcję mojego serca – papużka zatrzepotała niespokojnie w klatce w salonie, skrzypnęła gdzieś podłoga, klimatyzator szumiał ponuro.

Nagły stuk spadającej na posadzkę w łazience laski poderwał mnie na równe nogi z fotela. Babcia wyszła szybko, bojąc się, że może siostry już czekają. Zabrałam za nią laskę i powiesiłam ją na balkoniku stojącym obok łóżka.

– Dobrze, że jeszcze nie przyszły – ucieszyła się Linda – będę mogła spokojnie dokończyć toaletę.

To mówiąc zaczęła wcierać w nagie ramiona mleczko kosmetyczne. Robiła to z wyraźną przyjemnością, powtarzając za każdym razem, że „o urodę trzeba dbać” i „tylko stosowanie drogich i markowych kosmetyków daje efekty”.

Patrząc na nią, na jej zwiędłą i zwiotczałą skórę, zastanawiałam się jak by teraz wyglądała stosując tylko tanie i nie markowe kosmetyki jak, nie przymierzając, ja.

Ale na kokieteryjne pytanie: – „Ile dałabyś mi lat?” – odpowiadałam niezmiennie, że „nie więcej jak sześćdziesiąt”.

– Widzisz! – wykrzykiwała uszczęśliwiona – a ja mam dziewięćdziesiąt!

Miała dziewięćdziesiąt lat i na tyle, niestety, wyglądała. Ale w takich momentach czuła się na niecałe sześćdziesiąt i to było najważniejsze.

Wróciłam do swojego pokoju i otworzyłam okno, chociaż nie powinnam była tego robić przy włączonej klimatyzacji. Nie mogłam się jednak przyzwyczać do zamkniętych okien w nocy. Chłodne, lekko zatęchłe powietrze z klimatyzatora dawało mi poczucie zamknięcia w piwnicy.

Jednak tej nocy otwarcie okna nie poprawiło mojego samopoczucia, było parno i gorąco, nie mogłam złapać oddechu. Świerszcze (a może cykady?) w okolicznych drzewach i krzakach zanosily się swoim chóralnym śpiewem. Robiły to z irytującą regularnością, a w przerwach tego koncertu panowała upiorna cisza.

Zamknęłam okno i powlokłam się do łazienki. Wszystko mnie drażniło: rzucona na posadzkę szmatka „kąpielowa”, utopione w umywalce mydło a najbardziej, uśmiechnięta szczerka babci, leżąca na samym wierzchu.

Chciało mi się płakać, czułam jak zbliża się chandra – gigant. Nawet nie mogłam zadzwonić do Polski, bo tam dochodziła dopiero szósta rano. Wydawało mi się, że już dłużej nie wytrzymam i muszę już wracać, bo zwariuję.

W takich chwilach pomagał mi czasami sposób, który sobie kiedyś wymyśliłam – polegał on na „wyjściu z siebie i stanięciu obok”. Popatrzyłam więc na smutną, zrezygnowaną Lucy, pochlipującą żałością na brzegu wanny.

– No i co ci się dzieje, głupia babo? – spytałam – masz pracę, jesteś zdrowa, wrócisz do domu, jak przyjdzie na to czas i odmienisz swoje życie. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo! Rodzina w ciebie wierzy, bo podobno jesteś silna i zaradna, a ty co? Siedzisz tu i się mażesz, że ci źle na świecie. Zawsze może być jeszcze gorzej, a tobie jest BARDZO DOBRZE!

Zwykle to pomagało, musiałam tylko bardzo usilnie przypomnieć sobie, dlaczego jest mi dobrze, a nie tak źle, jak się czułam.

Wracałam więc do sypialni, gasiłam lampkę i nasłuchując pojękującej przez sen babci przenosiłam się w marzeniach do domu i wyobrażałam sobie, że leżę w swoim własnym, wygodnym łóżku. Na szczęście rano nocne upiory nie były już takie straszne. Zaczynałam nowy dzień z radością, że oto następny mogę już wykreślić z kalendarza i coraz bliżej jest do weekendu oraz do spotkania z przyjaciółmi.

– A może dostanę dzisiaj list z Polski – myślałam z nadzieją – albo zadzwonię do domu i porozmawiam z dziećmi. Zdecydowanie życie bywało piękniejsze każdego ranka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lato kończyło się powoli, dni stawały się coraz chłodniejsze, ale pogoda wciąż jeszcze sprzyjała spacerom. Udało mi się namówić Lindę na krótkie wyjścia z domu, dzięki czemu sama też mogłam dłużej przebywać na powietrzu.

Wozilałam ja w wózku inwalidzkim po całej okolicy. Wprawdzie było to trochę męczące, bo czasami samo zejście i wyjście po schodach zajmowało nam więcej czasu niż spacer, nie mówiąc już o znoszeniu i wynoszeniu ciężkiego wózka – ale i tak się opłacało. Obie byłyśmy zadowolone z takiej odmiany, podejrzewam nawet, że były to pierwsze spacerunki babci od niepamiętnych czasów.

Z radością oglądała wystawy sklepowe i ludzi na ulicach i skwerkach. Wszystko ją dziwiło; moda zmieniła się od czasu, gdy sama mogła wychodzić z domu. Krytykowała na głos przechodzące kobiety, nie zdawała sobie chyba sprawy z tego, że nie wszyscy są przygłusi, jak ona. Pchałam więc wózek czerwona ze wstydu i uśmiechałam się przepaszająco dookoła.

– Jak można założyć taką krótką sukienkę mając t a k i e nogi! – wykrzykiwała zgorzonna.

Ale zdarzały się też pozytywne oceny.

– Spójrz Lucy jaki przystojny mężczyzna! Widziałas jak się za mną oglądał?

Widziałam... niestety widziałam..

Linda uwielbiała te spacerunki, czekała na każde wyjście prawie tak, jak na śniadanie. Wyjeżdżałyśmy zawsze po lunchu, ale gotowa była już od rana i za nic nie dawała się przekonać, że mamy jeszcze czas. Najczęstszy więc wtedy widok w naszym domu w tym czasie, to ubrana od stóp do głów Linda snująca się zniecierpliwiona po salonie.

Czasami udawało mi się ją przekonać do zdjęcia tych wszystkich ciepłych ciuchów, przeważnie jednak kończyło się to moją porażką. Bywało, że czerwona ze złości i gorąca jadła lunch w płaszczu, czapce na głowie i szaliku, maczając końce tego ostatniego w talerzu z zupą, bo „niektórzy nie mogą się zdecydować kiedy wyjść na spacer”...

Spocona siadała na wózek i na efekty nie trzeba było długo czekać – po jednym z takich spacerów przeziębiała się i musiałyśmy, niestety zrezygnować z naszych wypraw. Później zrobiło się jeszcze chłodniej i nie miałam już odwagi wyprowadzać jej z domu.

Nadeszła jesień, Ewa dawno już wróciła do domu, na jej miejscu została Hanka, z którą zdążyłam się zaprzyjaźnić. To ona teraz opiekowała się Hazel, przemiłą staruszką, w podobnym wieku co Linda, jednak bez śladu sklerozy.

Mimo że całe dni spędzała w łóżku z powodu złamanej kiedyś kości udowej, miała pogodne usposobienie i ogromne poczucie humoru. Była też, jak większość Amerykanów, bardzo religijna. Wszystkie wydarzenia w swoim i innych życiu tłumaczyła „wołą boską”.

Kiedy tam przyjeżdżałam, wchodziłam najpierw do jej pokoju, żeby się przywitać. Zawsze ciekawa była nowinek. Opowiadałam więc o Lindzie, o tym jak nie udało mi się zmienić tej pracy na inną, że każda oferta okazywała się niewypałem.

– Nie martw się Lucy – mówiła wtedy, podnosząc palec w górę – Pan Bóg ma widocznie inne plany związane z tobą, jestem pewna że szykuje dla ciebie jakąś wyjątkową pracę.

Czułam się tam dobrze, swojsko i niemal rodzinnie.

Trasę między Des Plaines a Lincolnwood, czyli między domem Lindy a miejscem, gdzie pracowała teraz Hanka, pokonywałam pociągiem podmiejskim. Łączyło się to zawsze z lekkim dreszczykiem emocji, ponieważ stacja na której wsiadałam w drodze powrotnej, było to słabo oświetlone, wyludnione miejsce na wysokim nasypie. Rzadko zdarzało się, aby czekały tam na pociąg wieczorem więcej niż dwie, trzy osoby.

W radio i w telewizji ostrzegano często samotnie podróżujące kobiety i radzono zaopatrzyć się, na wszelki wypadek, w gwizdek i dmuchać weń co sił w razie potrzeby.

Natychmiast zrobiłam taki zakup i przyczepiłam go do paska od torebki. Byłam spokojna do momentu, gdy pewnego wieczora wspierałam się na pustym nasyp kolejowy i nagle zobaczyłam wyłaniającą się z ciemności sylwetkę mężczyzny w kapeluszu.

Odkoczyliśmy od siebie niemal jednocześnie, a ja zupełnie nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie schowałam ten przeklęty gwizdek. Stałam pod latarnią i nerwowo przetrząsałam zakamarki mojej torebki. Dopiero w pociągu zauważyłam zgubę, która dyndała sobie spokojnie przy pasku, czyli tam, gdzie ją powiesiłam. Później uświadomiłam sobie, że przecież ewentualny napastnik może wcale nie mieć zamiaru ani mnie gwałcić ani zabijać, tylko po prostu wyrwie mi torebkę z ręki razem z wiszącym przy pasku gwizdkiem obronnym.

Próbowałam więc wkładać go do kieszeni płaszcza lub swetra, kłopot jednak w tym, że jestem roztrzepana i często zdarzało mi się, tuż przed samym wyjściem zmienić nagle wierzchnie okrycie i gwizdek zostawał w domu.

Zanim więc doszłam do tego, aby zawieszać go na szyi, postanowiłam stanowczo, że muszę jednak kupić samochód.

Już dużo wcześniej Ewa przygotowywała mnie do tego ucząc jazdy na parkingu pod kościołem.

– Tu masz kierownicę, tu pedał gazu, a tu hamulec – powiedziała pewnego dnia sadzając mnie do swojego prawie pięciometrowego buicka.

– Masz się szybko nauczyć jeździć – dodała tonem nie znoszącym sprzeciwu – bo musisz mieć samochód, gdy wszyscy wyjedziemy.

Uczyłam się, ale bez specjalnego przekonania – bałam się, że nigdy nie będę miała odwagi wjechać na ulicę i włączyć się do ruchu.

Po wyjeździe Ewy naukę kontynuował Staszek, jej brat, a później Tadeusz.

Tadeusza poznałam przez Iwonę, która zostawiła mi swojego kuzyna „w spadku”, jak sama to nazwała. Nawet nie przypuszczała wtedy, że zostawia mi go już chyba na zawsze...

Z początku drażnił mnie trochę ten niewysoki, szczupłej budowy, poważny mężczyzna, który niezupełnie pasował do mojego żywiołowego temperamentu i zwariowanych pomysłów na życie. Wydawał mi się strasznie nudny i zasadniczy. Bardzo się jednak myliłam. Ten pozujący na twardziela wielbiciel Clinta Eastwooda, westernów i kreskówek, z królikiem Bugsem na czele, okazał się wrażliwym, delikatnym i najwierniejszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. To był początek związku, który trwa nieprzerwanie aż do dziś.

Kupiłam w końcu buicka od Staszka, który też już wracał do domu. Był to ten sam samochód, którym jeździła przedtem Ewa i na którym ja sama uczyłam się jeździć. Miałam już tak zwany „permit”, czyli zaświadczenie stwierdzające, że zdałam przepisy ruchu drogowego i mogłam prowadzić auto, pod warunkiem jednak, że obok mnie będzie siedział kierowca z aktualnym prawem jazdy.

Jeździłam więc z moimi „instruktorami”, najpierw po małych uliczkach osiedlowych, później stopniowo przyzwyczajali mnie do jazdy po mieście. Parę razy nawet prowadziłam sama aż do Des Plaines, ze Staszkiem lub Tadeuszem obok, oczywiście.

W końcu Staszek wjechał i samochód został u Hanki w garażu jej babci. Przygotowywałam się do egzaminu z jazdy, musiałam więc sprowadzić auto do siebie. W Ameryce na egzamin praktyczny podjeżdża się swoim środkiem lokomocji i na nim zalicza jazdę. Widziałam ludzi, którzy nie zdali, po czym wychodzili złorzeczając głośno, wsiadali do swoich samochodów i odjeżdżali z piskiem opon.

Już nie miał kto jechać obok mnie do Des Plaines, bo musiałby wracać pociągiem, zmuszona więc byłam radzić sobie sama. Poprosiłam Tadeusza, żeby jechał za mną swoim samochodem, na wszelki wypadek, gdyby coś miało pójść „nie tak”.

Podobno jechałam „koncertowo”, zmieniałam spokojnie pasy, nie wyprzedzałam. Cały czas widziałam Tadeusza we wstecznym lusterku i to dodawało mi odwagi.

Zatrzymałam się na ostatnim już skrzyżowaniu, tuż przed skretem w naszą uliczkę. Zapaliło się czerwone światło, włączyłam kierunkowskaz i ustawiłam się prawidłowo na lewym pasie. Nagle przyszło mi do głowy, że mogę spokojnie skręcić w lewo, bo stojące naprzeciwko samochody nie mogą mi przecież zajechać drogi.

Wykonałam więc piękny manewr, tuż przed nadjeżdżającym z prawej strony pojazdem. Najgorszy był jednak fakt, że nawet tego nie zauważyłam, patrząc tylko w kierunku, w którym skręcałam.

Nie omieszkał mnie o tym poinformować przez telefon Tadeusz, któremu podobno na ten widok stanęły resztki włosów na głowie.

– Jeśli masz zamiar popełnić samobójstwo, to zrób to w jakiś bardziej oryginalny sposób. I nie zapraszaj mnie na to widowisko, bardzo cię proszę – powiedział sucho, gdy spytałam go o wrażenia z mojej pierwszej, samodzielnej jazdy.

– Ale, przecież... – zaczęłam, zbita nieco z tropu, bo sama byłam nią zachwycona.

– Ale przecież – przerwał mi niecierpliwie – Niektórzy nie zdają sobie sprawy z faktu, że stanowią zagrożenie na drodze swoją nieznajomością przepisów! Zajechałaś człowiekowi drogę i nawet tego nie zauważyłaś! Pewnie też nie słyszałaś, jak hamował z piskiem opon?

– O co to, to nie! Słyszałam! – obruszyłam się – Tylko nie wiedziałam, że to było z mojego powodu – dodałam ciszej.

Od tego czasu jeszcze pilniej uczyłam się przepisów ruchu drogowego, a każde pół godziny spaceru przeznaczałam na naukę jazdy po prawie pustych uliczkach w naszej okolicy.

Najwięcej kłopotu sprawiało mi wjeżdżanie i wyjeżdżanie z parkingu w podcieniach naszego domu. Przeszkadzały mi w tym betonowe słupki odgradzające poszczególne miejsca.

Pewnego dnia, wyjeżdżając nieudolnie skręcałam raz w lewo raz w prawo, krótkimi ruchami kierownicą, aż wreszcie wbiłam się dosłownie bocznymi drzwiami w taki słupek i bez pomocy przypadkowego przechodnia wisiałabym tam pewnie do sądnego dnia.

Na egzamin zawiózł mnie uczynny, jak zwykle, Ptaszek. Za pierwszym razem oblałam jazdę, udało mi się to dopiero za drugim podejściem, w następnym tygodniu. Trochę kłopotu miałam z załatwieniem opieki dla Lindy na ten czas, ale z pomocą przyszła mi w końcu niezawodna Lori. Bardzo była speszona i zakłopotana, kiedy w podzięcie wręczyłam jej bukiet kwiatów.

Miałam więc już prawo jazdy i mogłam spokojnie sama jeździć do Chicago w każdą niedzielę. Z początku z pewnością zwracałam na siebie uwagę swoją pozycją „szympansa na brzytwie” i przesadnie ostrożną jazdą, ale na szczęście nigdy nic złego mi się nie przytrafiło. Trzeba przyznać, że mój anioł stróż był w tym czasie najbardziej zapracowanym aniołkiem w Ameryce.

Zawsze byłam bardzo z siebie dumna, gdy udało mi się bezkolizyjnie dojechać na miejsce i mięciutko zaparkować przed domem.

Kochałam to ogromne stare auto. Tak naprawdę boję się samochodów i mimo że w Polsce po powrocie do Polski też zrobiłam prawo jazdy, nie jeżdżę i chyba nigdy już nie usiądę za kierownicą. Mój stary buick jeździł prawie sam, był to automatic, w którym trzeba było przyciskać tylko pedał gazu i hamulca. Żadnej tam ręcznej zmiany biegów, żadnego sprzęgła jak tutaj. Do ruszania i do zmiany biegu na wsteczny wystarczyło przestawić niewielką dźwignię pod kierownicą.

Teraz nie dość, że musiałabym sama zmieniać biegi, to jeszcze pamiętać o sprzęgle i lewej nodze. Poza tym, po paru próbach, każdy samochód wydawał mi się zbyt twardy i oporny. Tamten reagował na najłżejsze moje dotknięcie, nie musiałam siłą naciskać na pedał. Zachowywał się tak, jakby odgadywał każde moje życzenie. Po prostu, mój samochód miał duszę.

Podczas jazdy słuchałam tylko jednej stacji radiowej – „US-99”, która nadawała muzykę country. Co ciekawe, w Polsce prawie w ogóle nie słucham tego rodzaju muzyki, w mojej pamięci na zawsze została już przypisana do Ameryki i do tamtego samochodu.

Przeegraliśmy sobie z Tadeuszem dwie kasety z tego radia i czasami, gdy jedziemy w jakąś dłuższą trasę, słuchamy ich z przyjemnością.

Muzykę country od lat przerywa nam radosny głos prezenterki radiowej, oznajmiający, że w Chicago jest właśnie godzina jedenasta i że jest piękny słoneczny dzień.

Zamykam wtedy oczy i przenoszę się w marzeniach do tamtych dni. Siedzę w swoim buicku na wygodnym miękkim siedzeniu z imitacji skóry piaskowego koloru, w radio śpiewa Willy Nelson, a wiatr wpadający przez otwarte okno, rozwiewa mi włosy. Sunę mięciutko po Lake Shore Drive w kierunku Downtown. Z lewej strony, między drzewami prześwituje jezioro Michigan z białymi plamami żaglówek. Z prawej wylaniają się drapacze chmur i najwyższy z nich Sears Tower. Mijam wysokie, piętrowe parkingi w kształcie kolb kukurydzy i wjeżdżam do centrum. Wsiadam z samochodu i wiatr zatyka mi na chwilę oddech, wydyma spódnicę jak balon.

Nie bez przyczyny Chicago nazywane jest Windy City, czyli Wietrzne Miasto – zawsze wieje tam silny wiatr w prześwitach między wysokimi budynkami. Zadzieram głowę do góry i mrużąc oczy od słońca patrzę na skrawki błękitnego nieba gdzieś tam w górze, na przelatujący nisko samolot, który właśnie wystartował z lotniska O'Hare...

Nagle hamowanie wrywa mnie gwałtownie z marzeń – to niecierpliwy jak zwykle Tadeusz usiłował właśnie wyprzedzić, „wlokący się” z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, samochód przed nami. Na szczęście w porę zauważył jadącą z naprzeciwka ciężarówkę...

Z moim amerykańskim samochodem wiąże mi się parę zabawnych wspomnień. Pamiętam, jak pewnego niedzielnego wieczoru wracałam od Hanki do Des Plaines. Nie miałam wtedy jeszcze prawa jazdy, tylko wspomniany już „permit”, więc bałam się, żeby nie zatrzymała mnie przypadkiem policja. Jedyne przekroczenie, które przychodziło mi do głowy, że mogłabym popełnić, to tylko jazda z nadmierną prędkością. Postanowiłam więc, że w związku z tym cały czas będę patrzyła na szybkościomierz.

Byłam trochę zdenerwowana, ponieważ po raz pierwszy miałam wracać po ciemku. Na stała jesień i zmrok zapadał znacznie wcześniej.

Z duszą na ramieniu usiadłam za kierownicą i po chwili płynnie włączyłam się w sznur samochodów jadących na północny zachód. Jednak im dłużej jechałam, tym bardziej byłam zdenerwowana. Nie dość, że nie wiedziałam z jaką jadę prędkością, to jeszcze rozpraszały mnie sygnały dawane przez kierowców jadących z naprzeciwka.

– „Pewnie za szybko jadę” – myślałam spanikowana – „ale skąd mam wiedzieć, jaką mam prędkość, skoro ta cholerna deska rozdzielcza jest taka ciemna!”

Wyteżałam wzrok z całej siły, ale nawet w świetle mijanych latarni nie mogłam dostrzec strzałki szybkościomierza.

Tymczasem kierowcy jakby się zmówili, migali światłami, trąbili klaksonami. Tylko patrzeć, a zjawi się tu policja.

I nagle olśniło mnie – nie włączyłam świateł! Przez parę kilometrów jechałam po ciemku i jak typowa blondynka zastanawiałam się, jak inni jeżdżą w nocy, skoro na desce rozdzielczej nic wtedy nie widać.

Innym znów razem, kiedy zatrzymałam się na światłach, nagle zgasł mi silnik i za nic nie chciał zapalić na nowo. Światło zmieniło się na zielone, a ja stałam blokując cały pas. W bocznym lusterku widziałam sznur samochodów i wymachujących wściekle kierowców. Ogłuszona klaksonami wyszłam z samochodu i utykając nagle, podbiegłam do stojącego za mną pojazdu z prośbą o pomoc.

Ze zdumieniem zauważyłam jak wściekłość na twarzy kierowcy ustępuje stopniowo miejsca rozbawieniu.

– Zawsze się tak ubierasz? – roześmiał się wskazując ręką na moje nogi.

Zdezorientowana popatrzyłam po sobie. Właśnie wybierałam się z wizytą, więc ubrana byłam wizytowo. Czarny kostiumik, czarne rajstopy, na lewej nodze czarny pantofelek na wysokim obcasie a na prawej... rozdeptany biały adidas.

Wszystko przez to, że w automaticach używało się tylko prawej nogi. Zwykle więc woziłam „dyżurnego” kapcia pod siedzeniem i wkładałam go zaraz po wejściu do wozu. Przy wysiadaniu zmieniałam obuwie i wszystko było w porządku. Tym razem jednak, wybiegając w pośpiechu, zapomniałam o tym zupełnie.

Miły pan uruchomił mój samochód przekręcając po prostu kluczyk w stacyjce a ja starając się nie widzieć długiego szeregu rozbawionych twarzy za szybami samochodów, szybko usiadłam za kierownicą i jeszcze szybciej odjechałam.

Jak już wspomniałam, boję się jeździć samochodem i w Polsce jeżdżę tylko na siedzeniu dla pasażera, ale gdyby tak ktoś jakimś cudem postawił mi mojego starego buicka pod dom, wsiadłabym bez wahania i bez strachu pojechałabym nim wszędzie.

Jestem pewna, że byłabym bezpieczna, bo nie dałby mi zrobić krzywdy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tego dnia byłam wyjątkowo zapracowana i nie miałam czasu na siedzenie z Lindą w fotelu. Zrobiło się już zimno i musiałam przestawić klimatyzację z chłodzenia na ogrzewanie. Ponieważ jednak wdmuchiwane ciepłe powietrze było zbyt suche i szkodziło delikatnym drogom oddechowym babci, zmuszona byłam uruchomić jednocześnie nawilżacz, stojący przez całe lato w jej sypialni.

Odkurzyłam cały salon, przestawiłam parę mebli tak, aby ustawić urządzenie pod nawiewem. Wreszcie z mozołem zaczęłam przesuwając ciężką skrzynię z pokoju do salonu. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ kółeczka umocowane pod spodem nie chciały się przesuwać po puszystej wykładzinie.

Linda przyglądała się moim zmaganiom z coraz większą nieufnością.

– Po co to wynosisz? – nie wytrzymała w końcu – a gdzie Selma będzie teraz spała?!

– Masz szerokie łóżko, możecie spać w nim obie – powiedziałam zniecierpliwiona, szarpając ze złością oporny mebel.

Babcia obrażona poczłapała do swojego fotela a ja mogłam spokojnie dokończyć pracę.

W końcu wszystko już było gotowe, nawilżacz szumiał równie ponuro jak przedtem klimatyzator, ale przynajmniej powietrze nie było już tak naelektryzowane i biedna Linda mogła bez obawy dotykać metalowych rurek swojego balkonika. Głośne trzaski wyładowań elektrycznych przerażały ją za każdym razem pogarszając tylko jej stan psychiczny.

Naprawdę przykro było patrzeć na tę postępującą w galopującym tempie demencję. Zapominała nawet podstawowych czynności – zdarzało się, że nasiusiała na fotel a potem człapała z mozołem do łazienki, żeby spuścić tam wodę. Pewnej nocy zamiast do drzwi sypialni weszła do szafy, gdzie przewróciła się i złamała obojczyk. Musiałam więc jej pilnować na każdym kroku, żeby nie zrobiła sobie większej krzywdy.

Już nawet przestała się dopominać o śniadanie, co było dla mnie smutnym sygnałem zbliżającego się końca.

Czasami jeszcze zrywała się nagle, pełna energii i radości życia. Wydawało jej się wtedy, że wieczorem spodziewamy się gości i będziemy grać w karty lub w jakieś inne, nie znane mi gry. Spotkania bywały składkowe, więc od czasu do czasu to my „musiałyśmy” przygotować coś do jedzenia. Najczęściej do nas należało kupowanie lodów.

– Dzisiaj ja stawiam! – mówiła z dumą, wyciągając z portfeliaka dwadzieścia pięć centów i wręczając mi je dodawała:

– Kup karmelowe, owocowe i może czekoladowe, tylko nie zapomnij o reszcie!

Brałam pieniędzy z poważną miną i po chwili wyjmowałam lody z zamrażarki naszej lodówki. Jean знаła słabość Lindy do lodów, więc czego jak czego, ale tego smakołyku nigdy u nas nie brakowało.

Nakładałam jej porcję na talerzyk „zanim przyjdą goście” i wręczałam monetę z powrotem jako resztę.

– Tylko dwadzieścia pięć centów reszty? – oburzała się zawsze – chyba chcesz mnie zrujnować!

Obiecywałam, że to ja następnym razem „postawię” lody, więc szybko się rozchmurzała.

Miałam wrażenie, że w tym biednym mózgu kotłuje się wszystko bezładnie, jak w jakimś tyglu z tajemniczą zawartością. Nigdy nie było wiadomo co wypłynie na wierzch. Zupełnie chyba przypadkowo wychodziły z tego raz dość logiczne, innym znów razem zupełnie absurdalne pomysły i reakcje. Dla mnie było to raczej upiorne doświadczenie.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że po powrocie do domu przyjdzie mi się zmagać z podobnym zachowaniem u chorego na nowotwór mózgu męża.

Myślę, że praca u Lindy przygotowała mnie do tego psychicznie. Chociaż dla męża nie miałam tyle czasu, co dla niej. W Polsce musiałam oprócz tego pracować, żeby utrzymać rodzinę. Pieniądze zarobione w Ameryce nie wystarczyły w takiej sytuacji na długo.

Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam i jedynym moim zmartwieniem było, żeby nie dać się zwariować. Nie było to wcale proste, ponieważ babcia zaskakiwała mnie za każdym razem.

Pewnego dnia weszła do salonu i widząc, że coś piszę pracowicie, rzuciła od niechcienia:

– Nie wiem, czy cię to zainteresuje, ale w twoim pokoju na półce siedzi jakaś zakrwawiona dziewczyna.

– Niech siedzi – odparłam spokojnie nie przerywając pisania – Wcale mi to nie przeszkadza.

Pogardliwe wzruszenie ramion było jedyną odpowiedzią.

– Cholera – pomyślałam wściekła – w końcu to mój pokój, co ją obchodzi, kto w nim siedzi! W końcu dziewczyna posiedzi sobie i pójdzie.

Nawet nie zdążyłam porządnie przestraszyć się swojej reakcji, gdy znów weszła, tym razem naprawdę przejęta:

– Lucy, chodź szybko! Ktoś jest pod moim łóżkiem!

– Booże! – jęknęłam przez zaciśnięte zęby i poszłam za nią do pokoju. Tam pożyczłam laskę, schyliłam się pod łóżko i zaczęłam przeganiać intruza, stukając głośno w podłogę i wymyślając mu od najgorszych.

– Już! – powiedziałam w końcu zasapana, podnosząc się z klęczek i oddając jej laskę.

Babcia patrzyła na mnie z lekkim niedowierzaniem.

– To tam n a p r a w d ę ktoś był?– spytała po chwili niepewnym głosem.

W dniu, w którym zabrałam nawilżacz z sypialni Linda prawie się do mnie nie odzywała. Siedziała naburmuszona w fotelu i przeżywała. Było mi to nawet na rękę, bo mogłam spokojnie przygotowywać lunch. Kiedy był już gotowy, zawołałam ją przez okienko w kuchni.

W pewnej chwili zorientowałam się, że nie słyszę stukania laski o balkonik. Wyrzałam więc jeszcze raz i zobaczyłam jak wyczynia jakieś dziwne ruchy rękami. Najpierw kładzie je na oparciach fotela, potem na poręczach balkonika i znów na fotelu.

– Co mam zrobić, żeby wstać? – spytała wreszcie płaczliwym głosem – zwykle kładłam rękę najpierw na fotelu, potem na balkoniku, a dzisiaj to nie działa!

Z początku nie mogła zrozumieć o co jej chodzi. Szybko jednak zorientowałam się, w czym rzecz i poradziłam, żeby podniosła się w chwili, gdy opiera ręce na fotelu.

– Wiedziałaś – powiedziała po chwili, za wszelką cenę starając się zachować resztki godności.

– To teraz pospiesz się, bo wszystko stygnie – ponagliłam.

Ale babcia stała jak wmurowana przy fotelu, rzucając coraz bardziej rozpaczliwe spojrzenia w moim kierunku.

– A co teraz mam zrobić?– zawołała w końcu, zdenerwowana.

– Wysuń prawą nogę przed siebie – widziałam, że to nie żarty. Ona naprawdę zapomniała jak się chodzi.

– Wsunęłam i dalej nie idę! – była już bliska paniki.

– To teraz wysuń lewą nogę i postaw ją przed prawą, a potem zrób to samo z lewą. Zawsze trzeba stawiać jedną nogę przed drugą – mówiąc to miałam wrażenie, że uczestniczę w jakimś absurdalnym przedstawieniu.

– Idę! Idę!, Idę! – wykrzykiwała uszczęśliwiona Linda, wpatrując się w swoje nogi. Wysuwała je przed siebie sztywnymi ruchami jak drewniana kukła.

– Jesteś bardzo dzielna – przywitałam ją ciepło w kuchni, gdy już tam wreszcie wmaszerowała defiladowym krokiem.

Tego wieczoru ledwie doczekała dziesiątej, zasypiała w fotelu uderzając co jakiś czas nosem w stół. Myślałam nawet, żeby przestawić zabytkowy zegar stojący w moim pokoju, ale obawiałam się go zepsuć. Męczyłyśmy się więc obie, aż w końcu nadeszła upragniona pora odpoczynku.

Ja również miałam dość wrażeń, jak na jeden dzień i też planowałam położyć się wcześniej do łóżka.

– Nie wiem jak zareaguje Selma, gdy się dowie, że mamy razem spać – westchnęła ciężko Linda kiedy układałam ją do snu.

Byłam zaskoczona, że pamięta o tym nieszczęsnym nawilżaczu, a zapomniała jak się chodzi. Ale nie odezwałam się ani słowem i życząc jej jak zwykle dobrej nocy, poszłam pod prysznic.

W środku nocy obudziło mnie rozpaczliwe wołanie. Spojrzałam półprzytomnie za siebie i zobaczyłam, że w pokoju Lindy jest ciemno, chociaż zwykle, gdy się budziła, zapalała nocną lampkę stojącą na nocnym stoliku.

– Mój Boże – pomyślałam przerażona – pewnie spadła z łóżka!

Zerwałam się na równe nogi i tak jak stałam boso, w koszuli nocnej pobiegłam do sypialni. Przekreśliłam kontakt w ścianie i z ulgą stwierdziłam, że babcia cała i zdrowa siedzi po przeciwnej stronie łóżka, czyli tam, gdzie nie ma dostępu ani do lampki, ani do butów, ani do balkonika.

Bez butów była zupełnie bezradna, kości w stopach miała tak wykrzywione od chodzenia przez całe życie na wysokich obcasach, że mogła stawać tylko na palcach. Nawet pantofle domowe miała specjalnie wyprofilowane.

Kiedyś o mało nie wyrzuciłam jej krzywdy zakładając na te wykoślawione, wiecznie marznące stopy, pantofle wydziergane przeze mnie na drutach.

Siedziała w fotelu i z radością wymachiwała nogami, podziwiając prezent. Po chwili wstała i jak długa runęła w tył, na szczęście zdążyłam ją w porę złapać.

Teraz więc siedziała na brzegu łóżka wstrząsana dreszczami i nie mogła się z niego ruszyć.

– Chcę siusiu! – zawołała na mój widok, zaciskając z całej siły nogi.

Szybko założyłam jej buty i zaprowadziłam do łazienki.

– Dlaczego nie wstałaś z tamtej strony, gdzie masz wszystko w zasięgu ręki? – spytałam zdziwiona, kiedy już wróciłyśmy do pokoju.

– Nie widzisz, że tam śpi Selma? – odpowiedziała z urazą w głosie pokazując na puste łóżko.

– No to poproś, żeby się zamieniła z tobą miejscami, przecież duchy nie wstają w nocy do siusiania.

– To ty wyniosłaś nawilżacz z mojej sypialni, więc sama teraz z nią rozmawiaj – babcia ostentacyjnie odwróciła się do mnie plecami.

Stałam spoglądając na nią bezradnie, w końcu widząc jej minę pod tytułem: „nie położę się póki tego nie załatwisz!”, nabrałam powietrza w płuca i zaczęłam wygłaszać mowę do zmiętej pościeli.

– Selma, czy byłabyś tak miła i przeniosła się na drugą stronę łóżka? – zaczęłam grzecznie, szukając desperacko odpowiednich słówek – Linda wstaje często w nocy, a musi mieć dostęp do butów i do lampki, które są po twojej stronie.

Stanełam na chwilę „obok siebie” i miałam ochotę tarzać się ze śmiechu po podłodze.

Środek nocy, sypialnia z rozbabranym łóżkiem, na brzegu siedzi babcia z miną starego Siuksa, który właśnie wykopał topór wojenny i rozczochrane, zaspane straszdyło w nocnej koszuli i na bosaka, przemawiające uroczyście w swojej łamanej angielszczyźnie do pustego łóżka.

– Możesz już się kłaść – powiedziałam po chwili, kiedy udało mi się wreszcie zapanować nad głosem.

– I co Selma powiedziała? – babcia najwyraźniej mi nie dowierzała.

– A co, nie słyszałaś? – zdziwiłam się obłudnie – przecież się zgodziła.

Ciągle jeszcze nie do końca przekonana, Linda macała ostrożnie łóżko, zanim się położyła.

– Ładnie to załatwiłaś – pochwaliła mnie kiedy już wychodziłam z pokoju – bałam się, że nic z tego nie będzie, to zawsze ja musiałam ustępować.

Wróciłam do siebie i długo jeszcze dusiłam się ze śmiechu w poduszkę. Kiedy już się wyśmiałam i wyplakałam ze śmiechu, ogarnął mnie strach. Pomyślałam, że jeszcze trochę a sama zwariuję w takich warunkach. Nie bardzo jednak wiedziałam jak mam się z tego wszystkiego wyplatać – nie mogłam tak po prostu odejść nie mając żadnej innej pracy w zamian.

Los jednak i tym razem okazał się dla mnie łaskawy. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia Hanka zdecydowała, że chce już wracać do domu. Opiekę nad Hazel przekazywała mnie, z aprobatą samej zainteresowanej. Babcia знаła mnie i lubiła, więc nie musiała przeżywać większego stresu związanego ze zmianą opiekunki.

Byłam uszczęśliwiona – miejsce o jakim mogłam tylko marzyć, normalna podopieczna, spacerować niemal bez ograniczeń i co bardzo ważne, większe pieniądze. Miałam być sobie sama „sterem i okrętem”, Hazel dawała zupełną swobodę osobie tam pracującej, zwłaszcza, że była przykuta do łóżka i sama niczego nie mogła załatwić. Wprawdzie nie było wolnych niedziel, ponieważ nie miałyby się kto zaopiekować staruszką przez ten czas, ale zupełnie mnie to nie zniechęcało. I tak miałam mieć dla siebie dużo więcej czasu niż u Lindy.

Okazało się, że była to właśnie ta wymarzona praca, jaką Pan Bóg według słów Hazel trzymał specjalnie dla mnie.

Teraz miałam tylko problem jak powiedzieć o tym Lindzie. Pamiętałam zbyt dobrze jej reakcję na moje odejście do dziadka-nieboszczyka. Nie chciałam, żeby jeszcze raz przez to przechodziła więc wymyśliłam kłamstwo o przyjeżdżających do Ameryki mężu i dzieciach.

Wytłumaczyłam jej, że w związku z tym muszę wynająć mieszkanie i zamieszkać z nimi, dlatego też odchodzę. Linda była bardzo rodzinna więc ten argument do niej przemawiał i mimo że była przekonana o naszych powiązaniach rodzinnych, uznała, że mąż i dzieci są ważniejsi.

Smutne to było pożegnanie, czułam się mimo wszystko jak zdrajczyni, chociaż zdawałam sobie sprawę, że nie mam wyjścia – nie mogłam pozwolić, żeby taka praca przeszła mi koło nosa. Musiałam myśleć przede wszystkim o sobie, ale nie czułam się z tym dobrze.

Na moje miejsce przyszła sympatyczna, cichutka dziewczyna, dla której było to coś w rodzaju awansu, przedtem sprzątała domki na przedmieściach

Zostawiłam na wszelki wypadek telefon do Hazel jako mój „domowy”, ponieważ wiedziałam, że i tak sama będę odbierać, więc moje kłamstwo się nie wyda.

Przez kilka dni dzwoniła dziewczyna żaląc się na Lindę, że ta z uporem woła na nią Lucy, bije laską i odmawia jedzenia. W końcu zadzwoniła po raz ostatni, przekazując mi najświeższe wiadomości – Linda zachorowała na zapalenie płuc, jest w szpitalu w ciężkim stanie a ona sama została zwolniona, ponieważ niewielkie są szanse na wyzdrowienie babci.

Odwiedziła mnie jeszcze u Hazel ale już nie szukała nowej pracy, miała dość Ameryki i wracała do domu.

Po dwóch tygodniach znów zadzwonił telefon.

– Właśnie przed chwilą odeszła Linda – usłyszałam smutny, zmęczony głos Jean – wołała cię do samego końca.

Byłam wstrząśnięta i poruszona do żywego.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś wcześniej i nie powiedziałaś mi o tym – spytałam po chwili z żalem – przecież bym ją odwiedziła!

Ale Jean, która zawsze sprawiała na mnie wrażenie maszyny z kalkulatorem zamiast serca, nawet o tym nie pomyślała.

Poprosiła, żebym przyszła na pogrzeb z mężem i z dziećmi. Czułam się podle, nie myślałam, że tak trudno jest brnąć w kłamstwo, ale musiałam to ciągnąć do samego końca. Na sam pogrzeb niestety nie mogłabym przyjść, bo wypadła w czasie, gdy podawałam Hazel lunch a za krótko tam jeszcze pracowałam, żeby się zwalniać.

Zresztą babcia przyzwyczajona do stałych godzin posiłków nie mogła tak długo czekać głodna.

Obiecałam jednak przyjść do domu pogrzebowego, żeby się pożegnać z Lindą. Poprosiłam Tadeusza, żeby poszedł tam ze mną jako mój mąż.

Zgromadzonej rodzinie i znajomym Lindy przedstawiłam „męża”, a na pytanie o dzieci wytłumaczyłam, że nie chciałam ich przyprować na tak smutną uroczystość.

– Wolę – powiedziałam – aby zapamiętały ją z moich opowiadań.

Była to częściowo prawda – dzieci rzeczywiście znają Lindę z opowiadań, a z Tadeuszem jestem do dzisiaj.

Weszliśmy do małej kaplicy domu pogrzebowego, gdzie na centralnym miejscu stała trumna otoczona koszami kwiatów. Jean poprosiła, żebyśmy podeszli bliżej i pożegnali się z Lindą.

– Ona jest teraz tam szczęśliwa widząc ciebie i twojego męża – powiedziała wznosząc oczy do góry i robiąc uduchowioną minę, która pewnie jej zdaniem bardzo pasowała do sytuacji, a ja nie mogłam się otrząsnąć ze zdumienia.

Gdyby nie sukienka w kolorowe kwiaty, ta sama w której zobaczyłam ją po raz pierwszy dziewięć miesięcy temu, z pewnością bym jej nie poznała. W trumnie leżała koszmarnie wymalowana kukła w niczym nie przypominająca mojej Lindy.

Białe włosy uczesane były w jakąś wymyślną fryzurę, która zupełnie nie pasowała do jej twarzy, na ustach miała różową szminkę i takie same rumieńce. Nawet paznokcie były pomalowane na różowo.

– Przecież Linda nie znosiła różowego koloru – nie wytrzymałam w końcu – jej szminka i paznokcie były zawsze krwistoczerwone!

Jak można było zrobić coś takiego kobiecie, która przez całe życie przywiązywała ogromną wagę do swojego wyglądu! Miała prawo wyglądać ładnie nawet po śmierci i Jean powinna była tego dopilnować! W końcu uważała się za jej przyjaciółkę.

Ale nie dopilnowała i najwyraźniej nawet jej to nie przyszło do głowy, bo stała teraz speszona i przyznawała, że „Linda rzeczywiście trochę dziwnie wygląda z takim makijażem”.

Rodzina babci była bardzo miła, pytali czy mój mąż znalazł już jakąś pracę, bo gdyby nie to ktoś tam mógłby go zatrudnić w swoim warsztacie samochodowym. Proponowali też, żebyśmy wzięli sobie materace Lindy, przydadzą nam się na „nowe mieszkanie”. Odmówiłam grzecznie, aż tak nie umiałabym się już wczuć w rolę, jaką sobie narzuciłam.

Kiedy już mieliśmy odchodzić Jane odwołała mnie na chwilę na stronę.

– Lucy, muszę cię przeprosić, że nie byłam zbyt miła dla ciebie na początku – zaczęła niepewnie. – Nie znałaś angielskiego, nie mogłam się z tobą dogadać, więc wydawało mi się, że jesteś głupia.

No cóż, dość dziwne to były przeprosiny – nie byłam pewna, czy właśnie teraz nie powinienam się obrazić. Uznałam jednak, że nie warto, a nawet nie wypada w takiej chwili. Nie mogłam sobie jednak darować drobnej złośliwości:

– Rzeczywiście nie znałam angielskiego, ale mogłyśmy się porozumieć po polsku, rosyjsku, lub francusku – zaczęłam słodko. – Wiedziałam jednak, że oprócz swojego własnego, nie znasz żadnego z tych języków, ale ani przez chwilę nie pomyślałam, że jesteś głupia...

Dostałam później kartkę z podziękowaniem za udział w ceremonii pogrzebowej, to taki amerykański zwyczaj. Zachowałam ją sobie na pamiątkę razem z kartką urodzinową podpisaną trzęsącą się ręką Lindy.

Szkoda, że nie odwiedziłam jej w szpitalu – całkiem możliwe, że już by mnie nie poznała, ale byłoby mi chyba troszkę lżej na duszy. Tyle razem przeszliśmy, powinna była umrzeć przy mnie.

Ewa ostrzegła mnie, że nie należy się zbyt przywiązywać do podopiecznych, bo oni szybko umierają. Ale to wcale nie jest takie proste, gdy się z kimś żyło pod jednym dachem przez dziewięć miesięcy.

Mam przynajmniej nadzieję, że jest teraz znowu z Herbertem, ze swoją rodziną i że dowiedziała się wreszcie co się stało z ukochanym bratem, który zaginął bez śladu przed laty i którego zawsze szukała.

Mam też nadzieję, że wybaczyła mi to ostatnie kłamstwo popełnione częściowo z troski o nią, a częściowo dla mojej własnej wygody.

Chciałam po prostu spokojnie i bez niepotrzebnych konfliktów zakończyć tę pracę.

CZĘŚĆ DRUGA
HAZEL

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dom w którym mieszkała Hazel był parterowy, pokryty płaskim dachem i otoczony, jak większość domów w tej okolicy, starannie utrzymanym trawnikiem. Szeroki betonowy podjazd prowadził wprost do pomalowanych na biało drzwi garażu.

Pod ogromnym, prostokątnym, panoramicznym oknem, zajmującym długość niemal całej ściany salonu, rosła magnolia, która na wiosnę pokrywała się niezliczoną ilością biało-różowych kwiatów.

Do domu wchodziło się przez werandę po zakręcających w stronę drzwi schodkach. Lubiłam siadać na nich w letnie wieczory i z łokciami opartymi na kolanach wpatrywać się w rozgwieżdżone niebo, lub podglądać rodzinę szopów, jak gęsiego przemykały przez ulicę w kierunku kubłów na śmieci.

Pracę u Hazel zaczęłam zimą, parę tygodni przed Bożym Narodzeniem. Hanka postanowiła wrócić na święta do domu, ale przedtem chciała spędzić tydzień u znajomych na Florydzie. Przekazała mi więc swoje obowiązki i wyjechała na wymarzony urlop

Siedziałam właśnie w salonie i oglądałam wieczorne wiadomości w telewizji, gdy zadzwonił telefon.

– Cześć!– usłyszałam radosny głos Hanki – Właśnie wróciłam z plaży, słońce prażyło przez cały dzień, woda ciepłutka jak w wannie!

Popatrzyłam z niedowierzaniem w kierunku okna, za którym szalała właśnie burza śnieżna. Wiatr porywał tumany śniegu i rzucał nimi wściekle o grubą szybę salonu. Białe płatki kłębiły się i wirowały, zasłaniając niemal zupełnie widoczność na zewnątrz.

– Chyba żartujesz – zaśmiałam się – przecież tu jest zima, śnieg za chwilę zasypie cały dom!

– Taka jest właśnie Ameryka, moja droga – Hanka była w doskonałym nastroju – jeszcze dwa dni temu ja też miałam zimę!

Namawiała mnie gorąco, żebym wybrała się w przyszłości na Florydę, że trzeba to przeżyć i zobaczyć na własne oczy. Ale mnie marzyła się inna podróż i nie była to wcale Floryda. Marzyły mi się Hawaje. Naczytałam się o nich sporo w młodości i zazdrościłam w duchu podróżnikom, którym udało się tam pojechać. Wtedy była to podróż zupełnie nieosiągalna dla mnie, teraz, w Ameryce, wszystko mogło się zdarzyć.

Zwierzyłam się kiedyś ze swoich mrzonek Hazel, a ona całkiem serio powiedziała, podnosząc, jak zwykle, znacząco palec w górę:

– Jeśli się czegoś mocno pragnie, można to osiągnąć. Trzeba tylko chcieć.

– A przede wszystkim „mieć” – dodałam w myślach. Nie sądziłam, żeby stać mnie było kiedykolwiek na taki wyjazd. Ale zawsze przyjemnie było słuchać optymistycznych prognoz babci. Muszę przyznać, że nigdy, nawet w najcięższych chwilach nie traciła pogody ducha. Wierzyła, że Pan czuwa nad nami i nic złego stać się nie może.

Trochę mnie zaskakiwała swoim podejściem do spraw wiary – była bardzo religijna, a jednocześnie wierzyła mocno w reinkarnację. Niemal na początku naszej znajomości powiedziała mi, że już się spotkałyśmy w poprzednim wcieleniu.

– Od razu wiedziałam, że już gdzieś cię widziałam wcześniej – klasnęła kiedyś uradowana w ręce – To było w „tamnym życiu”!

Niestety, nigdy nie udało mi się od niej wyciągnąć żadnych bliższych szczegółów na ten temat. Obiecywała, że kiedyś mi powie kim wtedy byłam, ale w końcu nie powiedziała. Wiem tylko, że już wtedy się lubiłyśmy. Pozostaje mi więc mieć nadzieję, że nie byłam nikim złym, skoro dałam się lubić...

Hazel była naprawdę wyjątkową staruszką, spokojną, wyrozumiałą i kulturalną. Całe dnie spędzała w łóżku czytając prasę lub rozmyślając. Lubiła słuchać zabawnych historyjek więc opowiadałam jej czasami, gdy coś śmiesznego przytrafiło się mnie lub mojej rodzinie. A że w

życiu stale dzieje się coś, z czego można się pośmiać, więc dostarczałam jej regularnie tej rozrywki.

Pamiętam jak zadzwoniłam kiedyś do domu i rozmawiałam z mamą.

– Dlaczego tak niewyraźnie mówisz? – spytałam po krótkiej rozmowie, kiedy to trudno mi było chwilami zrozumieć co mówi.

– Daj spokój! – westchnęła mama boleściwie – pies zjadł moją szczękę i muszę zrobić sobie nową.

Okazało się, że brat przyprowadził do domu uroczego szczeniaczka, który szybko wyrósł na niezbyt mądrego, olbrzymiego doga o ogromnym apetycie. Pochłaniał wszystko, co tylko znalazło się w zasięgu jego pyska i choć trochę pachniało jedzeniem. A że z uwagi na wzrost wszystkie szafki były dla niego dostępne, więc trzeba było uważać, żeby nie znikł nagle cały kawał mięsa lub kostka masła w opakowaniu.

Tego dnia mama zjadła wyjątkowo dobrą i pachnącą pasztetówkę. Ponieważ jednak przy-smak zakleił jej szczękę, wyjęła ją i chciała opłukać pod kranem. Położyła zęby na moment koło zlewu a kiedy się odwróciła, usłyszała tylko głośnie kłapanięcie i zobaczyła, jak pies obli-zuje się smakowicie. Połknął kompletną dolną szczękę tak, jakby to była mucha.

Hazel śmiała się z tej historyjki przez parę dni.

Dobrze nam się mieszało razem, nie miała zbyt wielkich wymagań w stosunku do swoich opiekunek. Była raczej niekłopotliwa, czasami tylko miewała złe dni i wtedy starałam się nie wchodzić jej w drogę. Najgorzej było przed urodzinami, wpadała wtedy w „psychiczny do-łek”. Na szczęście miałam okazję tylko dwa razy przeżywać z nią taki stan.

Do moich obowiązków należało przygotowywanie i podanie jej do łóżka trzech posiłków dziennie, pomoc rano przy myciu i raz dziennie zaprowadzać do łazienki. W ciągu dnia i w nocy korzystała z basenu ustawionego na taborecie obok łóżka i wstydliwie przykrywanego przeczytanymi gazetami.

Oprócz tego zajmowałam się domem, raz w tygodniu robiłam zakupy i jeździłam do ban-ku, żeby zapłacić rachunki lub zrealizować czek. Ale to wszystko traktowałam jako przyjem-ną odmianę po przymusowej bezczynności u Lindy. Miałam teraz samochód, więc chętnie wybierałam się nim gdzie tylko się dało.

Dzień zaczynałam o dziewiątej rano. Wstawałam z łóżka i po pospiesznym umyciu twarzy i zębów wchodziłam do pokoju Hazel, żeby wynieść basen i przygotować wodę w miednicy do mycia. Zostawiałam ją na taborecie przy łóżku wraz ze szmatką „kąpielową” i szłam do kuchni przygotowywać śniadanie. Babcia myła się sama, ja tylko przepłukiwałam szmatkę od czasu do czasu. Nie starałam się jej pomagać, nawet gdy to zbyt długo trwało, ponieważ była bardzo wstydliva a poza tym chciała jak najdłużej być w miarę samodzielna.

Kiedy już się umyła, szłyśmy do łazienki na poranną kupkę i mycie zębów. Poruszała się tak jak Linda, za pomocą balkonika, ale nie była tak sprawna jak tamta.

Hazel była bardzo słaba i krucha, nie ważyła więcej niż czterdzieści kilo a i leżenie w łóż-ku nie dodawało jej sił. Szła więc bardzo wolno, po dwóch krokach przystawała niby to po to, żeby opowiedzieć mi coś śmiesznego, a tak naprawdę, żeby zebrać siły. Zdarzało się, że mdlała podczas takiego spaceru, musiałam więc iść za nią krok w krok i asekurować w razie potrzeby.

Kiedy już umyta i uczesana wracała z ulgą do przewietrzonego przedtem pokoju i kładła się do wygładzonej i wytrzepanej z okruszyn pościeli, podawałam jej śniadanie. Posiłki przy-nosiłam zawsze na drewnianej tacy wyłożonej białą, haftowaną we wzory Richelieu serwetką. Kiedy Hazel jadła swoje śniadanie w łóżku, ja przygotowywałam swoje w kuchni.

Ranek był dla mnie najprzyjemniejszą porą dnia. Nie mogłam się wręcz doczekać kiedy usiądę w pachnącej świeżo zaparzoną kawą kuchni, przy okrągłym stoliku z blatem z imitacji różowego marmuru, założę nogi na krzesło obok i napiję się zimnego soku pomarańczowego. Potem zaleję mlekiem prosto z lodówki płatki śniadaniowe, posmaruję gorącego tosta masłem

orzechowym i dżemem i z filiżanką kawy pochylę się nad płachtą „Chicago Tribune”, którą gazeciarsz rzucał codziennie na próg naszego ganku.

Rzecz jasna, że przy mojej znajomości angielskiego mogłam czytać tylko krótkie teksty lub nagłówki ale i to sprawiało mi przyjemność. Jeśli jednak jakiś tekst wyjątkowo mnie zainteresował, tłumaczyłam go sobie pracowicie ze słownikiem w rękę.

Delikatny dźwięk małego, ręcznego dzwoneczka oznaczał, że Hazel skończyła już śniadanie. Odbierałam od niej tacę i przynosiłam gazety i pocztę, którą listonosz wrzucał przez wąską szparę obok drzwi wejściowych.

Teraz codziennie nasłuchiwałam stuknięcia metalowej klapki i głuchego odgłosu spadających na podłogę listów. Ale już tak bardzo tego nie przeżywałam, przyzwyczyłam się do raczej skąpej korespondencji z Polski. Najbardziej zależało mi na listach od dzieci, ale te nie rozpieszczały mnie zbytnio. „U nas nic ciekawego się nie dzieje, nie ma o czym pisać” – mówił syn, kiedy wytykałam im to milczenie. Większość więc spraw załatwiałam przez telefon, była to wprawdzie znacznie droższa forma porozumiewania, ale pewniejsza. Wiele wydarzeń zdążyło się już bowiem zdezaktualizować, zanim korespondencja dotarła na miejsce. Pamiętam list od mojej córki, w którym pisała mi o swoim wielkim smutku i „nieszczęściu” jakimś, o którym „nie będzie mi pisać, żeby mnie niepotrzebnie nie denerwować”. Ledwie doczekałam do czasu, gdy w Polsce będzie już wieczór i zastanę wszystkich w domu. Zadzwoiłam targana najgorszymi przeczuciami.

– Jakie nieszczęście? – zdziwiło się moje dziecko – Nie pamiętam, o co mi chodziło. Może dostałam jakąś dwóję? Chyba tak! – przypomniała sobie ucieszona – Ale już ją sobie poprawiłam, nie martw się.

Kiedy babcia zajmowała się lekturą, ja miałam czas dla siebie. Schodziłam na dół do basementu wziąć prysznic. Basement, czyli po prostu piwnica, było to duże, jasne pomieszczenie z oknami wychodzącymi ponad powierzchnię ziemi. Mieściła się tam pralnia z głębokim kamionkowym zlewem, pralką i suszarką.

Nie spotkałam się nigdzie z wieszaniem prania na sznurach, jak u nas. Każdy dom miał suszarkę do której wkładało się pranie zaraz po wyjęciu go z pralki. Używano tam specjalnych antyelektrostatycznych i zmiękczających bibulek, przypominających krawiecką flizelinę, nasączoną substancjami zapachowymi.

Para wodna powstała podczas takiego suszenia odprowadzana była na zewnątrz domku, specjalnym przewodem. Lubiłam spacerować wieczorem alejkami i wdychać te wszystkie przyjemne zapachy kojarzące mi się zawsze z czystością i świeżością.

W licznych szufladach komód stojących w basemencie leżały kolorowe skrawki materiałów i przybory do szycia. Hazel robiła kiedyś piękne patchworkowe narzuty i kołdry. Dużo tam było prac prawie już skończonych, lub ledwie zaczętych – wszystkie jednak, starannie złożone i posegregowane, czekały na lepsze czasy. Babcia nie miała już tego dokończyć, zapisała je w testamencie bratanicy swojego męża.

Był tam też warsztat jej nieżyjącego już męża, wyposażony we wszystko, o czym majsterkowicz-amator mógłby tylko zamarzyć, oraz obszerny, kwadratowy korytarz zabudowany szafami ściennymi, w których oprócz ubrań stały pudła z kapeluszami Hazel. Każdy z nich przełożony pieczołowicie bibulką był prawdziwym dziełem sztuki. Były tam kapelusze wymyślne i strojne, na wielkie okazje i skromne chociaż eleganckie, na co dzień.

Lubiłam tam schodzić w deszczowe, ponure dni i przymierzać przed lustrem te piękne nakrycia głowy. Wyjmowałam je ostrożnie z pudeł i zakładałam wyobrażając sobie, że jestem wielką damą, która wybiera się z wizytą do znajomych. Odkurzałam je i odkładałam z powrotem na miejsce. To sprzątanie lubiłam najbardziej...

Najważniejszym i najprzyjemniejszym dla mnie pomieszczeniem w basemencie była łazienka. Cała wyłożona różowymi kafelkami z dużą kabiną prysznicową z matowego białego szkła z wytrawionymi na nim wzorami w stylizowane rajskie ptaki.

To miejsce miało jakąś magiczną moc, spod tego prysznicza wychodziłam zawsze w doskonałym humorze. Rano nastrojał mnie pozytywnie do życia, wieczorem uspakajał przed snem, w zimie było tam zawsze ciepło, latem przyjemnie chłodno.

Po prysznicu przebierałam się i miałam czas aż do lunchu, czyli do pierwszej po południu. Przygotowywanie posiłków nie zabierało mi nigdy dużo czasu, wystarczyło zacząć kwadrans przed podaniem ich do łóżka. Hazel miała ustalony jeszcze przez Ewę jadłospis na cały tydzień tak, że po danej potrawie można się było zorientować jaki jest dzień tygodnia.

Najczęściej używałam gotowych mrożonych produktów, wymagających tylko podgrzania. Wyjątkiem były owoce i warzywa – te musiały być zawsze świeże. Wszystko estetycznie, kolorowo podane, z deserem i uwzględnioną dietą bezsolną i beztłuszczową dla babci.

Miałam sporo czasu więc, albo wybierałam się na spacer po okolicy, albo, jeśli to była akurat środa, wyprowadzałam samochód z garażu i jechałam na zakupy.

Co środę Hazel wypisywała mi czek na sto dolarów na zakupy na cały tydzień. Dla niej kupowałam zawsze to samo – bardzo jej zresztą odpowiadało takie jedzenie – a dla siebie mogłam kupować to, na co tylko miałam ochotę. Skończyły się dla mnie chude czasy u Lindy, teraz mogłam jeść ile dusza zapragnie.

Niestety dusza dość dużo po takim poście pragnęła i zaprocentowało to dodatkowymi kilogramami, bardzo trudnymi do zgubienia. Próbowałam je zrzucić biegając rano [chyba wszyscy Amerykanie tak robią]. Skończyło się jednak na tym, że kupiłam różowy dres, w którym wyglądałam jak duże ciastko z kremem, pobiegłam dwa, może trzy razy raniutko i zrezygnowałam. Znając swój „słomiany zapał” poprosiłam Tadeusza, żeby nadrabiał trochę drogi co rano do pracy i przejeżdżał obok domku babci. Tym sposobem byłabym już zmuszona wstawać wcześniej i biegać, tak żeby mnie mógł zobaczyć. Zaczęłam jednak oszukiwać i w momencie, gdy zniknął już za rogiem, zawracałam i kładłam się z powrotem spać.

Nakrył mnie dość szybko. Objechał kiedyś dom dookoła, żeby mi zrobić niespodziankę i zajechać biegnącą, od tyłu.

Nawet podobno tak bardzo się nie zdziwił kiedy mnie już nie było na drodze, podejrzewał że już tylko udaję bieganie bo wstyd mi przed nim się przyznać, jaka jestem leniwa.

Oj, co prawda to prawda... Najbardziej na świecie lubię wylegiwać się rano w łóżku. Nie wiem co mnie podkuśliło z tym porannym bieganiem. I tak chudnę tylko wtedy, gdy mam kłopoty. Postanowiłam więc już się nie odchudzać.

Ale dbałam o dietę w miarę możliwości i starałam się kupować produkty niskokaloryczne i z małą zawartością tłuszczu.

Zakupy robiłam tylko i wyłącznie w jednym sklepie, do którego Hazel była przyzwyczajona od dawna, czyli w „Happy Food’s”. Był to mały ale doskonale zaopatrzony i stosunkowo niedrogi supermarket w którym mogłam kupić wszystko, co tylko było potrzebne do domu.

Na zakupy jeździłam zwykle w spodniach bo tak było mi wygodniej w samochodzie. Któregoś jednak dnia założyłam spódnice i tak ubrana spacerowałam po sklepie z wózkiem, między półkami z towarem. Nagle zauważyłam, że pracujący tam Meksykanin od dłuższego czasu nie odrywa ode mnie wzroku. Już podczas poprzednich wizyt zwróciłam na to uwagę, jednak teraz przyglądał mi się wręcz natarczywie.

W końcu, gdy stanęłam przy pomarańczach, podszedł i udając, że dokłada owoce na całym już okazałym stosie, szepnęła konspiracyjnie:

- Jesteś Polką?
- Tak – odparłam zdziwiona – a skąd to wiesz?
- Tylko Polki mogą mieć takie piękne niebieskie oczy – rozmarzył się Meksykanin.

To mówiąc odjechał swoją paletą z owocami, żeby po chwili pojawić się niby przypadkiem przy cytrynach, gdzie zdążyłam się przenieść.

– Jesteś moją ulubioną i najpiękniejszą klientką – mruzczał uwodzicielsko, pochłonięty jednocześnie przekładaniem cytrusów z miejsca na miejsce.

– Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz? – zaczynało mnie to już bawić. Mój Romeo drgnął przestraszony.

– Nie można nam rozmawiać z klientkami – wyjaśnił dojrzałemu ananasowi, rzucając spłoszone spojrzenia dookoła.

– Przecież dzisiaj rozmawiasz – nie dawałam za wygraną.

Ale mój nieoczekiwany wielbiciel zdążył już odjechać w głąb sklepu i nie otrzymałam odpowiedzi na to pytanie.

Wzruszyłam ramionami i wróciłam do przerwane go zajęcia. Nagle, gdzieś między nabiałem a działem mięsnym, usłyszałam namiętne:

– Bo dzisiaj założyłaś sukienkę. Jak można takie piękne nogi chować w spodniach?

Zanim zdążyłam zareagować, już go nie było. Pojechał do magazynu na zaplecze sklepu, żeby tam uzupełnić swoją paletę.

Kiedy na parkingu wkładałam zakupy do bagażnika samochodu zobaczyłam, że Joe – tak mi się przedstawił któregoś dnia przy stoisku z rybami – wychodzi ze sklepu z workiem na śmieci. Przy kontenerze odwrócił się na chwilę w moją stronę.

– Czekam co środę kiedy pojawi się twój samochód – krzyknął tak, żebym go mogła usłyszeć.

Jechałam do domu i uśmiechałam się sama do siebie. Nie powiem, to było całkiem przyjemne, mimo że zdawałam sobie sprawę, że jest to dość prymitywny sposób podrywania na „piękne słówka”. Ale jakby nie było, zawsze kobiecie jest miło coś takiego usłyszeć, nawet gdyby udawała, że jest tym oburzona.

Joe adorował mnie wytrwale do końca. Bezskutecznie usiłował się ze mną umówić, obiecywał, że nie będę żałowała, prosił żebym była „jego walentynką” czternastego lutego, ale zawsze zbywałam go żartem. Nie miałam ochoty na bliższą znajomość z miłym ale zupełnie mnie nie interesującym Meksykaninem. Kiedy dowiedział się, że wracam do Polski, powiedział:

– Wrócisz tu szybciej niż ci się wydaje. Tylko tu jest prawdziwe życie.

Mylił się Joe, wcale nie mam ochoty tam wracać. Mogłabym pojechać do Ameryki jako turystka, żeby pozwiedzać to, czego nie udało mi się wtedy zobaczyć, ale z całą pewnością nie na stałe. To już zamknięty rozdział w moim życiu i nie ma po co do niego wracać.

Opowiedziałam Hazel o swoim wielbiciele. Bawiły ją te opowiadki i zawsze była ciekawa, co i przy jakich produktach mi wyznawał.

Któregoś dnia odwiedził mnie Ptaszek.

– No, to teraz masz wreszcie swobodę i możesz robić, co tylko chcesz – powiedział rozglądając się po salonie babki.

Przechadzał się z miną zadowolonego kota i zaglądał w każdy kąt. Dotykał bibelotów stojących na stoliku pod oknem, rozhuśtał kryształową kulkę wiszącą pośrodku zielonych zasłon w duże kolorowe kwiaty. Kulka o powierzchni pociętej w drobne małe sześciiany, zaczęła obracać się dookoła własnej osi, rozsiewając tęcze blaski po salonie i stukając niebezpiecznie o grubą szybę.

Nacisnął klawisz stojących w kącie organów Hammonda, zaglądał pod folię przykrywającą stojące wszędzie lalki w uszytych przez babcię wytwornych strojach.

Każda z nich ubrana była w suknię, jaką miały wszystkie pierwsze damy Ameryki w dniu zaprzysiężenia ich mężów na prezydentów. Były to dokładne repliki tych prawdziwych toalet i Hazel wykonała wszystkie własnoręcznie. Zapisała je w testamencie dla któregoś z muzeów w Chicago.

Ptaszek zakończył inspekcję, poklepał na koniec wygodną sofę i popatrzył na mnie z obleśnym, „motelowym” uśmiechem:

– To teraz już cię mogę odwiedzać bez żadnych przeszkód – to mówiąc opadł z wyraźnym zadowoleniem na fotel, wyciągając przed siebie krótkie nóżki.

Zawrzało we mnie ale starałam się zachowywać spokojnie.

– Mylisz się – powiedziałam – babcia wprawdzie nie wychodzi z łóżka ale i tak wie, co tu się dzieje. Sąsiadki obserwują ten dom i dzwonią do niej mówiąc kto i kiedy tu wchodził.

To nie była prawda, ale nie miałam najmniejszej ochoty na bliższe kontakty z Ptaszkiem, który jak się okazało, tylko się przyczaił.

– Zaprzyjaźnię się wobec tego i z tą babką – Ptaszek machnął niedbale ręką, mimo to mina mu trochę zrzędła.

Perfidnie uprzedziłam Hazel, że przedstawię jej kuzyna, którego nie darzę specjalną sympatią ale który mimo to odwiedza mnie od czasu do czasu.

Ptaszek roztaczał przed babcią wszystkie swoje uroki, usiłował nawet oczarować ją lekarskim tytułem i możliwością mierzenia ciśnienia za darmo przy każdej wizycie. Ale to, co działało na Lindę nie robiło żadnego wrażenia na Hazel.

– Dziękuję, ale mam swojego lekarza – oznajmiła chłodno – poza tym nie lubię się zbyt często badać.

Rozmowa wyraźnie się nie kleiła i Ptaszek wycofał się w końcu jak niepyszny, kiedy dała mu niedwuznacznie do zrozumienia, że chce się zdrzemnąć.

– Nie gniewaj się Lucyna – powiedziała wieczorem, gdy weszłam do niej z kolacją – ale nie spodobał mi się ten twój kuzyn. Jakoś tak źle mu z oczu patrzy.

Nie mogła mi sprawić większej przyjemności. Teraz już miałam wiarygodny powód dla którego mogłam nie przyjmować Ptaszka w domu Hazel. Zresztą on sam też od tego czasu rzadko mnie odwiedzał, a gdy już tak się zdarzyło, rozglądał się trwożliwie dookoła przed wejściem. Mimo wszystko nie chciałby żeby o tych wizytach dowiedziała się żona, która była tą bogatszą i silniejszą stroną w ich związku.

Biedna Ptaszyna była finansowo uzależniona od swojej połowicy i nie mogła ryzykować wyrzucenia z domu, co już się raz zdarzyło, jak mi się kiedyś w chwili słabości przyznał.

Dużo zachodu podobno kosztowało go ponowne przywrócenie do łask.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dźwięk dzwonka, a właściwie dzwonów rurowych wiszących w przedpokoju naszego domku, mógł z pewnością obudzić umarłego.

Kiedy usłyszałam je po raz pierwszy, ze strachu upuściłam garnek na podłogę w kuchni. Nikt wcześniej mnie nie uprzedził, że tak właśnie brzmi dzwonek do drzwi wejściowych.

Pomyślałam wtedy, że pewnie znów włączył się jakiś wymyślny alarm, ale sądząc po natężeniu głosu, musiałyby już chyba dotyczyć pożaru całego miasteczka. Stałam więc jak wmurowana i usiłowałam zlokalizować źródło tego hałasu.

– Bing! Bong! – rozległo się znowu w całym domu. Podbiegłam do drzwi wejściowych ale, ku mojemu zdziwieniu, nikogo tam nie było.

Głos dzwonu przetoczył się raz jeszcze echem po wszystkich pomieszczeniach. Ktoś wyraźnie zaczynał się niecierpliwić a ja nie mogłam go znaleźć. Wreszcie przypomniałam sobie o drzwiach prowadzących do basamentu, na tyłach domu. Otworzyłam je w ostatniej chwili, bo stojąca tam osoba zbliżała właśnie palec do przycisku, wyraźnie nie dając za wygraną.

Spod gęstej, kędzierzawej czupryny patrzyły na mnie badawczo chmurne, ciemne oczy należące do drobnego, niewysokiego chłopaka. W jednej ręce trzymał zapalonego papierosa, drugą miał schowaną w kieszeni jeansów. Chwilę przyglądał mi się w milczeniu, wreszcie zapytał:

– Polish?

W pierwszej chwili myślałam, że pyta, czy palę, więc zgodnie z prawdą odparłam, że nie.

– Pytam, czy jesteś Polką – wyjaśnił lekko znieczepiony, po czym dodał:

– Zośka jestem, pracuję tu obok „na domku”.

Rzeczywiście przypomniałam sobie, że Hazel wspominała o jakiejś Polce, która na miejsce Iwony zajmowała się teraz dziadkiem u naszych najbliższych sąsiadów. Domyśliłam się więc, że ten chłopak o dziewczęcej urodzie to właśnie ta Polka.

Zośka była odtąd codziennym gościem w naszym domu. Przychodziła w porze swoich spacerów lub wieczorami, gdy już położyła dziadka spać. Uwielbiała mówić, zupełnie jednak nie potrafiła słuchać.

Skazana więc byłam na jej opowieści „z życia wzięte” przekazywane mi z szybkością kabinu maszynowego. Kiedy sama usiłowałam coś wtrącić, nudziła się po paru zdaniach i przerywając mi niemalże w pół słowa, zaczynała na zupełnie inny temat od nieśmiertelnego: „a jak ja...”.

Opowiadała o swoim szczęśliwym małżeństwie, o mężu, który nosił ją na rękach, o udanych dzieciach, wzorowo prowadzonym gospodarstwie rolnym i o przeprowadzce do nowo postawionego domu, w którym „jeszcze słyhać było farbę”. A klęła przy tym jak szewc.

Drażnił mnie jej tupet i wrażliwość walca drogowego. Nie oglądając się na nic i na nikogo dążyła po trupach do wytyczonego przez siebie celu. A co gorsze chwaliła się tym głośno i z satysfakcją.

Dość szybko stałam się kimś w rodzaju dziewczyny na posyłki. Chociaż z natury jestem raczej uczynna, to złościł mnie sposób w jaki zwracała się o przysługę.

– Zawieziesz mnie dzisiaj do banku – stwierdzała raczej niż prosiła. Lub:

– Muszę wysłać paczkę do domu, pojedziemy do „Polameru”.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłabym odmówić lub mieć inne plany. Ale przymykałam na to oczy, ponieważ byliśmy skazane na swoje towarzystwo z racji bliskiego sąsiedztwa i faktu, że w najbliższej okolicy nie było innych Polaków. A sąsiadów, podobnie jak rodziny się nie wybiera. Sąsiadów się ma, więc i ja musiałam mieć Zośkę.

Mogłam oczywiście nie utrzymywać z nią kontaktów i w Polsce tak by zapewne było, ale w Ameryce jest zupełnie inaczej. Człowiek czuje się tam tak samotny i wyobcowany, że szu-

ka kontaktów ze „swoimi”. Niemal każda osoba mówiąca po polsku jest traktowana jak ktoś bliski.

Zośka przyjechała do Chicago z Detroit, gdzie pracowała jako pomoc domowa w bogatej, żydowskiej rodzinie. Wykorzystywana była tak, że aż wydawało się to nieprawdopodobne.

Mona, skąpa i wymagająca Żydówka, zmuszała dziewczynę do pracy niemal ponad jej siły, za marne pieniądze i jeszcze marniejsze wyżywienie.

Dzień Zośki zaczynał się bladym świtem a kończył późną nocą, kiedy wszyscy już spali. Sprzątała, gotowała, odprowadzała Ramsey’ a, syna Mony do szkoły i obsługiwała domownikom.

– Podaj mi tę popielniczkę! – mówiła omdlewającym głosem pani domu – Taka jestem zmęczona.

To mówiąc zapadała się głębiej w fotelu i odkładała na chwilę słodczyce, żeby zapalić papierosa. Siedziała tam i patrzyła, czy Zośka jest cały czas zajęta.

Kiedy ta przysiadła choć na chwilę na stołeczku, bo kręgosłup jej wręcz pękał od ciągłego stania, dobiegał ją natychmiast ostry głos Mony:

– Przestań się obijać ty leniu – krzyczała – nie za to ci płacę!

A płaciła, jak już wspomniałam, marnie, a żywiła zaś tak, aby tylko dziewczyna nie umarła z głodu.

Jedzenie było zamykane na kłódkę w lodówce i wydzielane przez panią domu w porach posiłków. Zośka nie mogła sobie nawet ukroić dodatkowej kromki chleba bez wiedzy gospodyni. W związku z tym, ponieważ pracowała fizycznie przez cały dzień, wечно chodziła głodna.

Czasami Mona miała dobry dzień i dawała jej swoje znoszone ciuchy, które i tak pewnie by wyrzuciła, lub oddała do Armii Zbawienia. Mniej zachodu było jednak z podarowaniem tego służącej.

Zupełnie nie przeszkadzał jej fakt, że Zośka mogła się w te szmaty owinąć kilkakrotnie, bo była drobna i szczupła, a dobrodziejka mieściła się w drzwiach dopiero bokiem.

Po kilku miesiącach takiej pracy biedna dziewczyna skorzystała z pierwszej, nadarzającej się okazji i wyjechała do Chicago, gdzie znajoma z tej samej wsi załatwiła jej pracę w domku, obok Hazel.

Zostawiła swój nowy adres pani Marysi, Polce, która była w Detroit już od paru lat i z którą Zośka spotykała się od czasu do czasu. Prosiła, aby ta przesyłała jej ewentualne listy z Polski do Chicago.

Któregoś dnia przyszła do mnie i rzucając na stolik jakąś zmiętą, wyszarpaną z zeszytu kartkę, powiedziała:

– Dostałam to dzisiaj od pani Marysi, ale za cholerę nie mogę tego „rozczytać”. Przetłumacz mi to.

Popatrzyłam na niezdarne, koślawe litery stawiane niewprawną ręką na papierze i w pierwszej chwili zupełnie nie mogłam się zorientować, w jakim to zostało napisane języku.

Dopiero, czytając wolno na głos, usłyszałam znaczenie tych dziwnych zdań.

Pany Zosyó! – donosiła pani Marysia.

Psladomony polst wszetranszyzenemalstó yeynewycala yakyatamplam

Pódoyededenastyployakzacwonyła todobzewrocylizGorayca

Możezpledamypanyse negnewapomażemy

Yakzacwonylazaczelaplakaćzyzyencyemrozmaryala

Panycoseóceszyli Tesószarkykosztuyomylyonzlotych wtechwly żczedóŻozdro

wya.

Po przetłumaczeniu wyglądało to tak:

„Pani Zosiu!

Poszłam do Mony po list. Wyszedł Ramsey że nie ma listu, jej nie widziałam jak ja tam byłam.

Pół do jedenastej było jak zadzwoniłam [do domu] to dobrze, bo wrócili z Gorajca.

Może z błędami, pani się nie gniewa, pomoże mi.

Jak zadzwoniłam, zaczęłam płakać i z zięciem rozmawiałam.

Pani co się ucieszyli ! Te suszarki kosztują milion złotych w tej chwili. Życzę dużo zdrowia”.

Pani Marysia nie umiała ani pisać ani czytać, ale była bardzo serdeczną, uczynną i pracowitą kobietą. Zaharowywała się na śmierć w Ameryce, sprząając po kilka domków dziennie, a w „wolnych chwilach” zajmując się dzieckiem, też w żydowskiej rodzinie.

Żyła skromnie, jadła niewiele jeśli w ogóle miała na to czas, a prawie wszystkie zarobione pieniądze wysyłała dzieciom, które wcale nie namawiały jej do powrotu.

– Niech mamusia korzysta z okazji, bo druga taka może się nie powtórzyć – przekonywały ją przez telefon.

I mamusia „korzystała” już od paru ładnych lat, nie próbując się nawet zabezpieczyć na starość. Bardzo wierzyła, że dzieci pomogą jej kiedyś tak, jak ona pomaga im teraz. Że po powrocie do Polski nareszcie będzie żyła „jak królowa”.

Wierzyła też, że Zośka załatwi jej lżejszą i lepiej płatną pracę w Chicago, tak jak to obiecała przed wyjazdem. Stąd ta prośba w liście: „Pani się nie gniewa, pomoże mi”.

– A na co mi ta analfabetka tutaj! – zaperzyła się Zośka, gdy ją o to spytałam – Ona nawet się wygadać nie potrafi, tylko bym się za nią musiała wstydzić!

Przyszła do mnie na drugi dzień, skarżąc się na złe samopoczucie.

– Katru nie mam, ale odkaszelnąć nie mogę – wyznała ze śmiertelną powagą, rozwalając się na fotelu w błogim przeświadczeniu, że kto jak kto, ale właśnie ona potrafi się poprawnie wyrażać i nie musi się niczego wstydzić.

ROZDZIAŁ TRZECI

To miały być moje pierwsze święta Bożego Narodzenia spędzane z dala od rodziny, w zupełnie nowym i obcym środowisku.

Z początku nie docierało to do mnie wcale. Zafascynowana panującym wszędzie świątecznym nastrojem, kolorową dekoracją sklepów i ulic, kolędami słyszanyymi na każdym kroku i radosną krzątaniną wokół, nie myślałam jeszcze o tym, jak to będzie w Wigilię.

Na razie chłonełam tę atmosferę, tak inną od tej w Polsce lat osiemdziesiątych. Nie widziało się tu zmęczonych, zabieganych kobiet usiłujących „zdobyć” szynkę na święta i wystających w kilometrowych kolejkach przed sklepami.

Tutaj uśmiechnięci ludzie kupowali, wszystko na co tylko mieli ochotę i na co starczyło im pieniędzy. Wybierano prezenty dla najbliższych pod choinkę, kupowano nowe ubrania. Przed każdym niemal sklepem stał święty Mikołaj z dzwoneczkiem i życzył wesołych świąt.

Wystawy sklepowe migały dziesiątkami kolorowych lampek. Na niektórych padał sztuczny śnieg, na innych mechaniczny Mikołaj spisywał listę prezentów na długim zwoju papieru.

Było w tym dużo kiczu i typowej amerykańskiej przesady, ale i tak chłonełam to wszystko jak dziecko, z otwartą buzią.

Wieczorami wychodziłam na spacer po okolicy, żeby podziwiać przystrojone świątecznie domki. Prawie każdy z nich obwieszony był mnóstwem kolorowych światełek, na trawnikach stały olbrzymie szopki z ruchomymi gdzieś postaciami świętych, lub całe zaprzęgi świętego Mikołaja z saniami i wszystkimi reniferami. Czułam się tam jak w baśniowej krainie z dzieciństwa.

Ja też przystroiłam nasz domek, zawieszając na drzwiach sztuczny wieniec z ostrokrzewu i czerwonych jarzębin. Miałyśmy małą choinkę z lampkami i ślicznymi ozdóbkami, niektóre z nich pamiętały jeszcze młodość Hazel.

Za jej zgodą zaprosiłam na Wigilię Tadeusza. Kupiliśmy polską wędlinę na Jackowie, upiekłam ciasto, ale była to najsmutniejsza Wigilia w naszym życiu. Złożyliśmy sobie życzenia dzieląc się opłatkiem, a potem każde z nas pogrążyło się we własnych, nie najweselszych rozmyślaniach.

Zastanawialiśmy się, jak wyglądał ten wieczór u naszych dzieci, czy paczki z prezentami i owocami doszły na czas, czy rodzina myślała o nas podczas dzielenia się opłatkiem i co kto powiedział przy stole.

Mimo panującej wokół radosnej atmosfery, byliśmy smutni. To nie była nasza radość, czuliśmy się jak nieproszeni goście na kolacji u bogatych krewnych, jak z zupełnie „innej bajki”.

Przed północą pojechaliśmy do polskiego kościoła na Pasterkę. Nigdy nie zapomnę tej mszy i tej atmosfery.

W kościele było już mnóstwo ludzi, wcisnęliśmy się z trudem do środka, czekając na rozpoczęcie nabożeństwa. Światła przyćmione, ludzie modlili się po cichu.

Nagle, z nadejściem północy rozbłysły wszystkie lampy i z wielką mocą gruchnęła kolęda „Bóg się rodzi”.

Było to tak niesamowite przeżycie, że na samo wspomnienie jeszcze dziś czuję ciarki na plecach. Śpiewałam razem z innymi a łzy lały mi się ciurkiem po twarzy. Ta piękna polska kolęda przerwała tamę żalu i smutku, jakie się we mnie nagromadziły podczas Wigilii.

Już dawno tak serdecznie się nie wyplakałam i od dłuższego już czasu nie czułam się po tym tak dobrze.

W Boże Narodzenie przyszła Zośka, która Wigilię spędzała z koleżanką z rodzinnych stron. Poszłyśmy na spacer po naszej okolicy. Dzień był piękny, śnieg skrzył się w słońcu

tysiącami iskierek, otulone nim domki stały senne i ciche. Mieszkańcy odpoczywali za kolorowymi zasłonkami, korzystając ze świątecznego lenistwa.

Nam też w końcu zaczął się udzielać ten nastrój. Robiliśmy plany powrotu do domu, to zawsze poprawiało nam humor i napawało optymizmem.

Przed nami był jeszcze jeden trudny do przeżycia dzień, czyli Nowy Rok.

Tym razem Zośka przyszła już do mnie, wypiliśmy szampana w minorowych nastrojach i po północy wróciła do swojego domku.

Ten Sylwester był również pamiętny z innego powodu. Otóż rok 1989 witałam trzykrotnie.

Pierwszy raz, gdy u mnie była piąta po południu, a w Polsce już północ. Przygotowywałam się właśnie do szykowania kolacji dla Hazel i w myślach wznosiłam toast za pomyślność moich bliskich. Później, gdy tu była dopiero jedenasta, w Nowym Jorku już witano Nowy Rok. Oglądałam telewizję i z tysiącami zgromadzonych na placu nowojorczyków odliczałam sekundy do dwunastej. I wreszcie, godzinę później w Chicago. Muszę przyznać, że było to całkiem interesujące przeżycie.

W jakiś czas po Nowym Roku Zośka przyszła do mnie, jak zwykle w porze spaceru.

– Pojedziemy jutro na koncert polskich kolęd? – spytała, rzucając się na fotel, aż jęknęły wystające sprężyny.

Byłam tak zaskoczona faktem, że zapytała a nie poinformowała mnie o tym jak zwykle, że zgodziłam się od razu.

Nazajutrz, po kolacji babci, wyprowadziłam samochód z garażu i pojechałyśmy na koncert. Rzadko wychodziłam wieczorami, bo tak prawdę mówiąc nie było gdzie i po co, ale jeśli już mi się to zdarzyło, miałam zawsze wyrzuty sumienia, że zostawiam Hazel samą, bez opieki.

– Korzystaj dziecko z życia i nie przejmuj się tak bardzo – mówiła spokojnie w takich chwilach – Ja tu nie zostaję przecież całkiem sama, Pan czuwa nade mną.

Ogromna sala przy polskim kościele była już pełna. Przeważali ludzie starsi, w większości polonia amerykańska. Dosiadłyśmy się do stolika, przy którym siedziała już koleżanka Zośki z siostrą i dwoma mężczyznami.

Sympatyczniejszy z nich, Stasiu, dobroduszny blondyn około pięćdziesiątki, opowiadał cały czas jakieś zabawne historyjki. Drugi, w podobnym wieku, niemal zupełnie łysy „były blondyn”, siedział jakby kij połknął i prawie w ogóle się nie odzywał. Kiedy się do niego zwracałam, czerwienił się i uciekał spojrzeniem w bok. Rozmowa zupełnie się nie kleiła, mój wstydlivy sąsiad nie miał nic ciekawego do powiedzenia, a koleżanka Zośki mierzyła mnie niechętnym spojrzeniem i pytała co chwilę, jak mi się podoba Ameryka.

Po koncercie zaczęła się zabawa taneczna. Zośka poszła w tany ze Stasiem, a ja próbowałam prowadzić kulejącą konwersację przy stoliku. Na szczęście okazało się, że oczarowany Zośką adorator obiecał ją odwiedzić po tańcach do domu, czułam się więc zwolniona z obowiązków i z ulgą pożegnałam drętwe towarzystwo.

Już z samego rana, po śniadaniu, miałam gościa. Zośka aż pękała z nadmiaru wrażeń.

– Szkoda, że nie zostałam – krzyczała od progu, aż musiałam ją uciszać.

– Bawiłam się cudownie, Staś był taki szarmancki! A jaki miał gest! Stawiał drinki, kupił mi czekoladę i powiedział, że z nikim mu się tak dobrze nie tańczyło, jak ze mną! – wyrzucała z siebie jednym tchem.

Kiedy już opowiedziała ze szczegółami, niemalże rysując mi plan sytuacyjny z uwzględnieniem, gdzie stał i co zrobił boski Stasiu, dodała nagle z tajemniczą miną:

– A teraz trzymaj się mocno fotela, bo coś ci powiem...

– Janek zakochał się w tobie – wypaliła w końcu po efektownej pauzie, nie mogąc się doczekać, aż zacznę pytać, co to za sensacja.

Nie znałam żadnego Janka i nie mogłam sobie przypomnieć, żebym na kimś innym niż Joe, czy Ptaszek, wywarła jakieś wrażenie, które od biedy można by podciągnąć pod „piorunujące”. Wprawdzie na koncercie zauważyłam, że przy stoliku obok siedział „mężczyzna mojego życia”, ale zwrócił na mnie uwagę dopiero wtedy, gdy zakrztusiłam się sokiem i wszyscy klepali mnie po plecach.

– No co, nie jesteś zaskoczona? – Zośka była najwyraźniej zawiedziona.

– Pewnie, że jestem – odparłam – bo nie mam najmniejszego pojęcia, kto to jest Janek. Przez chwilę miałam nadzieję, że to jednak ten tajemniczy nieznajomy.

Niestety, okazało się, że owym zakochanym był mój wczorajszy, małomówny sąsiad z koncertu kolęd.

– To najwidoczniej miłość tak go poraziła, że zupełnie odebrało mu mowę – przypominając sobie sztywnego jak manekin sklepowy faceta – Nie przypominam sobie nawet, żeby mi się przedstawiał.

– A żebyś wiedziała, że go poraziło – Zośka była najwyraźniej urażona moim brakiem entuzjazmu – Powiedział, że jak wszedł na salę, to myślał, że wchodzi jakiś anioł, tak wszystko wyjaśniało.

– Może dlatego, że wzięłam prysznic przed wyjściem? – nie wytrzymałam i zaczęłam się śmiać.

– Mówił że jesteś zgrabna jak laleczka i piękna jak aniołek – nie dawała za wygraną sąsiadka, coraz bardziej na mnie zła.

Ale pogarszała tym tylko sytuację, bo następne rewelacje wywoływały u mnie kolejne wybuchy śmiechu. Łzy napływały mi do oczu i jak przez mgłę widziałam zaciętrzewioną minę Zośki spoglądającej na mnie z rosnącym niesmakiem.

– Głupia jesteś i tyle! – obraziła się w końcu i wyszła z wielką godnością na spacer.

Niezbyt długo jednak przyszło mi się cieszyć nieobecnością mojej koleżanki. Przyszła po południu, trochę jeszcze nachmurzona.

– Tylko nie zacznij się znowu śmiać, bo od razu wyjdę! – ostrzegła mnie w progu, a ja zaczęłam się poważnie zastanawiać nad taką ewentualnością.

– Janek chciałby się z tobą umówić – oznajmiła w końcu, kiedy jednak się nie roześmiałam i mogła wejść do środka.

– To dlaczego nie umówił się ze mną wczoraj – spytałam – przecież miał okazję?

– Bo on jest bardzo nieśmiały – Zośka zrobiła uduchowioną minę – Zresztą, zanim się zdecydował, to ty już wyszłaś.

– No i dobrze – powiedziałam – bo wcale nie miałabym ochoty się z nim umawiać. Jest zupełnie nie w moim typie.

– Ale to jest milioner! – Zdesperowana Zośka wytoczyła najcięższe działo.

Zabrzmiało to interesująco. Jeszcze nigdy w życiu nie spotkałam żadnego milionera, a tu proszę – zakochał się taki we mnie! To trochę zmieniało postać rzeczy.

– Opowiedz mi coś więcej o nim – poprosiłam koleżankę, udając, że niewiele mnie to interesuje, a ta, puchnąc z przejęcia, zaczęła wyliczać:

– Ma trzy domy, dwa samochody, prywatną awionetkę i konta w kilku bankach. A w domu, na dwudziestu białych wieszakach wisi dwadzieścia białych koszul, na dwudziestu niebieskich wieszakach dwadzieścia niebieskich, na dwudziestu różowych...

– A co z majtkami? – przerwałam jej, udając zainteresowanie.

– Nie wiem... – zamilkła na chwilę zaskoczona – ale się dowiem.

– Wiesz co? – powiedziałam po wysłuchaniu tej wyliczanki – Chyba jednak nie chcę się z nim umawiać, to jakiś niezbyt normalny facet.

– Ale on powiedział, że musisz się zgodzić! – Zośka była zaskoczona. – Jeszcze mu się nie zdarzyło, żeby mu któraś odmówiła. Zawsze lecą na jego miliony.

– No, to się w końcu zdarzyło – uciełam krótko, zła i zawstydzona, że jeszcze przed chwilą sama miałam ochotę „polecić”.

– Nie wiesz, co robisz! – usiłowała mnie przekonać – Powiem, że się zastanowisz, dobrze?

Poradziłam jej, żeby sobie nie „turbowała” tym głowy i dała spokój z milionerem. Słuchając jej rewelacji, miałam coraz mniejszą ochotę na to, by go poznać. Robiła mu w ten sposób tylko niedźwiedzią przysługę.

Jeszcze przez parę dni próbowała wracać do tematu, ale ucinałam te próby krótko i stanowczo. W końcu dała spokój.

Po tygodniu, podczas zwyczajowej wizyty u mnie, powiedziała, że koleżanka z jej rodzinnych stron zaprasza nas do siebie na kawę. Byłam tym faktem trochę zdziwiona, ponieważ Ola zachowywała się w stosunku do mnie raczej niechętnie na koncercie kolęd, ale widziałam, że Zośka ma ogromną ochotę jechać, więc się zgodziłam.

Dałam Hazel kolację, powierzyłam ją opiece dobrych duchów, co bardzo jej się spodobało i pojechałyśmy.

W pokoju, do którego weszłyśmy, panowała dziwna jasność. Ale nie była to sprawka żadnego anioła – to lampa odbijała się od łysej czaszki siedzącego tam sztywno milionera.

Tkwiał nieruchomo za stołem, ręce miał złożone na podolku, a twarz przyoblekł w świątobliwą minę. Na piersi zawieszony miał ogromny drewniany krzyż na grubym rzemieniu, który mocno wpijał mu się w szyję.

Jeśli miał zamiar porazić mnie swoją bogobojnością, to trzeba mu przyznać, że i owszem – poraził. Poraził mnie do tego stopnia, że nie wiedziałam, czy się rozzłościć i wyjść, czy zostać.

Zostałam jednak, bo zaczęła mnie bawić ta sytuacja i byłam ciekawa, co z tego wszystkiego wyniknie.

Posadzono mnie po prawej stronie milionera, na samym prawie brzegu twardej kanapy. Janek przedstawił mi się, tym razem wyraźnie, uciekając jednak spojrzeniem w bok i czerwieniąc się jak panienka. Właściwiej było by powiedzieć, że się zaróżowił a nie zaczerwienił, wzięwszy pod uwagę jego jasną karnację.

Sięgnęliśmy wszyscy po wino, żeby wypić toast „za miłe spotkanie”, gdy nagle milioner odstawił swój kieliszek i przeżegnał się szeroko.

Gdyby na kanapie nie było bocznego oparcia, pewnie zrzuciłby mnie przy tym na ziemię. A tak to tylko uderzył mnie boleśnie łokciem w zębra i wytrącił wino z ręki. Po małej konsternacji i zapewnieniach gospodyni, że „nic się nie stało, tylko plamy zostaną na dywanie”, wróciliśmy do rozmowy. Ola zapytała mnie znowu, jak mi się podoba Ameryka, a Janek zaczął przytaczać przykłady na nieustające przejawy boskiej opieki w jego życiu.

Przewrócił się i tam gdzie inny złamałby rękę lub nogę, on nie złamał. Samolot gdzieś się rozbił, a on nie leciał tym samolotem, tylko innym i to w zupełnie innym kierunku.

– Rozbiłem trzy awionetki – powiedział w końcu – z maszyn nie było co zbierać, a mnie nawet włos nie spadł z głowy!

To mówiąc, pokazywał na swoją łysą czaszkę i rzeczywiście, żaden włos nie miał prawa stamtąd spaść. Bardziej niepokoiło mnie natomiast miejsce, na które przy okazji wskazywał palcem. Było to okrągłe, pokryte pulsującą skórą wgłębienie, wielkości półdolarówki.

Facet zdecydowanie przestawał mnie bawić.

– A wszystko zaczęło się od mojej mamusi – ciągnął dalej, nie zrażony moim milczeniem – Była bardzo bogobojna, codziennie siedziała w kościele, aż do jego zamknięcia. Nawet umarła podczas podniesienia – zakończył wyraźnie wzruszony.

Nie wiedziałam, czy mam wyrazić żal z powodu jej śmierci, czy radość, że zrobiła to w tak niezwykłych okolicznościach. Na wszelki wypadek niczego nie wyraziłam, ponieważ żadna reakcja mi tam nie pasowała. Przysłuchiwałam się z uprzejmym zainteresowaniem i nie przezywałam. Kiedy jednak doszedł do „głosów”, które mamusi podpowiadały, jak żyć, miałam

już dość. Wymówiłam się grzecznie obowiązkami przy Hazel, zabrałam ociągającą się Zośkę i wróciłyśmy do domu.

Wieczorem zadzwonił telefon.

– Nie mogę zasnąć, bo cały czas myślę o tobie – usłyszałam głos milionera. – Możemy porozmawiać przez chwilę?

Nawet nie zastanawiałam się, skąd ma mój numer telefonu – wiedziałam, czyja to sprawka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mój niespodziewany wielbiciel okazał się nawet dość interesującym rozmówcą przez telefon. Kiedy nie musiał nikomu patrzeć w oczy miał dużo więcej śmiałości, a mnie też nie rozpraszało jego czerwienie się przy każdym zdaniu i rozbiegany wzrok.

Był odczytany i niegłupi, umiał dyskutować na każdy niemal temat. Uznałam, że nic złego się nie stanie, jeśli porozmawiam z nim od czasu do czasu.

Dzwonił co noc, za każdym razem wyszukując jakiś ciekawy temat do rozmowy. Mówił bardzo ładnie po polsku, mimo że mieszkał w Stanach od wczesnego dzieciństwa. Na szczęście dla mnie nie szukał żadnego bliższego kontaktu, chciał tylko porozmawiać czasami z „kimś inteligentnym”.

Dla mnie to też było przyjemne urozmaicenie i pozwalało zabić nudę samotnych często wieczorów. Był, tak jak ja zodiakalnym Bliźniakiem o szerokich zainteresowaniach, dyskutowaliśmy więc zażarcie całymi nieraz godzinami.

Niestety, zapomniałam o podwójnej osobowości Bliźniaków – ta druga jego strona wcale nie była taka ciekawa.

Powoli jego telefony zaczynały nabierać intymniejszego charakteru.

– Jesteś kobietą mojego życia – wyznał kiedyś – To na ciebie czekałem od dawna.

Zupełnie nie przeszkadzał mu fakt, że mam już męża.

– Zapłacę mu za rozwód – niemal widziałam, jak macha lekceważąco ręką.

– A moje dzieci? – spytałam.

W słuchawce zapanowała nagle cisza. Po dłuższej chwili usłyszałam:

– Jakie dzieci? Przecież będziemy mieć swoje. Będziemy mieć mnóstwo dzieci. Takie piękne ciało jak twoje da mi dużo dzieci.

Nie zdążyłam nic wtrącić, bo ciągnął dalej rozmarzonym głosem

– Moja babcia miała dziewiętnaścioro, a my będziemy mieli jeszcze więcej!

Przypomniałam sobie zabawkę z dzieciństwa. Była to mała, blaszana kura, z której po naciśnięciu na grzbiet, wyskakiwały jajeczka. Wyobraziłam sobie siebie, jak biegam po pokoju z wyprasowanymi różowymi koszulami do szafy z różowymi wieszakami, a gdzie przystanę i kucnę, tam wyskakuje śliczny, różowy dzidzius.

Otrząsnęłam się z tej wizji i zaśmiałam się niepewnie

– Chyba nie mówisz tego poważnie?

– Oczywiście, że mówię poważnie – głos Janka zabrzmiał nagle nieprzyjemnie – Chcę mieć dużo dzieci!

– Ta kurwa, moja była żona, urodziła mi tylko dwie córki i kazała się zadrutować!

To mówiąc rzucił słuchawką, a ja stałam przez chwilę oniemiała, wsłuchując się w ciągły sygnał w telefonie.

Tajemnicze „zadrutowanie” nie dawało mi spokoju. Cokolwiek to oznaczało, brzmiało groźnie i z pewnością stało się przyczyną rozwodu milionera. Postanowiłam zapytać o to Zośkę, która wiedziała na jego temat znacznie więcej, niż chciała się do tego przyznać.

Otóż okazało się, że żona Janka, po dwóch ciężkich porodach, założyła, zgodnie z zaleceniem lekarza, spiralę domaciczną. Doprowadziła tym wprawdzie do rozwodu, wołała jednak to, niż niemal pewną śmierć w następnej ciąży. Może też nie chciała mieć więcej dzieci z nie-równoważonym psychicznie mężem. Wcale jej się nie dziwiłam, ja też nie chciałam mieć z nim nic wspólnego.

– Czemu nie powiedziałaś, że to wariat? – miałam pretensje do Zośki.

Ale ta wzruszyła tylko ramionami w odpowiedzi. Nie wiedziałam wtedy, że za skojarzenie mnie z milionerem, sam zainteresowany obiecał Oli, swojej byłej kochance, wysoką premię. Zośka też chyba nie namawiała mnie do tej znajomości zupełnie bezinteresownie. Zbyt gorli-

wie podchodziła do całej tej sprawy. Ale zabrała się do tego z właściwym sobie brakiem wyczucia i trochę przesadziła.

Milioner zadzwonił następnej nocy. Chciałam go przetrzymać i nie odbierałam telefonu przez dłuższą chwilę, ale nie dawał za wygraną.

– Jeżeli nie będziesz odbierała, to przyjadę tam osobiście – ostrzegł mnie ostrym głosem, kiedy już wreszcie podniosłam słuchawkę.

Zaczęłam się go bać. Nie wiedziałam, jak się z tego wszystkiego wyplątać, żalowałam, że nie przerwałam tej znajomości zaraz po pierwszym telefonie. Opowiedziałam o wszystkim Hazel i ustaliłyśmy, że to ona będzie przez jakiś czas odbierać telefony.

Przez parę dni biegałam więc do niej z aparatem, potykając się o długi przewód telefoniczny. Babcia uprzejmie, ale chłodno tłumaczyła, że nie życzy sobie żadnych prywatnych telefonów do swojej opiekunki. Próbował ją przekonywać, ale ucinała krótkim „dziękuję panu” i odkładała słuchawkę.

W końcu wyglądało na to, że wreszcie zrezygnował i przestał dzwonić. Po tygodniu odwołałyśmy alarm i mogłam już spokojnie sama odbierać połączenia.

Po tej przygodzie byłam już ostrożniejsza w kontaktach z ludźmi, poprzestałam na starych, sprawdzonych znajomościach. Raz tylko zrobiłam od tego odstępstwo dla człowieka, którego wcześniej nie znałam, ale który był dla mnie wyjątkowo atrakcyjny; właśnie wrócił z Hawajów.

Kiedy dowiedziałam się o nim od Zośki, sama nalegałam na to spotkanie. Miałam oto możliwość mieć wiadomości z pierwszej ręki, mogłam zobaczyć tego szczęśliwca na własne oczy! Kiedy jeszcze dowiedziałam się, że ma zdjęcia, nie mogłam usiedzieć spokojnie na miejscu.

– Tylko mi się nie zakochaj! – Hazel żartobliwie groziła mi palcem – Zachowujesz się jak przed spotkaniem z wymarzoną mężczyzną.

Wymarzone były Hawaje – to one zaprzętały moje myśli, odkąd tylko pamiętam. Zawsze chciałam podróżować „jak będę duża” i na pierwszym miejscu mojej listy były właśnie te wyspy. Nie wiem dlaczego, tak prawdę mówiąc, ale z całą pewnością kojarzyły mi się z czymś nieosiągalnym, o czym można tylko marzyć, bo pojechać tam nie będąc wielkim i sławnym podróżnikiem, wydawało mi się zupełnie niemożliwe.

Pamiętam, jak ojciec ucinał krótko moje głośne marzenia o podróżach po świecie:

– Tak, na pewno pojedziesz... do Honolulu, kozy doić...

A Honolulu przecież na Hawajach.

Teraz byłam tak blisko tego miejsca, jak jeszcze nigdy w życiu. I jeszcze miałam okazję wysłuchać relacji zwyczajnego człowieka, takiego jak ja, a nie żadnego tam sławnego podróżnika.

Wybraliśmy się do niego z Zośką, Stasiem i Tadeuszem, po wcześniejszym uzgodnieniu terminu wizyty. Bolek pracował jako murarz u jakiegoś prywatnego przedsiębiorcy całymi dniami, ciężko mu więc było znaleźć wolną chwilę. Ale chyba sam chciał się pochwalić tymi Hawajami, bo umówił się z nami na najbliższy weekend.

Znajomy Zośki okazał się korpulentnym, łysiejącym dość młodym człowiekiem o rumianej twarzy. Długie pasmo włosów z tyłu głowy zaczesywał misternie na czoło w klasyczną fryzurę „cała naprzód”. Nie mogłam oderwać od niego wzroku, a właściwie od tej fryzury. Zastanawiałam się, jak on wygląda rano po wstaniu z łóżka i po co zadaje sobie tyle trudu, zamiast pogodzić się z łysieniem. Z łysiną wyglądałby zwyczajnie i nie zwracał na siebie takiej uwagi. Ale w końcu nie przyszedłam oglądać Bolka, tylko jego zdjęcia z moich wymarzonych wysp i posłuchać relacji „naocznego świadka”. Z trudem oderwałam więc spojrzenie od przedziwnej konstrukcji na jego głowie – zarejestrowałam tylko z niepokojem fakt, że kawa-

łek sztywnego od lakieru do włosów pasma odchyła się niebezpiecznie przy gwałtowniejszym ruchu głowy właściciela – i skupiłam się na zdjęciach.

Były piękne. Najprawdziwsze palmy rosnące nad brzegiem niebieskiego oceanu, złote plaże, śliczne Hawajki w wieńcach z kwiatów hibiskusa, tropikalna dżungla. I nasz Bolek, tym razem, chyba z powodu wiatru w fryzurze „prawa na burt”, w otoczeniu uśmiechniętych hawajskich dziewcząt w spódniczkach z trawy.

Zapytałam, dlaczego jest tylko na kilku zdjęciach. Czy nie lubi się fotografować?

– Wiesz – powiedział zawstydzony – to są zdjęcia robione przez dziewczyny z naszej wycieczki. Tylko one właściwie zwiedzały, my z chłopakami „dawaliśmy w gaz” w hotelu. Mówię ci, jak była zabawa! To chyba kwestia klimatu, ale tam człowiek zupełnie nie ma kaca na drugi dzień. Można było pić całą noc, a w dzień człowiek przespał się na plaży pod palmami. —To było życie! – Bolek westchnął rozmarzony. Po chwili otrząsnął się z zamyślenia i machnął niedbale ręką w stronę albumu: – A te zdjęcia, to mi zrobili w pierwszy i w ostatni dzień pobytu, będą na dowód dla małżonki, że byłem na Hawajach.

Wracaliśmy zniesmaczeni do domu. Nie mogło nam się pomieścić w głowie, jak można było pojechać na Hawaje i „balować” w pokoju hotelowym zamiast oglądać te wszystkie cuda przyrody!

– Po co płacił tyle za wycieczkę, skoro mógł to samo robić w swoim pokoju na Jackowie?

– Tadeusz kręcił z niedowierzaniem głową. – A trzeźwieć na plaży jeziora Michigan.

– No to mam swojego naocznego świadka – westchnęłam z udaną rezygnacją – Chyba sama będę musiała tam pojechać, nie mam wyjścia.

Śmialiśmy się przez całą drogę, wyobrażając sobie Bolka śpiącego pod palmą z rozwichrzonym pasmem włosów i śniącego, że jest na grzybobraniu z zakładem pracy.

Zdecydowanie, była to najdroższa wódka, jaką wypił Bolek w całym swoim życiu...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zoškę widywałam już coraz rzadziej. Straciłam koleżankę, a ona straciła głowę dla swojego Stasia. Jeszcze wpadała czasami do mnie po lunchu, ale chyba tylko po to, żeby odmieńnić imię swojego ukochanego przez wszystkie przypadki. Wieczorami za to byłam przeważnie sama i skłamałabym, gdybym powiedziała, że mnie to jakoś specjalnie martwiło.

Uczucie Zoški było tak wielkie, że jak każda chyba kobieta w takiej sytuacji, zaczęła bardziej o siebie dbać.

Muszę uczciwie przyznać, że była bardzo schludna i czysta, niczego w tym względzie nie można jej było zarzucić, ale miała zaniedbania innego typu – fatalne uzębienie. Nie przeszkadzało jej to zupełnie, aż do tej pory. Teraz chciała być wyjątkowo piękna, w związku z czym postanowiła obstałować sobie nową amerykańską szczękę. A wiadomo, że wszystko co amerykańskie, to oczywiście piękne.

Jak postanowiła, tak zrobiła.

Po kilku wizytach i przymiarkach u dentysty zęby były wreszcie gotowe. Podobno niebywale pięknie się prezentowały, były równe, białe i zupełnie „jak żywe”, zdaniem zachwyconej przyszłej właścicielki.

Tego dnia sama z niecierpliwością czekałam, kiedy zobaczę Zoškę w nowym „garniturze”. Po południu usłyszałam ciche pukanie w szybę salonu. Podeszłam z zaciekawioną i po drugiej stronie zobaczyłam swoją koleżankę wyszczerzoną w jakimś upiornym uśmiechu, który klócił się wyraźnie z ponurym spojrzeniem, jakim mnie obdarzyła na przywitaniu.

Zdałam sobie po chwili sprawę, że to, co wzięłam za uśmiech, w rzeczywistości było nie-naturalnie wystającymi sztucznymi zębami. Górna warga nie była jeszcze w stanie ich przykryć i podsunęła się pod sam nos nieszczęsnej dziewczyny.

Zośka wyglądała jak królik Bugs.

– Tylko nie próbuj się śmiać! – usiłowała powiedzieć, ale z jej ust wydobyły się tylko jakieś głuche, zniekształcone dźwięki, czym rozśmieszyła mnie już kompletnie.

Trzymałam się framugi drzwi śmiejąc się jak szalona. Zdawałam sobie sprawę, że nie jest to zbyt miłe z mojej strony, ale naprawdę nie potrafiłam się powstrzymać.

Kiedy udało mi się choć trochę opanować, zaprosiłam ją do środka, gdzie mogłyśmy się w miarę spokojnie zastanowić, co z tym fantem zrobić. Staralam się nie patrzeć w jej kierunku, ale udawało mi się to raczej średnio.

Tymczasem „roześmianej” Zośce wcale nie było do śmiechu. Zdażyła się już umówić na wieczór ze Stasiem, który nic nie wiedział o planowanych od dawna zabiegach upiększających. Widok nowego uśmiechu Zoški miał go powalić z nóg. No i zapowiadało się, że faktycznie, może się tak niestety stać.

Trzeba było natychmiast działać. Wyjęła szczękę na stolik, zupełnie jak kiedyś Linda, i zadzwoniła, żeby odwołać randkę. Odwołała i tę i wszystkie następne w nadchodzącym tygodniu, tłumacząc się nagłą chorobą.

Po kilku wizytach u dentysty i po koniecznych poprawkach zęby zaczęły się w końcu układać. Zdezorientowana z początku górna warga zdecydowała się je w końcu przykryć i po paru miesiącach Zośka wyglądała już całkiem normalnie.

Zanim jednak tak się stało, wydarzyło się coś, czego właściwie spodziewałam się już od pewnego czasu.

– Rzucam tę pracę – oświadczyła nagle podczas jednej z nielicznych już wizyt w domu Hazel. – Wynajmujemy sobie ze Stasiem małe mieszkanie na Jackowie i będziemy żyć tam razem.

Uciekając spojrzeniem w bok zaczęła mi opowiadać „całą prawdę” o swoim małżeństwie. Wcale nie było takie udane, jak mi je przez cały czas przedstawiała. To nieprawda, że mąż

nosił ją na rękach i wyręczał we wszystkich cięższych pracach na gospodarce – wręcz przeciwnie, wykorzystywał ją ponad siły, bił i katował, ubliżał i poniewierał na każdym kroku.

Słuchałam tego wszystkiego z rosnącym niesmakiem. Miałam wrażenie, że opowiada mi o zupełnie innym człowieku, że pomyliła bajki. Zresztą, co mnie to wszystko obchodziło? Nie miałam żadnego prawa, żeby ją osądzać, tak jak ona nie miała obowiązku tłumaczyć się przede mną ze swoich życiowych decyzji.

Tak czy inaczej okłamywała mnie bez żadnej potrzeby, jeśli nie teraz, to przedtem.

W końcu wyprowadziła się ostatecznie, nie czekając aż pośredniczka znajdzie kogoś na jej miejsce do dziadka, i od tej pory spotykałyśmy się znacznie rzadziej. Nie znaczy to wcale, że nasze kontakty się urwały – teraz już oboje zapraszali Tadeusza i mnie do siebie, na drinka.

Kilka razy byłam tam sama, myślę że Zośce brakowało z początku towarzystwa. Staś pracował od rana do nocy, żeby zapewnić ukochanej godziwe warunki, a ona nie miała się do kogo odezwać.

Kiedy po jednej z takich wizyt wracałam do domu, zauważyłam, iż od dłuższego już czasu jedzie za mną czerwony sportowy samochód. Próbowalam go zgubić, sądząc że to przypadek, ale nadaremnie – samochód wciąż pojawiał się w moim wstecznym lusterku.

Ktoś najwyraźniej mnie śledził!

Przestraszona dodałam gazu i szybko wróciłam do domu. Tam zostawiłam samochód na podjeździe i wbiegłam do środka. Po dłuższej chwili wyjrzałam ostrożnie przez zasłone w oknie: czerwony samochód przejeżdżał powoli wzdłuż naszej uliczki. Nie widziałam kierowcy, bo słońce odbijało się w bocznej szybie.

Przez parę dni nic się nie działo, potem zobaczyłam go znowu, gdy wracałam z zakupami ze sklepu. Stał na parkingu, jakby schowany za innymi samochodami, ale nie próbował za mną jechać.

Wieczorem jednak był znów pod naszym domem. Stał tak ze zgaszonymi światłami, bez ruchu. Niby nic takiego nie robił, ale byłam przerażona.

Na szczęście zadzwoniła właśnie Zośka.

– To pewnie milioner – roześmiała się głośno, kiedy podzieliłam się z nią swoimi obawami. – Skarżył się niedawno, że nie może do ciebie dzwonić, to pewnie tak szuka okazji do spotkania.

– Jeśli to on, to niech już zadzwoni, bo wykończy mnie psychicznie tym śledzeniem. Zresztą muszę się z nim poważnie rozmówić.

Zadzwonił jeszcze tego samego wieczora.

– Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem – zaczął niepewnie – ale musisz być moją żoną, to już postanowione.

– Chcę mieć z tobą dużo dzieci – dokończył już całkiem pewnie i stanowczo, nie dając mi dojść do głosu.

Opadły mi ręce. Może jednak to śledzenie mnie było lepsze? Trudno się rozmawia z kimś „normalnym inaczej”

– Nie będziesz ze mną szczęśliwy – usiłowałam go delikatnie przekonywać – Ja nie chcę już więcej rodzić. Znajdź sobie inną, młodszą i chętniejszą.

Ale moje słowa trafiały w próżnię. Wyglądało na to, że on w ogóle nie słucha tego, co do niego mówię.

– Całe życie na ciebie czekałem – powtarzał w kółko – będziemy mieli mnóstwo dzieci.

– A swoją drogą – zastanowił się nagle – jakie to niesprawiedliwe, że trzeba czekać całe dziewięć miesięcy, żeby począć następne dzieciątko! Może uda nam się jakoś oszukać naturę? Musimy znaleźć jakiś sposób.

Chwilę słuchałam nie przerywając, wreszcie położyłam słuchawkę na stoliku i próbowałam oglądać jakiś film w telewizji. W tle słyszałam cały czas jego monotony głos.

Nagle zorientowałam się, że mówi podniesionym tonem. Przytknęłam czym prędzej słuchawkę do ucha.

– ... że natura staje zawsze po stronie kobiety! – usłyszałam końcówkę jakiegoś dłuższego wywodu.

Uznałam za stosowne zdziwić się w tym momencie.

– Jak to, dlaczego? A co powiesz na to, że mężczyzna ofiarowuje kobiecie miliony plemników, a zapłodnić ją może tylko jeden?! I jak myślisz, co kobieta robi z pozostałymi?

Nie wiedziałam.

– Zabija je swoją kwaśnością !!

– Ale ty na szczęście jesteś inna – jego głos nagle złagodniał – ty byś tak nie zrobiła.

– Ja bym tak nie zrobiła?! – miałam już dość tej komedii. – Otóż, wyobraź sobie, że jestem jeszcze gorsza niż te wszystkie kobiety razem wzięte. Ja nie polegam tylko na swoim kwaśnym odczynie, ja siedzę na skraju łóżka i, dla całkowitej pewności, osobiście ukrecam łeb każdemu plemnikowi!

To mówiąc z furią odłożyłam słuchawkę i wyciągnęłam wtyczkę od telefonu. Zaraz jednak przypomniałam sobie, że może przyjechać tu osobiście, więc niechętnie włączyłam ją z powrotem. Jak to było do przewidzenia, zadzwonił w tym samym momencie.

– Nie mówiłaś tego poważnie, prawda? – spytał niemal pieszczotliwie – Chciałaś mnie tylko wypróbować?

Nie odzywałam się, a on opowiadał o świętości pożycia małżeńskiego, ze szczególnym uwzględnieniem świętości jego nasienia.

Nigdy go nie marnował, a jeśli już się zdarzyło, że uronił choć kroplę podczas wypełniania obowiązków małżeńskich, zaraz usiłował to zebrać i włożyć tam, gdzie być powinno.

– I mimo tych wszystkich zabiegów, urodziła tylko dwie córki, a potem się zadrutowała! – jego głos znów podniósł się niebezpiecznie.

– Ale szybko się zorientowałem – znów mówił spokojnie – Bo trzeba ci wiedzieć, że jestem nieprzeciętnie inteligentny. Mój iloraz inteligencji kilkakrotnie przekracza wszelkie normy. Przeczytałem wszystkie medyczne książki i potrafiłbym leczyć ludzi. Mógłbym ich nawet operować, bo chirurgią pasjonuję się szczególnie. Ale nie chcę. Nie umiałbym z zimną krwią kroić takiego pięknego ciała, jak twoje. Nie wyobrażam sobie, że wyjąłbym z niego serce...

Zaniechałam oddychania na długą chwilę.

– No, chyba żeby mi Pan Bóg tak kazał zrobić – dodał po krótkim namyśle.

Czułam, że włosy stają mi dęba na głowie. Siedziałam w ciemnym pokoju ze słuchawką w spoconej dłoni i usiłowałam się wcisnąć jak najgłębiej w bezpieczny fotel.

– A jeśli on stoi już za drzwiami, bo dostał właśnie jakieś polecenie „z góry”? – zastanawiałam się przerażona, kiedy wreszcie się rozłączył. Wiatr stuknął klapką na listy w drzwiach wejściowych, szopy przewróciły kubek na śmieci przed domem, coś zaszeleściło w pokoju Hazel. Nie mogłam już usnąć, poszłam więc do kuchni i zaparzyłam sobie kawę.

Siedziałam cichutko, żeby nie budzić babci i zastanawiałam się, co robić i jak zakończyć tę zwariowaną znajomość. Nic sensownego nie przychodziło mi jednak do głowy.

Nastawiłam głośność dzwonka telefonu na minimum, ale nawet ten delikatny dźwięk poderwał mnie na równe nogi.

– Jutro masz rzucić tę pracę i przeprowadzić się do mnie – zażądał stanowczo – moja przyszła żona nie będzie usługiwać żadnym starym babom.

Nie czekając nawet na moją odpowiedź, odłożył słuchawkę.

O trzeciej nad ranem znów zadzwonił. Zdażyłam wreszcie usnąć i rozbudzona nagle, nie mogłam się z początku zorientować, o co chodzi. Takiego steku przekleństw i wyzwisk jeszcze nigdy nie słyszałam.

- Wpuściłaś go oknem! – to były jedyne słowa, które udało mi się zrozumieć z jego wrzasku.
- Kogo wpuściłaś? – popatrzyłam ze strachem na okno, ale na szczęście było zamknięte.
- Kochanka wpuściłaś, ty dziwko! Wszystkie jesteście takie same!
- Ale nie ujdzie ci to na sucho – zagroził – pamiętaj, że mam pozwolenie na broń i jestem doskonałym strzelcem. Zaczaję się gdzieś blisko twojego domu i będę strzelał do każdego mężczyzny, który zbliży się do drzwi. Nikt mnie nie będzie oszukiwał!
- A jeśli to będzie listonosz, przecież to też mężczyzna? – zapytałam piskliwym głosem, cały czas jeszcze nie wiedząc, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy to tylko głupi żart.
- A cóż to za problem dla kochanka, żeby się przebrać za listonosza? – zaśmiał się nieprzyjemnie
- Do listonosza też będę strzelał!
- Odłożył słuchawkę, a ja siedziałam na podłodze bezskutecznie usiłując powstrzymać szczykanie zębami. Kiedy zadzwonił ponownie byłam już zupełnie opanowana.
- Właśnie rozmawiałam z policją – powiedziałam, nie dopuszczając go do głosu.
- Mają twoje nazwisko, imię i numer telefonu. Za chwilę przyjedzie tu technik, żeby założyć podsłuch w moim telefonie – kłamałam jak z nut, modląc się, żeby brzmiało to w miarę wiarygodnie.
- Po co ci zakładają podsłuch, jesteś już notowana? – pytanie miało być ironiczne, ale wy-czułam w nim lekką obawę.
- To ty jesteś już notowany – wypaliłam – muszą mieć dowód, że to twój głos. Mam nadzieję, że wiesz co grozi za takie nękanie ludzi przez telefon?
- Prawdę mówiąc, sama nie wiedziałam, co za to grozi i czy rzeczywiście policja zajęłaby się tą sprawą, ale go wystraszyłam.
- Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiłaś... – powtarzał w kółko.
- Nigdy już nie zadzwonił. Dowiedziałam się dużo później, że miewał w przeszłości podobne problemy z policją i pewnie wołał się już nie narażać.
- Aż takim wariatem to on nie był...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obudził mnie przytłumiony warkot kosiarki do trawy, dobiegający gdzieś zza domu. Stałam się bezskutecznie zatrzymać resztki pięknego snu, ale już zdawałam sobie sprawę, że to nie trawa na krakowskich Plantach tak pięknie pachnie, a hałas nie pochodzi od kolorowego latawca, puszczanego na wiatr przez moje dzieci.

Otworzyłam z niechęcią oczy i przez chwilę leżałam zdezorientowana. Coś się zmieniło, ale nie wiedziałam jeszcze co.

Nagle dotarło do mnie, że czuję się lekko i szczęśliwie, jak nigdy dotąd. Może to sprawił ten sen, a może napływające z uchylonego okna świeże, pachnące ściętą trawą powietrze – było mi po prostu dobrze. Było mi tak dobrze, że aż poczułam wyrzuty sumienia.

No, bo jakże to tak? Powinnam być smutna i nieszczęśliwa, bo daleko od domu, z dala od rodziny. A mnie tu ni stąd, ni zowąd dobrze...

Ale tak rzeczywiście było. Miałam spokojną pracę, miłą atmosferę i swobody akurat tyle, żeby móc stworzyć sobie namiastkę normalnego życia. Odwiedzałam znajomych i oni też mogli mnie odwiedzać, mogłam również jeździć na niektóre imprezy organizowane przez polonię amerykańską.

W Polsce prawie w ogóle nie chodzę na żadne koncerty – tu natomiast nie pójście na występ polskich artystów był dla mnie niemalże zdradą własnego kraju. A już sprawą zupełnie nie podlegającą dyskusji było wzięcie udziału w wyborach do Sejmu i Senatu w 89 roku. Stałiśmy na zimnie i deszczu, w ogromnej kolejce przed konsulatem polskim, żeby zagłosować na listę solidarnościową.

Teraz już nie potrafię wykrzesać z siebie ani takiego entuzjazmu, ani takiego patriotyzmu, jak wtedy. Ale tam wszystko miało jakiś inny wymiar.

Wprawdzie tęskniłam nadal za domem i za dziećmi, ale nie była to już ta rozpaczliwa, wręcz bolesna tęsknota z pierwszych miesięcy w Ameryce. Powoli przyzwyczajałam się do tamtego życia i do tamtych zwyczajów. Stworzyłam sobie namiastkę „normalnego” życia, z jego codziennymi problemami i radościami. Czułam się coraz pewniej i spokojniej, a wszystko to dzięki Hazel, która traktowała mnie bardziej jak członka rodziny, niż opiekunkę.

Nie próbowała „przerobić” mnie na Amerykankę, jak to się niektórym babciom zdarzało. Wręcz przeciwnie – cieszyła się, że tak bardzo czuję się Polką i sama zachęcała do podtrzymywania kontaktów z rodakami.

Widziała jak bardzo tęsknię za dziećmi i zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że prędzej czy później wrócę do domu – ale nie chciała o tym rozmawiać. Udawałyśmy więc obie, że nie ma tego tematu, przykre sprawy odkładając na potem.

Jedynym moim zmartwieniem wtedy było tylko to, żeby nie umarła przy mnie. A było się o co martwić, ponieważ babcia miała zwyczaj tracić przytomność nagle i nieoczekiwanie.

Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, wpadłam w panikę. Zupełnie nie byłam przygotowana na tego rodzaju przeżycia. Zaprowadziłam ją, jak co rano, do ubikacji i cierpliwie czekałam za drzwiami na sygnał, że już jest gotowa.

Tym razem jednak jej pobyt wydał mi się podejrzanie długi. Zaniepokojona, zapukałam delikatnie w framugę i gdy nie otrzymałam odpowiedzi, wsunęłam dyskretnie głowę do środka.

To, co zobaczyłam, sprawiło, że zmartwiałam z przerażenia. Hazel zwiisała bezwładnie z sedesu, z głową opartą o poręcz balkonika. Kiedy usiłowałam ją poruszyć, zsunęła się na posadzkę łazienki. Przeniosłam ją szybko do pokoju i niemal rzuciłam na łóżko. Nie miałam pojęcia, co robić. Odpadała kwestia dzwonienia na pogotowie, gdyż wyraźnie mi tego kiedyś zakazała.

– Jeśli zdarzy się, że stracę przytomność – powiedziała wtedy – nie wzywaj pogotowia. Chcę umierać z godnością, bez aparatury podtrzymującej życie.

– Zresztą – dodała po chwili ze smutnym uśmiechem – to kosztuje majątek i nie stać by mnie potem było na dalsze życie.

Próbowałam więc ratować ją sama. Żałowałam, że na zajęciach z przysposobienia obronnego nie przykładałam się zbytnio przy technikach udzielania pierwszej pomocy. Potrząsałam nią jak kukłą, masowałam twarz i powtarzałam z płaczem:

– Hazel, odezwij się do mnie! Nie umieraj, proszę!

Upłynęła chyba cała wieczność, zanim babcia otworzyła wreszcie oczy.

– Dobrze, już dobrze – z wysiłkiem wymawiała słowa – Nie umieram jeszcze, ale przestań mnie tak szarpać, bo połamiesz mi wszystkie kości.

Kiedy doszła już całkiem do siebie, zawołała mnie do swojego pokoju i oświadczyła z całkowitą powagą:

– Obiecuję, że nie umrę, zanim nie wrócisz do Polski. Możesz być spokojna.

Jeszcze nie raz zdarzało jej się tracić przytomność, zawsze jednak budziła się po moich delikatnych, tym razem, zabiegach, mówiąc cichutko i z filuternym uśmiechem:

– Jeszcze nie umarłam...

Z czasem taka sytuacja stała się niemal codziennością w naszym domu – omdlenie, cucie, uniesiony palec i porozumiewawczy uśmiech, znaczący: „Spokojnie, panuję nad sytuacją”.

Ten palec podnosiła zawsze do góry tak, jakby prosiła o głos. Wiedziałam w takich momentach, że za chwilę usłyszę coś ważnego, przynajmniej zdaniem babci...

Gdyby wtedy umarła, czułabym się w jakiś sposób zawiedziona. I chociaż to brzmi niedorzecznie – wierzyłam w jej obietnicę.

Któregoś dnia spytałam, co czuje podczas tych swoich stanów nieświadomości, jakie to jest wrażenie?

– To trochę jak umieranie – wyjaśniła po krótkim namyśle – Zresztą powinnaś sama to pamiętać, przecież umierałaś już parę razy.

Poczułam nagle gęsią skórę na całym ciele. Objęłam się ciasno ramionami i starając się nadać głosowi normalne brzmienie kontynuowałam rozmowę.

– A ty pamiętasz swoje śmierci?

– Tylko te, kiedy umierałam młodo. Umieranie ze starości nie wyróżnia się niczym specjalnym, to jakby zasypianie po długim i męczącym dniu.

Nie miałam odwagi pytać, czy pamięta coś z mojego wcześniejszego wcielenia, skoro, jak sama twierdziła, spotkałyśmy się już wtedy. Czytając jakby w moich myślach, powiedziała z lekkim uśmiechem:

– Chyba nie jesteś jeszcze gotowa na takie wspomnienia. Jestem pewna, że to przyjdzie z czasem.

Nie wracałyśmy już do tej rozmowy. Chyba bałam się trochę takiej wiedzy – rzeczywiście nie wiedziałabym jeszcze, co z nią zrobić. Z jednej strony trudno było mi uwierzyć w reinkarnację, z drugiej zaś – a co, jeśli to prawda?

Jedynym bezpiecznym tematem, z tych dziwniejszych, były sny i próba ich tłumaczenia przez babcię. Wierzyła, że nic nie śni się nam bez powodu i że każdy sen niesie jakieś przesłanie, które trzeba nauczyć się rozszyfrowywać. Chętnie więc tłumaczyła moje, dziwaczne nieraz, sny. A że śni mi się dużo, kolorowo i ciekawie, toteż miałyśmy częste zajęcia po śniadaniu. Był to cały rytuał.

Zabierałam tacę z brudnymi naczyniami, a Hazel w tym czasie siadała wygodnie na łóżku, strzepując prawdziwe lub wyimaginowane okruszki z prześcieradła, tak aby nic jej nie przeszkadzało w prawidłowym odbiorze mojego opowiadania. Słuchała w zamyśleniu, często z napięciem widocznym na twarzy (mój angielski!), przekrzywiając lekko głowę w jedną stronę. Od czasu do czasu podrzucała mi brakujące słówko, nie zmieniając wyrazu twarzy. Wreszcie, kiedy opowieść dobiegła końca, poprawiała sobie poduszkę pod plecami, wygła-

działa w zamyśleniu brzeg narzuty, układając ją równiutko i starannie na nogach. Kiedy już kaniem narzuty można było przeciąć papier, przejeżdżała po niej ręką jeszcze raz, dla pewności, i zadowolona z wyniku, klaskała w ręce, opierała się wygodnie i zaczynała z namaszczeniem:

– Otóż, sądzę, że twój sen można wytłumaczyć tak... – Tu następowało wyjaśnianie tego, co mój uśpiony umysł „miał na myśli”.

Czasami jednak nie pamiętałam, co mi się śniło, lub co gorsza, sen niekoniecznie nadawał się dla uszu bogobojnej staruszki, więc starałam się coś wymyślić, żeby nie sprawić jej zawodu. Okazało się jednak, że moja głowa pracuje lepiej, kiedy nie mam nad nią kontroli... Te wymyślone historyjki nie podobały się Hazel.

– Nie widzę w tym żadnego sensu – mówiła wtedy – Chyba za dużo się najadłaś przed snem.

Warkot kosiarki za oknem umilkł nagle, co oznaczało, że Jose skończył już pracę i niebawem zjawi się po swój czek. Z niechęcią pomyślałam o konieczności opuszczenia wygodnego, ciepłego łóżka. Pora była jeszcze dość wczesna i mimo świecącego słońca, powietrze było rześkie i chłodne.

Zdażyłam się umyć i przebrać, kiedy rozległ się gong do drzwi wejściowych. Przez szybę salonu widać było białą, rozklekotaną półciężarówkę z zapakowanym już na niej starannie sprzętem.

– Nie zostawiaj mnie z nim samej! – poprosiła gorączkowo Hazel, gdy chwilę wcześniej powiedziałam jej o spodziewanej wizycie – Przecież będziesz musiała mi tłumaczyć, co mówi!

Jose był niskim, sympatycznym Meksykaninem o miłym uśmiechu i najbardziej krzywych zębach, jakie kiedykolwiek widziałam. Miało się wrażenie, że każdy z nich sterczy z jego szczęki pod innym kątem i w innym kierunku niż pozostałe. Miał więc w związku z tym koszmarną wadę wymowy i rzeczywiście trudno go było zrozumieć.

Gdyby nie to, że wyszłam z nim przed dom, gdzie pokazał mi co zrobił, też nie bym nie zrozumiała ze sceny, która właśnie zaczęła się rozgrywać. Usłyszałam potok zupełnie niezrozumiałych słów, którymi Jose z ogromnym zaangażowaniem zaczął zdawać sprawozdanie ze swojej działalności na trawniku babci. Patrzyłam zafascynowana na jego ręce, którymi wykonywał ruchy naśladujące przycinanie krzewów, prowadzenie kosiarki spalinowej, a nawet wyrzucanie przypadkowo napotkanych kamieni.

Dzięki temu, jak również dzięki wcześniejszym oględzinom trawnika wiedziałam mniej więcej, co zostało zrobione.

– Dość! – powiedziała w pewnej chwili Hazel – Teraz przetłumacz mi to wszystko – zwróciła się do mnie, ignorując zbitego z tropu Meksykanina.

Jose zamarł z ręką w pół gestu, przez chwilę nie wiedział co z nią zrobić, w końcu starł z ust i brody kropelki śliny i umilkł wpatrując się we mnie z oczekiwaniem. Stał tak mnąc w ręku czapkę z napisem „Chicago Bulls” i nie kryjąc rozbawienia słuchał mojego niezdarne angielskiego.

– Powiedz mu – krzychała do mnie Hazel, jakby Meksykanin był jeszcze do tego wszystkiego głuchy – żeby przyciął krzaki róż!

– Właśnie mówiłem przed chwilą, że je przyciąłem – wyseplenił ogrodnik na tyle wyraźnie, że zrozumiałam.

– Co on mówi? – denerwowała się babcia.

– Mówi, że właśnie przyciął! – teraz i ja krzychałam.

Tymczasem Jose, zachęcony wyraźnym powodzeniem swojego przemówienia, zaczął wygłaszać następne. Sądząc z tonu głosu, gestykulacji i natarczywego spojrzenia komiwojażera,

była to jakaś propozycja nie do odrzucenia. O ile dobrze zrozumiałam z pojedynczych, wyraźniejszych niż inne słów, chciał posadzić nowe krzewy pod domem.

Hazel wpatrywała się w niego przez chwilę z natężeniem, w końcu machnęła zniecierpliwioną ręką.

– Cokolwiek on tam mówi, powiedz, że się nie zgadzam – zwróciła się do mnie.

Wyjęła swoją książeczkę czekową i zaczęła wypisywać czek, mrużąc gniewnie pod nosem:

– Każdy by tylko wyciągał ode mnie pieniądze. Nie dam ani centa więcej!

Kiedy, parę dni później odwiedził ją adwokat w sprawie testamentu, poprosiła mnie z samego rana do swojego pokoju.

– Tylko żebyś przy mnie była, jak on tu przyjdzie. Ktoś przecież będzie mi musiał tłumaczyć...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Hazel nie miała już żadnej bliskiej rodziny, oprócz dwóch bratanic jej zmarłego męża. To one dziedziczyły wszystko po śmierci babci i sądząc z ich zachowania, nie mogły się tego doczekać.

Przez jakiś czas jedna z nich wypisywała czeki dla opiekunek. Kiedy jednak okazało się, że z konta w podejrzanym sposób znikają pieniądze, Hazel „odciążyła” pazerną krewną i sama zaczęła nim rozporządzać. Miała swojego pełnomocnika w banku i radziła sobie zupełnie nieźle.

Raz na jakiś czas wzywała prawnika do domu i w zależności od nastroju zmieniała zapisy w testamencie, najczęściej na niekorzyść którejś z bratanic.

Teraz najwyraźniej nadeszła taka chwila i babcia, zdenerwowana, w świeżej piżamie i takiej samej pościeli, czekała na zapowiedzianą wizytę.

Na szczęście udało mi się, choć nie bez trudu, wyperswadować jej pomysł z zatrudnienia mnie jako tłumacza z nienagannego amerykańskiego prawnika na mój pozostawiający wiele do życzenia język, do którego Hazel zdążyła się już przyzwyczać.

Kiedy wreszcie przyszedł, zostawiłam ich samych w pokoju i poszłam posiedzieć sobie na werandzie przed domem.

Dzień był wyjątkowo piękny, ciepły i słoneczny. Patrzyłam na uwijające się w gałęziach drzew ptaki, na szare wiewiórki podchodzące całkiem blisko do ganku i przyglądające mi się z ciekawością okrągłymi jak paciorki oczkami i poczułam błogie rozleniwienie. Kostki lodu przyjemnie dzwięczały w szklance z sokiem pomarańczowym.

Przyszło mi do głowy, że mogłabym się już stąd nie ruszać i chętnie zostałabym tu na zawsze gdyby tylko udało mi się sprowadzić dzieci.

W marzeniach widziałam całą moją rodzinę w takim, jak ten domku. Wszyscy byliśmy szczęśliwi i uśmiechnięci, jak na obrazkach ze „Strażnicy”.

Tę idylliczną scenkę przerwał brutalnie głos rozsądku, który zainteresował się nagle, skąd wezmę na to wszystko pieniądze? Jak utrzymam rodzinę z mojej pensji opiekunki, pomijając zupełnie fakt, że chcąc zająć się swoim domem musiałabym zrezygnować z tej pracy i z tego domu.

Zniechęcona odstawiłam pustą szklankę na jeden ze schodków i zupełnie inaczej spojrzałam na otaczający mnie świat. Śpiew ptaków wydał mi się nagle denerwujący, wiewiórki też były jakiegoś nieprawdziwe – co to za pomysł, żeby wiewiórka nie była ruda? Przecież nawet mówi się „ruda jak wiewiórka”...

To wszystko było nieprawdziwe. To było cudze życie, do którego weszłam tylko „na chwilę”.

Te niezbyt miłe rozmyślenia przerwał nagle prawnik, który skończył właśnie naradę z Hazel.

– Miłego dnia Lucy! – uśmiechnął się szeroko, robiąc doskonałą reklamę swojemu dentyście. Ominął zgrabnie stojącą na schodku szklankę po soku pomarańczowym, poklepał się po kieszeni i nagle zamarł w pół kroku. Uśmiech zniknął mu z twarzy tak nagle, jak się przedtem pojawił.

– Znowu zatrzasnąłem kluczyki w samochodzie... – jęknął rozpaczliwie – Trzeci raz w tym tygodniu! Już nie mam odwagi dzwonić na policję.

Usiadł zrezygnowany na schodku obok mnie i oparł głowę na dłoniach. Znałam ten ból, więc tylko westchnęłam współczująco.

– Mogę skorzystać z telefonu? – podniósł się wreszcie ciężko.

– Możesz, oczywiście – uśmiechnęłam się – ale jeśli chcesz, spróbuję ci pomóc.

Umiałam otwierać samochody, a ściślej mówiąc, swój samochód metalową listwą wpychaną za uszczelkę bocznej szyby. Widziałam to wiele razy na filmach, a praktycznie nauczył mnie tej sztuczki czarnoskóry portier jednego z chicagowskich szpitali.

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie zapłakana koleżanka z prośbą, abym przyjechała po nią do szpitala, bo właśnie miała wypadek samochodowy. Jej nic wielkiego się nie stało, ale samochód nadaje się do kasacji.

– Oczywiście, już tam jadę! – krzyknęłam i odłożyłam w pośpiechu słuchawkę.

Kiedy już biegłam do samochodu, uświadomiłam sobie nagle, że nie zdążyłam nawet zapytać, w którym to szpitalu...

Musiałam zdać się więc na intuicję i dedukcję. Wiedziałam, że koleżanka, jako początkujący i niepewny siebie kierowca, nie mogła nigdzie daleko jechać. Powinnam w związku z tym sprawdzić szpitale w najbliższej okolicy. Tak też zrobiłam – podjeżdżałam pod każdy z nich, wbiegałam do recepcji i z obłędem w oku pytałam, czy mają taką pacjentkę.

Za trzecim, czy czwartym razem, coraz bardziej zdenerwowana, zostawiłam samochód na podjeździe kolejnego szpitala, żeby po chwili znów wrócić z niczym.

Układając w myślach plan dalszych poszukiwań podeszłam do drzwi mojego buicka i wyciągnęłam rękę do klamki. W pewnej chwili usłyszałam szum silnika. Obejrzałam się za siebie i ze zdziwieniem stwierdziłam, że w pobliżu nie ma żadnego innego pojazdu.

Powoli zaczęła do mnie docierać straszna prawda – mój kochany samochodzik stał na jałowym biegu, a kluczyki zwiisały wdzięcznie ze stacyjki, kołysząc się delikatnie w rytm drgań silnika.

Zatrzaśnięcie kluczyków w samochodzie to temat koszmarnych snów niemal każdego kierowcy w Ameryce.

Wbiegłam z powrotem do recepcji, prosząc portiera o pomoc. Wysoki czarnoskóry mężczyzna wzruszył tylko ramionami.

– Nic się nie da zrobić, musimy dzwonić na policję. Kłopot tylko w tym, że dostaniesz jeszcze mandat za nieprawidłowe parkowanie. Żeby nie było żadnych wątpliwości, wjechałaś prawie na znak zakazu parkowania – dokończył ze śmiechem.

Ale mnie wcale nie było do śmiechu. Obliczyłam sobie szybko, ile będzie mnie kosztować otwarcie samochodu plus mandat. Wynik dobił mnie ostatecznie.

Obraz nędzy i rozpaczony był chyba sielskim obrazkiem w porównaniu z tym, co przedstawiałam sobą w tamtej chwili.

Portier przyglądał mi się przez moment z groźną miną, w końcu rysy mu zmiękły.

– Chodź, pomogę ci – powiedział wreszcie i sięgając za kontuar wyciągnął długą, metalową listwę.

Przyglądałam się uważnie jak wsuwał ją za uszczelkę bocznej szyby, a później z wyrazem skupienia na twarzy usiłował trafić nią na mechanizm zamka w drzwiach. Po kilku nieudanych próbach usłyszeliśmy oboje cichutkie kliknięcie i samochód był już otwarty.

Ucałowałam zaskoczony dryblas w oba policzki i z ulgą usiadłam za kierownicą. Znalazłam w końcu koleżankę, w następnym szpitalu. Jak zwykle przesadzała – nie miała nawet zadrapania, a jej ruina nosząca dumne miano samochodu, jeszcze przed stłuczką nadawała się do kasacji.

Od tego dnia jeszcze parę razy zdarzyło mi się zatrzasnąć kluczyki, ale na szczęście miało to zwykle miejsce pod domem, podczas wypakowywania zakupów. A w domu miałam już „dyżurną listwę”, znaną w warsztacie dziadka.

Teraz też wyjeżdżałam ją z garażu i w ciągu paru minut otworzyłam auto prawnika. Ten stał cały czas obok i z podejrzliwą miną przyglądał się moim poczynaniom.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – nie wytrzymał w końcu.

– Oglądając telewizję – roześmiałam się – Bardzo fajne, instruktażowe filmy puszczają tu u was.

Wyglądało na to, że tym razem zapis był mniej korzystny dla Jane, młodszej z sióstr, bo nazajutrz po wizycie prawnika zgłosiła telefonicznie chęć odwiedzenia „kochanej cioci”.

– Patrz jej cały czas na ręce – gderła niezadowolona babcia. – To wszystko i tak będzie kiedyś należało do nich, ale nie chcę, żeby jakikolwiek drobiazg został stąd zabrany przed moją śmiercią.

Widywałam już otyłe Amerykanki, ale widok Jane sprawił mnie w osłupienie. Figura młodej, niebrzydkiej kobiety przypominała posąg Buddy. Nienaturalnie rozdęty brzuch i grube uda wydawały się jeszcze grubsze w jasno-żółtych spodniach od dresu. Podbrzusze zwiślało w postaci trzęsącego się przy każdym ruchu wałka, który zakrywał uda niemal do połowy.

Wcisnęła się bokiem w drzwi wejściowe, za nią wszedł mąż i dwójka dzieci w wieku szkolnym. Mąż, przystojny, znudzony mężczyzna skinął mi niedbale głową, nie przestając się rozglądać po salonie z miną właściciela. Dzieci w ogóle nie zwróciły uwagi na „personel”, czyli na moją skromną osobę. Dobrze, że się odsunęłam, bo przeszły by przeze mnie jak przez zjawę.

Nie podobały mi się te odwiedziny. Nie tylko dlatego, że zostałam potraktowana jak człowiek gorszej kategorii, ale ponieważ według mnie Jane była najwyraźniej chora. Zachrypnięty głos, zażawione od gorączki oczy i kichanie mówiły same za siebie.

– Nie powinnaś wchodzić do jej pokoju – wyraziłam na głos swoje obawy – Hazel jest słaba i mało odporna, możesz ją zarazić.

– Nie przesadzaj moja droga – powiedziała protekcyjnie – lepiej będzie, jak zajmiesz się swoimi obowiązkami.

– To właśnie jest jeden z moich obowiązków, dbanie o zdrowie podopiecznej – rzuciłam w przestrzeń, ponieważ moja pełna godności odpowiedź nie znalazła już żadnego słuchacza; rodzinka Potwornickich hurmem rzuciła się do pokoju Hazel.

Rozmyślnie nie poczęstowałam ich niczym, w końcu to nie był mój obowiązek. Zgodnie z poleceniem pilnowałam tylko tych swoich, a jednym z nich było patrzenie im na ręce.

Jane w końcu sama poszła do kuchni przygotować kawę, a ja chodziłam za nią krok w krok. Widziałam, że ją to złości, ale udawałam tak głupią, za jaką mnie miała.

Była to prawdziwa wzajemna antypatia od pierwszego wejrzenia, powietrze wręcz iskrzyło kiedy przebywałyśmy w jednym pomieszczeniu.

Hazel przyzwyczajona do ciszy i spokoju źle znosiła takie wizyty. Kiedy już wreszcie się wynieśli była zupełnie wykończona.

– Przynies mi mokrą szmatkę – poprosiła zmęczonym głosem – Obsłiniłi mnie wszyscy dokładnie, chociaż wiedzą, że nie znoszę takich czułości.

Przykryłam ją po sam nos i przewietrzyłam szybko pokój, wierząc, że wraz z zapachem potu i nieświeżych skarpet pozbędę się również zarazków.

Niestety. Już na drugi dzień było jasne, że babcia złapała infekcję od Jane. Zaczęło się od kichania, pod wieczór przyszedł kaszel, który nasilał się w miarę upływu czasu.

Rano, mimo podanej poprzedniego wieczoru aspiryny i herbatki z lipy, jej stan się pogorszył.

Zadzwoiłam więc do lekarza, ale jak się okazało nie miał on zwyczaju przyjeżdżać do pacjenta z wizytą domową.

– Proszę przywieźć pacjentkę do nas – poradziła mi pani sekretarka przez telefon.

– Babcia ma prawie dziewięćdziesiąt lat, waży czterdzieści kilo i od dawna już nie wychodzi z domu – próbowałam tłumaczyć bezdusznej urzędniczce – przecież jej tylko zaszkodzi takim wyjazdem!

– Przykro mi, ale doktor nie jeździ z wizytami domowymi – przerwała mi sucho.

Próbowałam jeszcze dzwonić do innych lekarzy, ale z takim samym skutkiem. Mówiono mi, że skoro babcia ma swojego doktora, to tylko on może przyjechać. Nikt nie umiał mi odpowiedzieć na pytanie, co wtedy, gdy on nie chce przyjechać.

Następnej nocy Hazel kaszłała tak, że żadna z nas nie mogła spać. Zdesperowana zadzwoniłam znowu, mówiąc, iż według mojego rozeznania zaczyna się już zapalenie płuc.

Pani sekretarka wprawdzie niechętnie, ale w końcu obiecała wizytę lekarską po południu.

Hazel miała temperaturę i kaszłała już przy każdym niemal oddechu. Lekarz nie przyjechał.

Z samego rana zadzwoniłam znowu. Pani przerwała w połowie moje wywody i powiedziała obojętnym tonem:

– Nie wiem, dlaczego lekarz nie przyjechał wczoraj. Dzisiaj też nie przyjedzie, bo jest środa, a w środy gabinet jest nieczynny.

– Ty cholerna, wredna krowo! – krzyknęłam po polsku do głuchej słuchawki, bo pani właśnie się rozłączyła. Siedziałam z telefonem na kolanach i klęłam w bezsilnej złości jak szewc.

Hazel kaszłała w drugim pokoju.

Sięgnęłam po książkę telefoniczną i w wykazie lekarzy szukałam polskich nazwisk. Pomijałam imiona, które sugerowały, że ich właściciel może być człowiekiem starszym, czyli na tyle zamerykanizowanym, żeby zdażyć już zapomnieć, co znaczy „słowiańska dusza”.

Już kiedyś na takiego trafiłam, usiłując spełnić prośbę starszej sąsiadki z Polski. Pani ta straciła kontakt z córką przed laty, wiedziała tylko, że ta mieszka w Chicago. Nie wiedziałam jak się za to zabrać, postanowiłam więc zadzwonić do popularnego polskiego radia, którego właściciel, znany szeroko człowiek, „służył radą i pomocą rodakom”

Przedstawiłam mu swoją sprawę, sugerując, że może by tak nadać wiadomość dla tej pani podczas jednej z codziennych audycji.

– Bardzo chciałabym jakoś pomóc tej staruszce – zakończyłam swoje wzruszające wywody.

– A, to jest już wyłącznie twój problem – powiedział wyniosłe „służący radą i pomocą” właściciel radiostacji i odłożył słuchawkę bez słowa wyjaśnienia.

Żadnych tam: „nie nadajemy takich komunikatów w naszym radiu” lub „proszę spróbować w...”, jak by to pewnie miało miejsce w Polsce. Nic z tych rzeczy – trach, odłożona słuchawka!

Dlatego teraz szukałam kogoś młodego. Nie wiem jak, ale udało mi się to za pierwszym podejściem.

– Czy mówi pan po polsku? – spytałam na wstępie, gdy ku swojej uldze usłyszałam w słuchawce głos młodego mężczyzny. Potwierdził, więc od razu wytoczyłam najcięższe działo

– Jeśli Polak mi nie pomoże, to już na nikogo nie mogę liczyć w tej cholernej Ameryce!

Przyjechał wieczorem, zaraz po swoich godzinach przyjmowania w gabinecie.

– Czy to jest pani rodzona babcia? – spytał, kiedy opowiedziałam mu całą historię choroby.

– Nie, to moja amerykańska babcia, ale też potrzebuje pomocy – rozżłościłam się.

– Proszę się nie gniewać – uśmiech miał sympatyczny – ale rzadko się zdarza, żeby dzwoniła opiekunka, zwykle jest to zadanie rodziny.

Wyjaśniłam mu, że rodzina Hazel na wieść o jej chorobie zaczęłaby się raczej rozglądać za jakimś tanim zakładem pogrzebowym, a nie za lekarzem. Podzieliłam się też z nim podejrzeniami, że moim zdaniem specjalnie przywlekli tu tego wirusa, aby w końcu dobić oporną „kochaną ciocię” Przecież im dłużej żyła, tym bardziej topniały pieniądze na jej koncie.

Sympatyczny Polak nie miał dla mnie dobrych wieści.

– Niestety – pokręcił zasmucony głową – pani obawy się potwierdziły, babcia ma zapalenie płuc. Zdaje pani sobie sprawę, co to oznacza w jej wieku? – spytał wypisując receptę. Chwilę się nad czymś zastanawiał, wreszcie podał mi ją z westchnieniem.

– Możemy spróbować wkroczyć z antybiotykiem, ale moim zdaniem ona do rana umrze. Zobowiązał się sam zawiadomić rodzinę Hazel, żebym nie miała później żadnych kłopotów i zostawił swój domowy telefon.

– Proszę się jutro odezwać, przyjadę wypisać akt zgonu – powiedział na odchodne.

W aptece okazało się, że nie przyjmują czeków, a my nie miałyśmy w domu żadnej gotówki. Zdesperowana zadzwoniłam do naszego miłego lekarza, a on dał mi adres swoich rodziców.

– Może pani powołać się na mnie, mama z pewnością pożyczy te pieniądze – mówił to tak po prostu, jakbyśmy się znali od lat.

Pamiętam tyle niepotrzebnych imion i nazwisk, tyle twarzy – a zupełnie nie pamiętam dzisiaj, jak ten wspaniały człowiek się nazywał, ani nawet jak wyglądał.

Podawałam Hazel antybiotyk co trzy godziny przez całą noc. Specjalnie nastawiałam sobie w tym celu budzik. Muszę przyznać, że lekarz dość skutecznie pozbawił mnie złudzeń, co do pomyślności kuracji, ale postanowiłam wykorzystać naszą szansę do końca. Ułożyłam babcię wysoko na poduszce, żeby się nie dusiła, oklepywałam jej plecy za każdym podaniem lekarstwa, a ona z anielską cierpliwością znosiła wszystkie te zabiegi. Gdy wracałam do swojego pokoju, aby odpocząć przed kolejną turą, kaszel informował mnie, że staruszka jeszcze żyje.

Postanowiłam z samego rana zacząć dzwonić po wszystkich agencjach w poszukiwaniu nowej pracy. Żał mi było tego miejsca, nie miałam jednak wyboru.

Rankiem jednak odniosłam wrażenie, że Hazel jest mniej szara na twarzy i jakby lepiej oddycha.

– Jeszcze żyje – poinformowałam lekarza, który nie czekając na mój telefon, zadzwonił pierwszy.

Chwilę później odezwała się podekscytowana Jane.

– Dowiedziałam się właśnie, że kochana ciocia jest umierająca? Byłam przewrażliwiona, albo rzeczywiście w jej głosie usłyszałam cichutką nadzieję.

– Owszem, jest umierająca – odparłam zimno – ale jeszcze nie umarła.

Dzwoniła codziennie i coraz trudniej jej było ukryć rosnące zniecierpliwienie, gdy radośnie oznajmiałam, że „Hazel ma się coraz lepiej” I tak było naprawdę – babcia, która w ciągu całego swojego życia brała niewiele leków, zareagowała niemal natychmiast na antybiotyk. Lekarz też nie mógł uwierzyć w moje słowa; przyjechał po kilku dniach, zupełnie prywatnie, żeby zobaczyć to na własne oczy.

Zastał ją siedzącą w świeżej pościeli i takiej samej piżamie, czytającą z zainteresowaniem „Chicago Tribune”.

– Jak ty to zrobiłaś, Hazel? – spytał w końcu z niedowierzaniem, chowając stetoskop do torby.

Babcia przez chwilę układała starannie brzeg prześcieradła, przekrzywiając w charakterystyczny sposób głowę i sprawiała wrażenie, jakby zupełnie nie słyszała pytania. W końcu, zadowolona ze swojej pracy przejechała jeszcze raz ręką po gładziutkim materiale i powiedziała spokojnie:

– Obiecałam Lucy, że nie umrę, dopóki ona nie wyjedzie z Ameryki.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Stałam cichutko w pomieszczeniu przypominającym toaletę w szpitalu, a w szparze pod drzwiami widziałam przesuwającą się miotłę z mokrą szmatą. Osoba, która mnie tam zaprowadziła w największej tajemnicy, miała mi do przekazania coś niezwykle ważnego. Przemieszczała się jednak tak szybko z miejsca na miejsce, że trudno mi było cokolwiek zrozumieć.

– Przystań się w końcu tak kręcić, bo nic nie słyszysz! – szepnęłam zniecierpliwiona.

Dźwięk budzika wyrwał mnie gwałtownie ze snu. Jeszcze przez chwilę leżałam nie otwierając oczu i usiłowałam sobie przypomnieć, z kim rozmawiałam w tym dziwnym miejscu. I nagle dotarło do mnie, że to była... mucha. Ogromna mucha, która latała nad moją głową i siadała coraz to w innym miejscu na ścianie. Nic dziwnego, że nie mogłam usłyszeć, co mówi...

Oczywiście, opowiedziałam swój sen Hazel, zaraz po śniadaniu.

– No nie! – roześmiała się, patrząc na mnie z rozbawieniem – Ty chyba zaczynasz wariować.

– Jeszcze mi nie giną dni tygodnia – udałam urażoną, ale nie umiałam zbyt długo utrzymać należytej powagi. Byłyśmy w doskonałych nastrojach, cieszyłyśmy się z jej ozdrowienia i z tego, że problemy mamy już za sobą.

Niestety, prawdziwe kłopoty dopiero miały się zacząć.

– To już ostatni czek z tego konta – powiedziała Hazel pod koniec tygodnia, wrywając zapisany blankiet ze swojej książeczki czekowej i podając mi go z uśmiechem. Źródło, z którego czerpała pieniądze na moją pensję, właśnie się wyczerpało.

– Ale nie martw się – dodała szybko – mam jeszcze inne konto, tyle tylko, że aby je odblokować muszę zerwać umowę.

Przez chwilę się zamyśliła, w końcu wzruszyła z rezygnacją ramionami.

– Trudno, nie mamy innego wyjścia. W końcu są to moje pieniądze i moja sprawa, co z nimi zrobię.

Pełnomocnik, do którego zadzwoniła jeszcze tego samego dnia, był sceptycznie nastawiony do jej pomysłu. Przypomniwał, że sporo traci.

– Konto jest terminowe – powiedział – Stracisz odsetki i trzeba będzie zapłacić karę za zerwanie umowy.

– Wiem – Hazel była spokojna i stanowcza – ale nie zrywając jej tracę jeszcze więcej. Z samej emerytury nie będę w stanie utrzymać ani domu, ani opiekunki; będę musiała pójść do domu starców, a tego akurat chciałabym uniknąć. Na tym nie ruszonym koncie skorzystają tylko moje spadkobierczynie i nie widzę powodu dla którego miałabym teraz dbać o ich interesy. To są jeszcze moje pieniądze i to właśnie mnie potrzebne są w tej chwili.

Argumentacja była logiczna, z podziwem słuchałam jak ta prawie dziewięćdziesięcioletnia starszka radzi sobie z trudnym w końcu problemem. Prawnik obiecał, że zrobi wszystko „co tylko w jego mocy”, więc byłyśmy zupełnie spokojne.

Czułam się trochę dziwnie, kiedy w piątek nie dostałam wypłaty, ale babcia uspokoiła mnie, że konto lada chwila zostanie odblokowane i zaległości zostaną mi wypłacone co do centa.

Tymczasem zadzwonił prawnik z wiadomością, że pojawiły się pewne kłopoty, ale on „stanie na głowie”, żeby sprawę załatwić pomyślnie.

„Pewne kłopoty”, które się właśnie pojawiły miały z pewnością na imię Jane i Beverly, czyli zaniepokojone spadkobierczynie. Dowiedziały się, że konto na które liczyły, ma być właśnie naruszone. Pełnomocnik Hazel znalazł się nagle między młotem a kowadłem i rzeczywiście musiał biedaczek stawać na głowie. Z jednej strony chciał dbać o interesy swojej klientki, która już dawno powinna była umrzeć i nie komplikować ludziom życia, z drugiej

zaś był chyba osobiście zainteresowany nie naruszaniem tego konta. Wyglądało na to, że krewne Hazel miały większy dar przekonywania, niż ona sama.

Na razie jednak nie przejmowałam się tym zbyt – babcia była spokojna, więc i ja nie widziałam powodu do wpadania w panikę. Prosiła tylko, żeby ani słowem nie wspominać nikomu o naszych kłopotach i pod żadnym pozorem nie prosić Jane o interwencję. Miałam udawać, że zupełnie nie przejmujemy się chwilowymi kłopotami.

Dlatego też zachowywałam się jak zwykle i gdy ta zadzwoniła po paru dniach z pytaniem „co słyhać?” – odpowiedziałam radośnie, że „wszystko w porządku”

Tymczasem w domku obok również mieli kłopoty. Po odejściu Zośki sąsiadka bezskutecznie poszukiwała kogoś na jej miejsce. W końcu, dostosowując się do sytuacji, zmieniła część swoich wymagań i tak w miejsce „świetna znajomość angielskiego” zgodziła się na „minimalny angielski”

Zgłosiła się Marysia, koleżanka, której tak szukałam kiedyś po wszystkich szpitalach. Doszła do wniosku, że tylko praca opiekunki pozwoli jej wreszcie zrealizować swój plan. A był on następujący: zarobić jak najszybciej pieniądze i wracać do domu.

Pamiętam jak przyjechała kilka miesięcy wcześniej i zaciągając się z lubością papierosem powiedziała lekko zblazowanym tonem: – Nie wiem, co wy tu tak długo robicie [niektórzy z nas byli w Ameryce już drugi rok] Ja zakładam, że po pół roku będę już mogła się związać z powrotem. Przez ten czas można przecież odłożyć kupę pieniędzy!

Życzyliśmy jej szczęścia, ale chyba niezbyt serdecznie, bo tego szczęścia jednak jej brakowało. Bez znajomości angielskiego trudno było o dobrze płatną pracę. Jedyne co w takiej sytuacji pozostawało, to tylko sprzątanie domków na przedmieściach. Kłopot w tym, że za zarobione pieniądze trzeba było się jeszcze utrzymać i wynająć mieszkanie. Marysia dość prędko się przekonała, iż nie tędy wiedzie droga do szybkiego zdobycia majątku.

Praca przy sparaliżowanym dziadku, który był zupełnie „bez kontaktu” nie wymagała znajomości języka, jednak pozostawała kwestia porozumiewania się z jego żoną. I tu okazało się, że ten „minimalny angielski” powinien być rzeczywiście chociaż minimalny. Marysia jednak mimo kilku spędzonych tu miesięcy nie nauczyła się go wcale pracując w środowisku samych tylko Polaków. Miałam więc po kilka telefonów dziennie od zdenerwowanej sąsiadki z prośbą o przetłumaczenie polecenia nic nie rozumiejącej opiekunce.

– Uśmiecha się i kiwa głową przy każdym moim zdaniu, a robi wszystko dokładnie na odwrót! – złościła się staruszka.

Marysia też była tak zestresowana, że przychodząc do mnie w odwiedziny odpalała, trzęsącymi się rękami, papierosa od papierosa. Siadałyśmy przed domkiem na składanych krzesłkach wyciągniętych ze schowka na sprzęt ogrodowy.

– Staraj się zapamiętać choć niektóre z jej poleceń, przecież prawie zawsze prosi o to samo. Ileż tam może być możliwości? Możemy spisać na kartce niektóre z nich i nauczysz się tego na pamięć.

Przekonywałam ją, że to nie takie trudne i musi jakoś przetrwać ten najgorszy okres. Szkoda byłoby takiej pracy; spokojna i dobrze płatna, a pensja była nawet wyższa, niż moja u Hazel. Co prawda pielęgnacja skurczonego w pozycji płodowej dziadka nie należała do przyjemności, ale w końcu właśnie za tę uciążliwość były większe pieniądze. I można tam było wytrzymać, skoro dawała sobie radę Iwona, a później Zośka, zanim nie odeszła ze Stasiem.

Marysia poweselała trochę.

– Jasne – przytaknęła mi z nową energią wgniatając niedopałek w trawę – Przecież to nie może być takie trudne, sroce z pod ogona nie wypadłam.

Po paru dniach przyszła do mnie zapłakana, z walizką w ręce.

– Wróciłam ze spaceru i zastałam swoje rzeczy pod drzwiami – powiedziała rozżalona.

Byłam oburzona takim postępowaniem sąsiadki.

– Jak to, tak bez słowa wystawiła twoje walizki? Nic wcześniej nie mówiła?

– Nic tego nie zapowiadało – Marysia głośno wytarła nos i osuszyła oczy – Dzisiaj była nawet w wyjątkowo dobrym humorze. Nie czepiała się jak zwykle, a kiedy powiedziałam, że wychodzę, życzyła mi miłego spaceru.

– Jesteś pewna, że tak właśnie mówiła? – popatrzyłam na nią badawczo, bo zaczęło mi kielkować w głowie pewne podejrzenie.

– W końcu coś tam z tego angielskiego rozumiem – koleżanka gotowa się była na mnie obrazić.

Zadzwoiłam do sąsiadki z prośbą o wytłumaczenie, o co tu w tym wszystkim chodzi.

– Wybacz Lucy, ale nie miałam już do niej cierpliwości – wyjaśniła – To jest miła dziewczyna, ale zupełnie nie nadaje się na opiekunkę. Mojemu mężowi trzeba od czasu do czasu zmieniać pozycje, żeby nie porobiły się odleżyny. Staralam się jej to tłumaczyć od samego początku, ale bez rezultatu. Z uporem sadzała go tylko w fotelu, w pozycji w jakiej zastała go pierwszego dnia. Niestety już ma odleżyny, a ja sama nie mam siły go podnosić – w końcu za to płacę opiekunkom. Dzisiaj wieczorem agentka ma mi przysłać kogoś innego. Powiedziałam jej o tym przy obiedzie, zanim wyszła na spacer, ale ona jak zwykle kiwała tylko głową i uśmiechała się. Nie sądzę, żeby cokolwiek z tego zrozumiała. Uznałam więc, że wystawienie jej rzeczy za drzwi nie będzie wymagało tłumaczenia. Przykro mi, ale nie miałam innego wyjścia. W bocznej kieszeni walizki jest czek za przepracowane dni i niech ona mi się już tu nie pokazuje.

Na miejsce Marysi przyszła bardzo kulturalna i miła pani po pięćdziesiątce, jednak ona również nie umiała się porozumieć z żoną dziadka. Bariera językowa okazała się nie do pokonania. Pani zrezygnowała sama, po tygodniu.

– Mam dość Ameryki – powiedziała rozgoryczona na pożegnanie – Nic dobrego mnie tu nie spotkało. Wracam do Polski, tam jest moje miejsce, tam mam swoją rentę i święty spokój. Nie będę nikomu usługiwać za te parę dolarów. Jestem już za stara, żeby uczyć się języka, a sprzątać cudzych domów nie zamierzam.

Agentka miała spore kłopoty ze znalezieniem kogokolwiek na to miejsce, ponieważ sąsiadka kategorycznie żądała już osoby z dobrą znajomością angielskiego. Staruszka sama zajmowała się mężem przez jakiś czas, aż w końcu dziadek wykazując duże zrozumienie dla jej kłopotów, zmarł sobie cichutko podczas snu.

Ukryłam ten fakt przed Hazel, która i bez tego miała się czym martwić – mijał kolejny tydzień, a pełnomocnik jakby się zapadł pod ziemię. Zaczynałam się już poważnie niepokoić, ale babcia była uosobieniem spokoju.

– Jeśli nie odezwie się do poniedziałku, sama do niego zadzwonię – zdecydowała.

Minął jednak poniedziałek, potem wtorek i środa, a my nie miałyśmy żadnych wieści, ani dobrych, ani złych. Co gorsza, pełnomocnik okazał się być zupełnie nieuchwytny. Albo „właśnie wyszedł” albo miał „ważną konferencję” – zawsze jednak był „na dobrej drodze do załatwienia sprawy”. Już po paru takich dniach stało się jasne, że człowiek ten robi uniki i sprawa odblokowania konta stoi pod dużym znakiem zapytania.

Tymczasem Hazel oznajmiła mi, że nie ma już na cotygodniowe zakupy. Widziałam, jak powoli zaczyna się załamywać. W takiej sytuacji nie miałam odwagi pytać, co z jej rentą. Przecież te świadczenia powinna była dostawać regularnie i nie miało to żadnego związku z zablokowanym kontem terminowym. Ale najwyraźniej, z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów, nie chciała ruszać tych pieniędzy.

Z bardzo dziwnym uczuciem pojechałam do banku, żeby wypłacić ze swojego konta sumę potrzebną na zakupy. W końcu coś musiałyśmy jeść. Zaczęłam też poważnie zastanawiać się nad zmianą pracy. Kłopot zaczynał się w chwili, gdy w swoich rozmyślaniach dochodziłam do: „Zostawiam Hazel samą i ...” No właśnie. I co dalej? Co się z nią stanie, gdy tak po prostu sobie odejdę? Kto przyjdzie na moje miejsce, skoro babcia nie ma już czym płacić?

Naprawdę nie wiedziałam, jak się zachować w tej sytuacji. Rozsądek nakazywał mi pilnować swoich spraw – zbliżał się termin powrotu do domu i nie mogłam sobie pozwolić na straty – ale nie miałam też odwagi podjąć decyzji o odejściu. Starłam się nie zauważać jej coraz to bardziej zalęknionych spojrzeń, gdy wchodziłam rano do pokoju. Z pewnością czuła te moje zmagania z samą sobą i każdego dnia spodziewała się usłyszeć, że odchodzę. A ja, chociaż dziesiątki razy chciałam tak zrobić, nie umiałam jej tego powiedzieć.

W końcu postanowiłam zdać się na los. Zrozumiałam, że pełnomocnik za namową krewnych Hazel postanowił wziąć babcię „na przetrzymanie”. Liczyli na to, że będzie zmuszona pójść do domu starców nie mając już pieniędzy ani na życie, ani na opłacanie opiekunki. Z pewnością też czekali niecierpliwie, że w końcu wykażę na tyle zdrowego rozsądku, żeby poszukać sobie innej pracy.

Ale ja nie miałam zamiaru nikomu ułatwiać życia, a już na pewno nie Jane. Powiedziałam Hazel, że zostanę z nią tak długo, jak tylko to będzie możliwe.

– Zobaczmy jeszcze, kto kogo przetrzyma – zaśmiałam się wojowniczo – Niech się zastanawiają dlaczego jeszcze nie odeszłam. Może mi się to w końcu nie opłaci, ale co im napuszę nerwów, to moje!

Tymczasem, żeby nie myśleć o kłopotach, postanowiłam wybrać się z Tadeuszem do parku rozrywki „Great America” w sąsiednim stanie Wisconsin. Poprosiłam Marysię, która nie miała jeszcze pracy, o zastępstwo przy Hazel. Obiecałam jej swoją dniówkę – strata paru dolarów w sytuacji, gdy straciłam znacznie więcej przez ostatnie parę tygodni już mnie nie przerażała. Musiałam się trochę rozerwać, bo czułam, że zwariuję w tej atmosferze wiecznego oczekiwania. Chciałam skorzystać z ostatnich ciepłych dni tej jesieni i coś jeszcze zobaczyć w Ameryce, oprócz czterech ścian domów moich babć. Wprawdzie udało mi się zwiedzić Chicago z Ewą a potem z Tadeuszem, ale chciałam więcej.

To był naprawdę bardzo dobry pomysł – bawiliśmy się jak dzieci. Zjazd po torze bobslejowym, gdzie miałam wrażenie, że zostanę wyrzucona w powietrze na każdym zakręcie, przeprawa pontonem po wzburzonej „rzece” pod wodospadem – to tylko kilka z wielu atrakcji, jakie tam na nas czekały. Po zejściu z pontonu miałam tak mokrą sukienkę, że musiałam ją wyżywać na sobie. Dopiero na wywołanych później zdjęciach zauważyłam, że cieniutki, mokry materiał tak dokładnie przylegał do mojego ciała, że bardziej przyzwoicie wyglądałabym nago...

Najgorsza była zwariowana kolejka górską „American Eagle”. Na samo wspomnienie tego piekielnego urządzenia jeszcze dzisiaj boli mnie głowa. Ażurowa, metalowa konstrukcja wyglądała z daleka jak wzburzone morze z wysokimi, zastygłymi falami. Po ich grzbietach wspinały się małe wagoniki, które po osiągnięciu szczytu, spadały nagle z wysokości czterdziestu metrów z szybkością stu kilometrów na godzinę.

Gdybym to wszystko wiedziała wcześniej, nigdy w życiu bym tam nie wsiadła. Ale nie wiedziałam i uśmiechnięta i zadowolona weszłam do wagonika, razem z zachwyconym Tadeuszem.

Najpierw jechaliśmy wolniutko w górę i podziwialiśmy widoki. Wszystkie urządzenia ogromnego wesołego miasteczka wyglądały z tej wysokości jak zabawki dla dzieci. Dotarliśmy na szczyt, wagonik zatrzymał się na chwilę – i nagle, bez żadnego ostrzeżenia runął w dół. Trwało to tak krótko, że mój uśmiech, z którym wjeżdżałam na górę, jeszcze trzepotał gdzieś tam przerażony, podczas gdy ja dawno już byłam na dole. Szaleńczy pęd powietrza zdmuchnął mi go po prostu z twarzy.

Jeszcze przez jakiś czas nasz wagonik pędził z ogromnym przyspieszeniem po szynach, raz w górę, raz w dół, to znów zakosami. Nic nie widziałam, wszystko dookoła rozmywało mi się w jedną barwną smugę. Bałam się odwrócić głowę w bok, żeby mi się nie oderwała od tułowia. Czułam tylko, że jestem szarpana na boki a jakaś siła chce mnie wyrzucić z wagoni-

ka w górę, żeby po chwili znów wgnieść w siedzenie. Jeszcze nigdy nie byłam tak sponiewierana i to za własne pieniądze.

Kiedy dojechalśmy wreszcie do końca trasy, mój mózg pływał jeszcze bezwładnie, objając się boleśnie o wnętrze czaszki. Rozpłakałam się i obraziłam na Tadeusza, że mnie namówił na tę jazdę. Gdybym wiedziała w którą stronę, to pewnie poszłabym do samochodu i wróciła do domu.

Póki co, stałam nieruchomo w miejscu i bezskutecznie starałam się skupić spojrzenie w jednym, nie ruszającym się punkcie. Oczywiście nie znalazłam zrozumienia u Tadeusza, który przestał się w końcu kołysać w moim polu widzenia – był tak zachwycony jazdą, że miał ochotę ją powtórzyć...

Humor poprawił mi się dopiero na występach rosyjskiego zespołu tanecznego, wprawdzie głośna muzyka drażniła mnie jeszcze trochę, ale szybko dałam się porwać zabawie.

Wieczorem, w całkiem już dobrych nastrojach wróciliśmy do Chicago. Marysia czekała na mnie przed domem, paląc nerwowo papierosa. Nawet nie była ciekawa naszych wrażeń, pożegnała się szybko, wsiadła do swojej „ruiny” i odjechała.

Biedna Hazel, która lubiła sobie pogadać, też nie mogła się doczekać mojego powrotu.

– Ona jest naprawdę bardzo miła – zaczęła ostrożnie – ale ciężko nam się było porozumieć. Nie zostawiaj mnie z nią więcej, proszę.

Jeszcze tylko raz zostawiłam babcię na cały dzień, tym razem z Zośką. Wybraliśmy się z Tadeuszem do Wisconsin na grzyby. Hazel wprawdzie nie mogła zrozumieć, po co wybieramy się tak daleko, skoro można je kupić w sklepie bez problemu, ale przynajmniej nie narzekała po moim powrocie. Zośka miała jednak podejście do starszych osób i umiała się z nimi porozumieć.

Marysia znalazła w końcu pracę przy sprzątaniu domków. Nieznajomość języka nie była tam żadną przeszkodą, wystarczyło umieć parę podstawowych słów, żeby się porozumiewać z Amerykanami. Wynajęła mieszkanie, do spółki z koleżankami w polskiej dzielnicy i usłyszałam kiedyś, jak mówiła wydychając niedbale dym z papierosa:

– Nie jestem wariatką, żeby dać się zamknąć w czterech ścianach z jakąś babką, czy dziadkiem – to dobre dla „psychicznych”.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Dziwne... – Hazel w zamyśleniu odłożyła słuchawkę – mogłabym przysiąc, że słyszałam jego głos w tle, a sekretarka mówi, że właśnie wyszedł na zebranie.

Odebrałam z jej rąk telefon i stałam tak przez chwilę nie wiedząc, co powiedzieć. Mijał właśnie miesiąc, odkąd zaczęły się nasze kłopoty finansowe, a szanse na ich rozwiązanie malały z każdym dniem. Pełnomocnik zupełnie już nieosiągalny, wyraźnie robił uniki i grał na zwłokę.

Babcia otrząsnęła się z zadumy i zmęczonym głosem poprosiła, żebym zostawiła ją na chwilę samą.

– Muszę zastanowić się nad sytuacją – uśmiechnęła się przeproszająco.

Odniosłam telefon do salonu i z rozmachem usiadłam w fotelu nadziewając się niemalże na wystającą sprężynę. Nagły ból otworzył mój wewnętrzny wentyl bezpieczeństwa – wszystkie nagromadzone do tej pory emocje wystrzeliły ze mnie wraz z potokami łez. Siedziałam na podłodze obok fotela i tłukąc w bezsilnej złości w jego oparcie, recytowałam swoją „wiązaną na specjalne okazje”, czyli stek najordynarniejszych przekleństw, jakie kiedykolwiek słyszałam. Te bardziej wulgarne podkreślałam silniejszym uderzeniem pięści.

Trwało to dłuższą chwilę zanim, stopniowo, zaczęłam się uspokajać. Najpierw zabrakło mi przekleństw – te powtarzane po raz kolejny tracą swoją moc i zaczynają być śmieszne – potem łez, a w końcu rozboląła mnie ręka.

„Stanełam obok siebie” na chwilę i to co zobaczyłam zawstydziło mnie trochę. Oto poważna, rozsądna kobieta, matka dzieciom, siedzi na podłodze zaryczana, zasmarkana i klnie jak szewc, obtłukując sobie rękę o fotel.

Zebrałam się z trudem i powlokłam do łazienki. Widok w lustrze potwierdził to, co widziałam „oczyrna duszy” – z całą pewnością nie mogłam się tak pokazać Hazel. Kiedy ciutko przechodziłam obok jej sypialni, widziałam jak z rękami splecionymi na piersi leżała nieruchomo, wpatrując się w sufit. Oznaczało to, że intensywnie myśli.

Przeniosłam się do kuchni, gdzie przygotowałam sobie podwójną porcję lodów z podwójną porcją śmietany.

– A co tam! – machnęłam w myśli ręką – Może to moja ostatnia okazja do tycia?

Lody były pyszne, a zimny pucharek, przykładany do spuchniętych powiek, przyjemnie łagodził pieczenie i swędzenie.

W głębi domu odezwał się nagle telefon. Przez jedną, szczęśliwą chwilę miałam nadzieję, że to pełnomocnik z wiadomością o odblokowaniu konta – niestety, głos w słuchawce należał do kogoś zupełnie obcego.

– Pomyłka, nikt taki tu nie mieszka – poinformowałam beznamiętnym tonem mężczyznę, po wysłuchaniu bardzo przyjaznego powitania. Nie byłam jego „kochaniem”, które miał zamiar uszczęśliwić swoim telefonem.

– Przepraszam... – zmieszał się na chwilę, ale zaraz dodał zaintrygowany – Jesteś Polką?

Zawsze zdradzał mnie wyraźny polski akcent i niezmiennie dziwił mnie fakt, że Amerykanie tak bezbłędnie go rozpoznają.

– Moja babcia była Polką, więc znam ten sposób mówienia – wyjaśnił zaraz. – Czy jesteś taka śliczna, jak wy wszystkie ?

– Nie – roześmiałam się głośno – Jestem jeszcze śliczniejsza!

Zaczynało mnie bawić ta rozmowa. Z przyjemnością oderwałam się od ponurych rozmyślań i smutnej rzeczywistości.

– Czy moglibyśmy się spotkać? – zapytał po krótkiej wymianie zdań, dotyczącej – a jakże by inaczej – moich wrażeń na temat Ameryki. – Chciałbym cię poznać.

Co to, to już nie... Nie miałam najmniejszej ochoty komplikować sobie życia, w którym byłam tylko „na chwilę”. Poza tym obawiałam się konfrontacji – przecudnej urody jestem głównie przez telefon... Zresztą co innego niewinny flirt telefoniczny, a co innego spotkanie.

– Niestety, nie mogę – wycofałam się szybko. – Właśnie gotuję obiad dla męża.

Miałam nadzieję, że go tym zrażę, ale spieszył się tylko na chwilę.

– A więc jesteś mężatką... To nic, i tak chciałbym cię poznać – nie ustępował.

Odstawiłam pusty pucharek po lodach i stukając delikatnie łyżeczką w jego krawędź, zastanawiałam się, jak spławić tego, miłego skądinąd, Amerykanina.

– Ty naprawdę coś gotujesz! – ucieszył się, że go nie okłamuję – słyszę jak coś stuka w kuchni. Mam pomysł, zaprosz mnie na obiad! Uwielbiam polską kuchnię!

Zaczynał być już namolny. Nie chciałam być niegrzeczna i tak po prostu odłożyłam słuchawkę, w końcu niczym specjalnie na to nie zasłużyłam. Tymczasem rozkręcał się coraz bardziej.

– Znam niektóre nazwy polskich potraw: bigos, kapusta, pieroski – z trudem przebrnął przez tę ostatnią nazwę.

– Dobrze – zaświtała mi nagle w głowie pewna myśl – zaproszę cię, jeśli bezbłędnie wymówisz nazwę potrawy, którą właśnie gotuję.

– Na pewno powtórzę – ucieszył się – w końcu, dzięki babci, znam ich trochę!

– Ale obiecujesz, że wtedy mnie zaprosisz?

– Obiecuję.

Chwilę odczekałam dla wzmocnienia efektu, w końcu powiedziałam głośno i wyraźnie: Barszcz z uszkami grzybowymi...

W słuchawce zapanowała cisza, słyszałam tylko jego oddech.

– Wygrałaś! – zaśmiał się w końcu – Nawet nie podejmuję się tego wymawiać!

Kiedy Hazel zawołała mnie do swojego pokoju, miałam naprawdę świetny nastrój. Już nie leżała nieruchomo, siedziała teraz wyprostowana na łóżku i nie patrząc mi w oczy wyglądała wywinęty brzeg prześcieradła.

– Zadzwoń dzisiaj do Jane – zaczęła niepewnym głosem, nadal nie odrywając wzroku od swojej pracy – i poprosz, żeby tu przyjechała.

– Będzie jak zechcesz – wzruszyłam ramionami – tylko co ona nam pomoże? Przecież tylko czeka, żeby cię oddać do domu starców.

– Chyba mnie to w końcu nie minie – spuściła głowę jeszcze niżej. Po chwili podniosła ją gwałtownie i patrząc na mnie z wyzwaniem powiedziała głośno:

– Tak postanowiłam i nie dyskutuj ze mną!

Smutek, bezradność, a w końcu determinacja Hazel były nie do zniesienia. Na nowo ogarnęła mnie złość na los, na bezdusznych urzędników i wyrachowanie Jane.

– Nigdzie nie będę dzwonić – zdecydowałam spokojnie – Jeszcze poczekajmy, może nie wszystko stracone? Może w końcu tego sukinsyna ruszy sumienie?

Babcia uśmiechnęła się smutno.

– Jest jeszcze coś, o czym nie pomyślałaś...

Po długiej przerwie, tak jakby bała się powiedzieć to na głos, dodała:

– W tym miesiącu trzeba zapłacić rachunki za prąd i za telefon, a ja już nie mam żadnych pieniędzy.

O tym rzeczywiście nie pomyślałam! A to już poważny wydatek, zwłaszcza w domu bez gazu, gdzie wszystko było zelektryfikowane. Dochodziło do tego ogrzewanie zimą i klimatyzacja latem.

Teraz to ja nie miałam odwagi spojrzeć babci w oczy.

– Muszę się nad tym zastanowić – powiedziałam cicho i wyszłam z pokoju.

Usiadłam w fotelu przy szerokim oknie w salonie i wpatrywałam się tępym wzrokiem w szybę, po której spływały krople deszczu, tworząc na jej powierzchni skomplikowany wzór.

Cienkie strużki przesuwaly się zakosami, najpierw powoli, jakby szukając właściwego kierunku, potem, łącząc się z innymi pędziły w postaci wąskiego strumyczka z boku szklanej tafli. Świat za oknem dostosował się do mojego smutnego nastroju. Pomyślałam z rezygnacją, że zbliża się kolejna zima, którą muszę jakoś przetrwać zanim wrócę do Polski. Powrót wstępnie zaplanowałam na wiosnę, chcąc zarobić jak najwięcej i wykorzystać swoją szansę do końca. Wyglądało jednak na to, że trzeba będzie zmienić plany.

Ogarnął mnie żal na los, który jak zwykle miał dla mnie jakąś niemiłą niespodziankę. Tak się cieszyłam, że dostałam wizę do Ameryki, a wcale nie było to takie proste. Spośród około setki starających się tego dnia tylko kilkanaście osób nie odeszło z kwitkiem, a ja właśnie byłam między nimi. Marzyłam, że zobaczę kawałek świata, że zarobię pieniądze i dzięki nim odmieni się nasze życie. Brak pieniędzy był moją ciągłą bolączką, zarówno w dzieciństwie, jak i w późniejszych latach. Wbrew powiedzeniu, że „pieniądze szczęścia nie dają”, byłam „w siódmym niebie” widząc, jak moje konto rośnie z miesiąca na miesiąc.

I nagle, zamiast zarabiać – wydawałam. Z każdą wizytą w banku widziałam coraz mniejsze kwoty w rubryce „stan konta”. Musiałam coś z tym zrobić, nie mogłam zaprzepaścić, jedynej może w życiu, szansy danej mi przez los. Jeszcze był czas, żeby się ratować – nikt nie mógł mi zarzucić, że się nie starałam, ale w końcu wszystko ma swoje granice. Muszę zacząć myśleć o sobie i swojej rodzinie.

Postanowiłam odejść od Hazel.

Weszłam do jej pokoju spokojna i pogodzona z losem.

– Zdecydowałam, że... – babcia podniosła na mnie wzrok. Siedziała tak cały czas, sztywno i nieruchomo czekając na moją decyzję. Już wiedziała, widać to było po jej spojrzeniu. Miałam nadzieję, że rozumiała i nie potępiała mnie za to.

– ...Że, że... – zająknęłam się – że zapłacę te rachunki...

Nie mogłam inaczej, cholera nie mogłam! Gdyby jeszcze nie patrzyła na mnie z takim zrozumieniem i z takim smutkiem! Może byłoby mi łatwiej powiedzieć to wszystko przez telefon, ale tak, prosto w oczy, nie potrafiłam.

Hazel drgnęła zaskoczona i przyjrzała mi się uważnie.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz?

– Ja też mam taką nadzieję – nie wytrzymałam i rozplakałam się z żalu i z bezradności.

Trudno, co ma być, to będzie! Przynajmniej bez odrazy będę mogła przeglądać się w lustrze. Postanowiłam zdać się na los i na swoje szczęście, które, jak do tej pory jeszcze mnie nigdy nie opuściło. Wprawdzie odmiana losu przychodziła zwykle niemal w ostatniej chwili, kiedy traciłam już wszelką nadzieję. Ale zawsze jednak przychodziła. Urodziłam się w czepku i wierzyłam w swoją szczęśliwą gwiazdę. A że szczęściu trzeba trochę pomóc, więc i ja mu pomagałam płacąc teraz rachunki. Dawałam losowi czas na interwencję w naszej sprawie.

Po paru dniach zadzwoniła Jane i nie próbując już nawet udawać, że o niczym nie wie, spytała ze złością:

– Skąd Hazel miała pieniądze na opłaty?!

– Nie wiem – odparłam spokojnie – to nie moja sprawa. Dostałam gotówkę do ręki, zapłaciłam, a reszta mnie nie obchodzi.

– „Teraz to ty nie będziesz spała spokojnie” – pomyślałam z mściwą satysfakcją odkładając słuchawkę telefonu.

– „Zastanawiaj się, gdzie w domu ukryta jest gotówka i ile jej jeszcze jest!”

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Nie ruszać się! To napad!

Skamieniałam z przerażenia z butelką ginu w jednej i toniku drugiej ręce. Ponad regałem zastawionym szczelnie butelkami z alkoholem widziałam głowy dwóch czarnoskórych mężczyzn zbliżających się w moim kierunku. Wprawdzie nie było widać ich rąk, ale nie byłam pewna, czy chciałabym zobaczyć na własne oczy prawdziwą broń.

Mały sklepik, w którym kupowałam gin na wieczorne spotkanie ze znajomymi, był pusty. Oprócz mnie i właściciela przy kasie obok drzwi wejściowych, nie było tam nikogo innego. Jedyne klient, potężny mężczyzna o wyglądzie zapaśnika, właśnie przed chwilą wyszedł z szarą, papierową torbą pod pachą.

Stałam tak bez ruchu i tysiące myśli przelatywało mi przez głowę.

„Żeby chociaż mogła odstawić tę nieszczęsną butelkę z powrotem!” – modliłam się w duchu.

Już widziałam, oczyma wyobraźni, nagłówki jutrzejszych gazet:

„Polka zastrzelona podczas napadu na sklep z alkoholem!!” I te zdjęcia: moje sponiewierane zwłoki ściskające kurczowo butelkę z ginem...

To, że zginę nie przerażało mnie tak bardzo, jak fakt, że stanie się to w takim sklepie!

Co na to powie moja rodzina, moje dzieci?! Taki wstyd!

Tymczasem od napastników oddzielało mnie już tylko kilka butelek stojących przed moim nosem. Wcale nie zastanowiło mnie, dlaczego ci mężczyźni idą w moim kierunku, zamiast zająć się właścicielem i jego kasą. Byłam tak przestraszona, że myślałam tylko o sobie.

Nagle usłyszałam śmiechy i głuche odgłosy poklepywania po plecach. Kiedy odważyłam się wreszcie wyjrzeć zza swojej półki, zobaczyłam dwóch domniemyanych bandytów poszturczujących przyjaźnie trzeciego, najwyraźniej kolegę, któremu chcieli zrobić kawał.

Kiedy, robiąc dużo hałasu zbliżali się do kasy, zauważyłam, że był on dużo od nich niższy, dlatego też nie było go widać między regałami.

Ta przygoda, chociaż wyglądała z początku groźnie, tak naprawdę była zabawna, choćby ze względu na moją reakcję. Miałam okazję przekonać się, jak głęboko zakorzeniony jest we mnie strach przed tym, „co ludzie powiedzą”

Inna mogła skończyć się naprawdę źle i chyba tylko mojemu zapracowanemu aniołkowi stróżowi zawdzięczam, że było inaczej.

Tego wieczora, a właściwie późnej nocy wracałam samochodem od Tadeusza, który mieszkał w dzielnicy zamieszkałej przez Meksykan i Portorykańczyków.

Nie było to wcale bezpieczne miejsce – jeśli można powiedzieć, że jakaś dzielnica „cieszyła się złą sławą”, to ta właśnie cieszyła się całym sercem. Najwięcej chyba napadów i gangsterskich porachunków zdarzało się tam i w dzielnicy murzyńskiej na południu Chicago.

Zwykle unikałam takich miejsc jak ognia, tym razem jednak zasiedziałam się zbyt długo i nie miałam innego wyjścia, jak wracać mimo wszystko. Pomagałam Tadeuszowi urządzić się na nowym mieszkaniu i nawet nie zauważyłam, kiedy zrobiło się bardzo późno. W normalnych warunkach zostałabym u niego na noc, ale to nie były „normalne warunki”. Nie mogłam przecież zostawić Hazel samej na całą noc. Zdarzało się, wprawdzie rzadko, ale jednak, że wzywała mnie do siebie w nocy.

– Zablokuj dokładnie wszystkie drzwi! – Tadeusz wsunął głowę przez otwartą szybę mojego samochodu. Z trudem wyperswadowałam mu pomysł jechania za mną.

– I zakręć szybę! – pokazał na migi, prostując się z zatroskaną miną.

„Uduszę się w tym samochodzie!” – przewróciłam oczami zniecierpliwiona, ale wykonałam, ostentacyjnie, wszystkie polecenia.

Noc była wyjątkowo parna, zbierało się na burzę.

Włączyłam radio nastawione na stację „US-99” i poklepując delikatnie kierownicę w rytm muzyki country skręciłam w stronę głównej ulicy, pustej o tej porze.

Kiedy zbliżałam się do pierwszych świateł zauważyłam, że na przejściu dla pieszych stała grupa murzyńskich wyrostków. Dodałam gazu w nadziei, że zdążę przed zmianą świateł, nie-stety – dojeżdżałam już na czerwonym.

Co było do przewidzenia, chłopcy natychmiast zainteresowali się moim samochodem. Szarpali za klamki, stukali w szyby – jednym słowem: próbowali go otworzyć.

Dziękowałam w duchu Tadeuszowi za jego przezorność, bo sama pewnie jechałabym bez-trosko bez tych wszystkich zabezpieczeń.

Chuligani stawali się coraz bardziej natarczywi, a ja, jak ostatnia idiotka, czekałam na zmianę świateł, zamiast ruszać bez zastanowienia. Oczywiście, w pobliżu nie było żadnych policjantów, chociaż byłam pewna, że gdybym ruszyła na czerwonym, zjawiliby się natychmiast z włączoną „dyskoteką” na dachu.

Tymczasem młodzi Murzyni obstąpili mój samochód dookoła i zaczęli nim huścić na boki. Ale nawet wtedy nie ruszyłam, rozpaczliwie czekając na zielone światło.

Wreszcie jeden z młodzieńców wskoczył na maskę i silnymi uderzeniami usiłował wypchnąć przednią szybę. Pewnie by mu się to w końcu udało, bo była pęknięta, gdyby nie to, że światła wreszcie się zmieniły.

Zielone światło zwolniło też przedziwną blokadę w mojej głowie i zaczęłam działać. Wrzuciłam wsteczny bieg i ruszyłam nagle, zrzucając napastnika z auta. Zaskoczony stracił równowagę i stoczył się niezdarnie na ziemię. Zmieniłam szybko biegi i ruszyłam przed siebie z piskiem opon. Chuligani z głośnymi przekleństwami rozpierzchli się na boki, a ja z przerażeniem czekałam na wstrząs świadczący o tym, że mój samochód najechał na jakąś przeszkodę...

Na szczęście chłopak musiał spaść gdzieś obok, bo nic takiego się nie wydarzyło. Zdążyłam zauważyć we wstecznym lusterku, jak gramolił się z trudem z ulicy.

Miałam nadzieję, że chociaż potłukł się gówniarz dotkliwie.

Pędziłam teraz do domu zupełnie nie zwracając uwagi na światła. Możliwe zresztą, że miałam już cały czas „zieloną falę” – nie pamiętam.

Kiedy dojechałam na miejsce, zostawiłam samochód przed garażem nie mając odwagi otwierać go w nocy. W razie ewentualnego napadu nie miałabym gdzie uciekać, bo garaż nie miał bezpośredniego połączenia z domem.

Wiele razy analizowałam swoje zachowanie, tam na światłach i w końcu odkryłam, co było przyczyną tej, niezrozumiałej dla mnie wtedy, blokady umysłu.

Był to czas, kiedy moja wiza straciła już ważność – przebywałam więc w Ameryce nielegalnie. Wiedziałam, że dopóki nie będę zwracała na siebie uwagi, dopóty będę bezpieczna. Staralam się więc nie przekraczać dozwolonej szybkości i nie przejeżdżać na czerwonym świetle. Nie zdawałam sobie tylko sprawy, że strach przed deportacją był u mnie silniejszy niż instynkt samozachowawczy. Przecież nie działałam wtedy rozmyślnie – sama byłam zaskoczona swoim zachowaniem.

Mijał kolejny miesiąc, a sprawa pieniędzy z konta Hazel nie posunęła się nawet o milimetr. Nadszedł czas płacenia następnych rachunków, a mnie nie stać już było na kolejne wydatki. Nawet ja, urodzona niepoprawna optymistka, straciłam nadzieję, że znajdzie się jakieś wyjście z sytuacji. Musiałam pogodzić się z losem i zacząć szukać innej pracy.

Pewnego ranka przyniosłam telefon do łóżka babci i bez większego przekonania wystukałam numer do pełnomocnika. Scenariusz był taki jak zwykle: Hazel przedstawiała się i żądała rozmowy z prawnikiem, chwilę wysłuchiwała tłumaczenia, że „właśnie wyszedł”, następnie odkładała słuchawkę z nieszczęśliwą miną.

Tego dnia jednak miałam już tego dość

– Ja do niego zadzwonię! – wyrwałam babci telefon z ręki – Mojego głosu sekretarka przecież nie zna.

Rzeczywiście, kiedy się przedstawiłam i powiedziałam, że wprawdzie pan Paul P. mnie nie zna, ale z pewnością zechce ze mną porozmawiać, zostałam połączona z jego biurem.

Chyba „właśnie wrócił”, bo odebrał telefon.

Przedstawiłam się jako opiekunka Hazel i w swojej nieudolnej angielszczyźnie wyrzuciłam z siebie wszystkie, nagromadzone od ośmiu tygodni pretensje.

– Nie wiem, jak to możliwe, że nie może pan odblokować konta swojej klientki przez tak długi czas – w zdenerwowaniu podniosłam głos – U mnie w kraju jest tylko jeden bank (rzeczywiście, wtedy był tylko bank PKO) ale działa sprawniej, niż te wszystkie u was! Nie obrażam sobie, żebym nie mogła dostać swoich własnych pieniędzy!

– To jest tylko brak dobrej woli z pana strony – kontynuowałam rozzalona – Co z pana za człowiek, który pozwala, żeby dwie bezbronne kobiety zginęły z głodu?

Trochę może przesadziłam, ale nie tak znowu bardzo. Korzystając z tego, że mi nie przerywano, brnęłam dalej:

– Przyjechałam tu zarabiać, a od dwóch miesięcy zmuszona jestem utrzymywać swoją pracodawczynię – czy to jest pana zdaniem normalne?

– To dlaczego nie zmieni pani pracy? – zainteresował się w końcu.

– A jak mam zostawić babcię samą, bez pomocy – zachnęłam się oburzona.

– No, ale ona pani nie płaci – zdziwił się.

– To fakt, jeśli ją jednak zostawię bez opieki, umrze.

– No tak, biedna Hazel – westchnął współczująco Paul. – Ale przecież ona pani nie płaci...

– Widzę, że się nie dogadamy – byłam już tym zmęczona – Pan tego nigdy nie zrozumie, bo nie ma serca. Jest pan zwykłym, bezdusznym sukinsynem!

Hazel, która od dłuższego już czasu wisiała na mojej ręce, usiłując mi wyrwać słuchawkę, jęknęła zdruzgotana i opadła bez sił na poduszki.

Sama się trochę przestraszyłam, wyraźnie się zagalopowałam, ale przecież pogorszyć sytuacji już się chyba nie dało.

W słuchawce zapanowała przez chwilę zupełna cisza. W końcu, usłyszałam chrząknięcie i zaraz potem zdecydowane „zadzwonię za pół godziny”. Połączenie zostało przerwane.

Nie miałam odwagi spojrzeć na babcię. Czułam, że właśnie pogrzebałam nasze ewentualne szanse na dogadanie się z tym człowiekiem. Przecież, jak nic, musiał się obrazić...

A wszystko przez ten mój niewyparzony język!

W pewnej chwili usłyszałam dziwne odgłosy dobiegające z łóżka Hazel. Wyglądało na to, że coś się dławiła.

– Świetnie!! – przemknęło mi przez głowę – Wykończyłam staruszkę swoim nieobliczalnym zachowaniem!

Ale, ku mojemu zdumieniu, babcia krztusiła się ze śmiechu.

– A niech tam – machnęła ręką, śmiejąc się już na głos – Przynajmniej dowiedział się prawdy o sobie!

Nie było mi tak bardzo do śmiechu, ale po chwili, kiedy trochę ochłonełam, śmiałyśmy się już obie, wycierając łzy z oczu.

Kiedy zadzwonił telefon, z trudem starałam się opanować.

– Udało mi się odblokować konto – głos Paula był niemal radosny – Przyjadę po południu z papierami do podpisu.

Miałam ochotę wycalować Hazel, ale wiedziałam, że nie lubi takich czułości, więc tylko przybiłyśmy sobie „piątkę” z radosnym okrzykiem.

– Czy wszystkie Polki mają taki temperament? – spytał prawnik, kiedy prowadziłam go do pokoju babci.

– Wszystkie doprowadzone do ostateczności – odparłam trochę zawstydzona. Przez telefon jestem zdecydowanie odważniejsza.

– Jeszcze nigdy żaden klient mi tak nie nawymyślał, jak ta twoja opiekunka – uśmiechnął się, wyraźnie rozbawiony, do babci.

– Jak się jej nie denerwuje, jest aniołem – popatrzyła na mnie z niemal macierzyńską czułością.

Moje konto w banku raptownie spuchło. Hazel wypłaciła mi wszystkie należne pobory i zwróciła to, co wydałam na jedzenie i na świadczenia. Dostałam też trzysta dola – rów premii za czekanie. Świat był piękny!

Cieszyłyśmy się obie jak dzieci. Co za radość – babcia nie musiała iść do domu starców a ja nie musiałam zmieniać pracy!

Tydzień później, przechodząc obok jej sypialni zauważyłam, że leży nieruchomo z rękami splecionymi na piersi i oczami utkwionymi nieruchomo w sufit. Był to niechybny znak, że myśli intensywnie. Nie przeszkadzałam, bo wiedziałam z doświadczenia, że i tak zostanę powiadomiona o wynikach tych przemyśleń.

I rzeczywiście, wieczorem wezwał mnie głos srebrnego dzwoneczka. Hazel, poprawiając jak zwykle koc na nogach, zaczęła uroczyście:

– Chcę zmienić testament. Tysiąc dolarów, które zapisałam wcześniej dla Jane postanowiłam dać tobie – ona na te pieniądze, w przeciwieństwie do ciebie, nie zasłużyła.

Byłam naprawdę wzruszona. Babcia, która była raczej skąpa, nie dała mi nigdy ani centa podwyżki. A tu nagle taki gest! Wiedziałam jednak, że to nie może się udać.

– Dziękuję – uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością – Ale to nie ma najmniejszego sensu. Nigdy nie dostanę tych pieniędzy. Jane będzie się odwoływać, a mnie już tutaj przecież nie będzie. Nie będę czekać na twoją śmierć, żeby je dostać. Nie wspomnę już o podatku, który musiałabym zapłacić w kraju, gdybym jakimś cudem dostała jednak ten spadek.

– Chyba masz rację – zamyśliła się ponownie. – Pewnie by tak było, jak mówisz.

Na drugi dzień oświadczyła, że jednak zmienia testament i kazała mi wezwać prawnika. Wzruszyłam ramionami i wykonałam polecenie. Skoro miałyby to poprawić jej nastrój, zrobię jak zechce. Chwilami była niemożliwie uparta i z własnego doświadczenia wiedziałam, że lepiej jej wtedy ustąpić.

Kiedy, po długich i burzliwych naradach prawnik wyszedł, wezwała mnie znów do swojego pokoju. Musiałam chwilę poczekać przy łóżku, bo akurat kończyła wypisywać jakiś czek.

– Proszę, to dla ciebie – wyrwała wypisany blankiet z książeczki i wręczyła mi go z uśmiechem.

– Na zakupy? – upewniłam się, nie patrząc jeszcze na sumę.

– Nie, to jest czek dla ciebie. Chcę, żebyś za te pieniądze pojechała na Hawaje.

Oślupiałam. Spojrzałam na czek, na którym wypisane było trzęsącym się, starym piśmem: „Jeden tysiąc dolarów”

– Nie mogę tego przyjąć – zaczęłam się jąkać z przejęcia – Nie mogę!

– Ależ możesz! – babcia stanowczym gestem odepchnęła moją rękę z czekiem – Zapracowałam na to uczciwie. Zmieniłam testament i odebrałam te pieniądze Jane. Ale nic się nie martw – poklepała mnie po dłoni – Muszę najpierw umrzeć, żeby to wyszło na jaw. Tymczasem korzystajmy z tego konta, zanim i ono się nie wyczerpie – dodała z filuternym błyskiem w oku.

– Robię to też dla siebie samej – mówiła dalej – Nigdy nie miałam okazji, żeby pojechać na Hawaje. Teraz mogę wysłać tam „swojego człowieka”, który mi uczciwie opowie, jak tam naprawdę jest. Czy rzeczywiście to taki raj na ziemi, jak powiadają.

Nie wytrzymałam i wyciąłowałam ją z płaczem, mając gdzieś, czy lubi takie czułości, czy też nie. Nie wyglądała na niezadowoloną.

– Może raczej nie wycieraj oczu tym czekiem – powstrzymywała ze śmiechem moje nieporadne ruchy – bo atrament się rozmaże.

Wyjazd na wymarzone wyspy zaplanowałam na koniec swojego pobytu w Ameryce, tuż przed powrotem do domu. Nie miałam jeszcze sprecyzowanego terminu, ale myślałam teraz o jesieni. Tymczasem życie, jak to zwykle bywa, samo skorygowało moje plany. Musiałam jednak wracać na wiosnę, sytuacja w domu skomplikowała się z powodu choroby męża.

Namówiłam więc Tadeusza i pojechaliśmy tam w kwietniu.

Nie wyobrażam sobie, że mógłby być piękniejszy miesiąc na ten wyjazd. Hawaje w porze kwitnienia drzew i kwiatów były niezapomnianym zjawiskiem. Jeśli tak wygląda raj, to ja od dzisiaj przestaję grzeszyć...

Ale tak było później – teraz miałam problem, jak powiedzieć babci, że wyjeżdżam. Nie miałam sumienia martwić jej w chwili, gdy była taka szczęśliwa po odblokowaniu konta. Z drugiej strony, nie miałam innego wyjścia – musiałam wracać.

Dopiero, gdy miałam już bilet na samolot do Polski i znalazłam dziewczynę na swoje miejsce, zdecydowałam się powiadomić babcię o swojej decyzji.

Nie było to wcale łatwe zadanie, a ja do najodważniejszych nie należę. Uciekłam się znów do drobnego oszustwa, opowiadając pewnego ranka sen, który jakoby miał mi się właśnie przyśnić. Wiedziałam, że według Hazel będzie musiał oznaczać kłopoty.

Zwykle poznawała, kiedy zmyślałam swoje sny – tym razem dała się nabrać. A może chciała uwierzyć?

Następnego dnia sen „musiał” się sprawdzić. Zaraz po śniadaniu powiedziałam, że dostałam list wzywający mnie do natychmiastowego powrotu do domu.

– Trudno – powiedziała Hazel po trwającym całe wieki milczeniu. – Zawsze wiedziałam, że kiedyś to nastąpi. Teraz jesteś pewnie potrzebna komuś innemu, nie mogę cię zatrzymać.

Kiedy byłam już niemal przy drzwiach, zawołała mnie nagle cicho.

– Mam do ciebie tylko jedną prośbę – powiedziała wygładzając swoim zwyczajem fałdkę na brzegu prześcieradła – Kiedy będziesz już ostatecznie wychodziła z tego pokoju, nie mów mi „żegnaj”. Powiedz cokolwiek, ale nie to. Nie mam już siły żegnać się z ludźmi, których kocham. Pan mi ich wszystkich po kolei, zabiera.

Bałam się rozplakać, więc kiwnęłam tylko głową i wyszłam szybko za drzwi.

W dniu wyjazdu obie starałyśmy się zachowywać normalnie, udając, że niczym się on nie różni od pozostałych. Mimo, że formalnie już nie pracowałam, przygotowałam jej, jak zwykle śniadanie. Potem szybko zaniósłam swoje bagaże do samochodu i kiedy Tadeusz siedział już za kierownicą, gotowy do drogi, zdecydowałam się dopiero wtedy wejść do jej pokoju. Rzuciła mi spłoszone spojrzenie.

– No, to do zobaczenia Hazel – powiedziałam, starając się, aby zabrzmiało to lekko i pogodnie.

– Do zobaczenia? – zdziwiła się – Kiedy?

– Nie wiem – odparłam – Może w przyszłym roku, a może dopiero w przyszłym wcieleniu...

Z uśmiechem pomachała mi ręką na pożegnanie. I tak ją zostawiłam.

I znów siedziałam w samolocie. To był mój ósmy lot w przeciągu ostatnich, niecałych, dwóch tygodni i trzecia już „podróż w czasie”. Lecąc do Phenix, Las Vegas, a potem do Honolulu, zmieniałam strefy czasowe. Podobnie było w drodze powrotnej i teraz czekało mnie to samo podczas lotu do Polski. Jak szalony zegarmistrz to cofałam, to znów poganiałam swój zegarek. Przez kilka dni przebywałam w „parę godzin temu”, a zaraz potem w „parę godzin później”...

Tym razem, na szczęście nie miałam żadnego uciążliwego pasażera w pobliżu, mogłam więc spokojnie oddać się rozmyślaniom.

Rozparłam się wygodnie na fotelu i wróciłam myślami do ostatnich dni, a zwłaszcza do wczorajszego, kiedy to prosto z lotniska pobiegłam do pokoju Hazel, żeby opowiedzieć jej wrażenia z Hawajów. Wiedziałam od nowej opiekunki, że ubrana w świeżą piżamę, czekała na mnie niecierpliwie od wczesnego ranka.

Babcia słuchała tej opowieści tak, jak kiedyś moje dzieci czytanych im bajek: z zamkniętymi oczami, z rękami pod głową i błogim uśmiechem na twarzy.

– No tak – powiedziała na zakończenie – Teraz już mogę umierać.

Na szczęście nie wiedziałam wtedy, że biedna staruszka umrze dopiero pięć lat później i to, niestety w domu starców. Pieniądzy z odblokowanego konta nie starczyło na aż tak długo.

Nie wiedziałam też, że Zośka, która za moją namową niechętnie wróciła do domu, wymknie się cichaczem pewnej nocy i nic nikomu nie mówiąc, ucieknie z powrotem do Ameryki zostawiając dzieci.

Że Marysi nigdy nie uda się zbierać pieniędzy na powrót i zostanie tam już na zawsze.

Dobrze, że tego wszystkiego wtedy nie wiedziałam, na całe szczęście dane mi było podróżować w czasie tylko w obrębie kilku godzin. Nic więc nie mąciło teraz mojej radości i podniecenia.

Za parę godzin zobaczę wreszcie swoje dzieci – czy bardzo się zmieniły? A czy ja też się zmieniłam? Minęły przecież dwa długie lata.

Tęskniłam za rodziną i przyjaciółmi, a nawet za „normalną” pracą w laboratorium. Jak mnie przyjmą po tak długim czasie?

Nie mogłam się doczekać kiedy ich wszystkich zobaczę i zacznę żyć zwyczajnym, spokojnym życiem bez większych kłopotów. Teraz wszystko powinno być znacznie prostsze niż dwa lata temu.

No cóż, nie wszystko było takie proste, jak mi się wydawało.

Ale to już jest temat na całkiem inną historię...

